

BRIAN DULLAGHAN

# WYKRADZONE ANIOŁOM

Przekład Joanna Przyemska



W  
WYDAWNICTWO  
WOŁOSZAŃSKI  
powieści

## Od redakcji

Był czwartek 16 września 1998 roku. Cannes na Riwierze Francuskiej jak zawsze wypełniały tłumy gości, gdy nagle pod jedną z luksusowych willi podjechały samochody policyjne. Po chwili z tonącego w zieleni domu wyprowadzono leciwego mężczyznę, poszukiwanego od maja tegoż roku. To był Licio Gelli, człowiek, którego biografia mogłaby z powodzeniem posłużyć do kilku sensacyjnych scenariuszy filmowych.

Autora niniejszej książki, Briana Dullaghana, również zainteresował bujny życiorys Gellego i umiejętnie wplótł go w swoją opowieść o Trzeciej Tajemnicy Fatimskiej. Zresztą nie trzeba było nawet zbyt wiele (a właściwie prawie nic) fantazjować, gdyż w powojennych dziejach Europy czy Ameryki Północnej bądź Łacińskiej trudno znaleźć wydarzenia, w które mniej lub bardziej nie byłby zamieszany Gelli.

Tuż po wojnie brał on udział w organizowaniu tzw. szurczych linii, tj. operacji przetrzucania nazistów z Europy do Ameryki Południowej i Środkowej. To zapewne przy jego pomocy dostał się do Stanów Zjednoczonych wymieniony w tej książce nazista Arthur Rudolph. Jest to postać autentyczna, komendant obozu koncentracyjnego w Dora-Nordhausen, później (w Stanach Zjednoczonych) jeden z naukowców, biorących udział w projektowaniu rakiety Saturn 2, która wyniosła na księżyc statek Apollo. Licio Gelli był też bliskim przyjacielem argentyńskiego dyktatora Juana Perona.

Jednak Gelli jest najbardziej znany jako przywódca słynnej łoży masońskiej P2 (Propaganda2), w której szeregach znajdowały się najznamienitsze nazwiska ze świata włoskiej polityki lat 80.1 tak np. do P2 należało 48 członków włoskiego parlamentu, 4 ministrów a nawet dzisiejszy premier Włoch Siivio Berlusconi. Gellemu udało się stworzyć państwo w państwie, co było niezmiernie niebezpieczne ze względu na jego zamiłowanie do faszyzmu. „Drzwi wszystkich skarbców w bankach otwierają się na prawo”, mawiał, co znaczyło, że bogaci członkowie łoży P2 nie poskąpią pieniędzy na finansowanie skrajnie prawicowych planów łoży.

Wątek związków Licio Gellego z Watykanem jest również prawdziwy. Około 100 osób z bliskiego otoczenia papieża Pawła VI, a potem Jana Pawła I, należało do P2.

Papież Jan Paweł I potępił to, narażając się tym samym Gellemu. Tymczasem Gellego łączyły też interesy z Roberto Calvim, prezesem watykańskiego banku Banco Ambrosiano. (Później znaleziono Calviego powieszzonego na przęsle jednego z londyńskich mostów).

Gelli miał też córkę, Marię, której udało się wyjechać za granicę wraz z okazałym archiwum należącym do jej ojca, a w nim znajdowały się różne dokumenty, w ich posiadanie Licio Gelli miał zwyczaj wchodzić, tak, jak to opisał Brian Dullaghan - przez kradzież. Tę metodę Gelli wypracował do perfekcji i ona (wraz z szantażem) utorowała mu drogę na szczyt zbrodniczego procederu.

*Joanna Przyjemska*

*Justinowi*

„Życie można przeżyć tylko na dwa sposoby. Tak, jakby nic nie było cudem, albo jakby wszystko nim było”.

*Alben Einstein*

## Prolog

Czwarta rano. Głos mojej żony był spokojny i zdecydowany. Już przedtem miałem takie poranne telefony, ale nie wiem dlaczego, wiedziałem, że ten będzie ostatni. Ubrałem się i wyruszyłem z domu. Jechałem pustymi ulicami Melbourne, które spowijała lekka mgła. Kiedy podjechałem pod szpital św. Benedykta, zwinilem, przeżegnałem się i zmówiłem głośno modlitwę za małego Justina. Nastawiłem ogrzewanie na maksimum i włączyłem radio. Akurat jakaś kobieta opisywała pustkę, jaka zapanowała teraz w jej życiu, po śmierci męża. Byli małżeństwem pięćdziesiąt lat. Spiker nie przerywał i pozwolił jej mówić. Bliżej centrum widziałem w parku kilku włóczków, skulonych pod starymi kocami, i zadałem sobie pytanie, co też mogło zniszczyć życie tych ludzi.

W szpitalu panował spokój. Ciszę przerywało bzyrze-nie zepsutej jarzeniówki i pacnięcia mokrej ścierki o mytą właśnie podłogę. Skierowałem się na siódme piętro, na oddział kardiologii i zobaczyłem moją żonę stojącą niedaleko drzwi. Nie zamieniliśmy słowa. Dwie pielęgniarki krzątające się wokół Justina popatrzyły na mnie z ogromnym smutkiem, a gdy podszedłem, odsunęły się na bok. Jego ciało było takie malutkie. Stan Justina niemal przez całe jego krótkie życie nie pozwalał na należyte odżywianie. Przyszedł kardiolog, zatrzymał się chwile przy nas, a potem odwołał mnie na bok. Powiedział, że mój syn umiera, i spytał, czy wyrażam zgodę na odłączenie go od aparatury medycznej i pozostawienie wszystkiego w rękach natury.

Dziewiąta rano. Pamiętam jakiegoś faceta wręczającego mi wizytówkę ze słowami o bardzo korzystnych cenach. Musiał chyba mieszkać w szpitalu i czekać na śmierć ludzi. A może ktoś ze szpitala daje mu znać i ma z tego jakiś procent? Śmierć to biznes. Dyrektorzy domów pogrzebowych wyglądają jak nieboszczycy. Ten facet musiał chyba ważyć z pięćdziesiąt kilogramów, i to wraz z ubraniem. Był pochylony, usiłował przybrać pozę przeproszającą - miałem wrażenie, że równocześnie próbuje dbać o moje sprawy i przeproszać mnie. Wziąłem tę wizytówkę, lecz posłałem w jego kierunku karcące spojrzenie, na wszelki wypadek. Spotkałem również młodą psychoterapeutkę, która objęła mnie, mówiąc: „Tak będzie lepiej... naprawdę”. Wyrosła jak spod ziemi, jakby cho-

wała się za tym wyglądającym na umarlaka facetem. Była szczupła. Może tworzyli spółkę. Myślę, że ją przestraszyłem. Po prostu wlepiłem w nią wzrok. Mogła mieć osiemnaście lat. Może jakieś doświadczenie w pracy. Nauczyła się, jak powiedzieć komuś, że „tak będzie lepiej” wtedy, gdy umiera jedyna osoba na świecie, którą się kochało. Wygrałem ten wzrokowy pojedynek i kobieta pomału wycofała się ze spuszczoną głową. Cofała się tyłem, wzdłuż korytarza, jakby była na rolkach, lecz miała dość wytrwałości, by rzucić mi wyzywające spojrzenie. Co ona właściwie chciała, abym powiedział? „Tak, kochanie, masz rację. O wiele lepiej dla Justina, że nie doświadczy radości i przyjemności życia. O wiele lepiej, że umiera w wieku siedmiu lat i dwóch tygodni i nie doczeka chwili borykania się z codziennym goleniem”. Spostrzegłem księdza zaglądnącego do hallu, ale musiał wyczuć, że to nie był dobry czas na przedstawianie się. Jedyna sensowna uwaga, którą zapamiętałem, padła z ust lekarza opiekującego się pod koniec moim synem. Kiedy opuściliśmy siódme piętro Królewskiego Szpitala Dziecięcego, lekarz ten dotknął mojego ramienia i powiedział: „Mnie też będzie go brak”. Przełożona pielęgniarek pozwoliła nam jeszcze побыć trochę sam na sam z Justinem, zanim zabrano jego ciało do kostnicy. Czas ten wykorzystaliśmy, aby go umyć i ubrać. Wy szczotko wałem mu włosy i obciąłem niewielki lok, a kiedy pielęgniarka wraz z asystentką wróciły, wyszliśmy.

Wracaliśmy ze szpitala, wtapiając się w uliczny chaos piątkowego ranka i cierpliwie czekaliśmy na skrzyżowaniu, aż zmienią się światła. Na świecie wszystko nadal wyglądało normalnie. W samochodach kobiety malowały się, a mężczyźni niezdarnie próbowali zawiązać krawaty. Światła zmieniły się, więc przeszliśmy przez jezdnię, kierując się do parku. Znaleźliśmy ławkę, usiedliśmy i chyba przez godzinę nie zamieniliśmy ani słowa. Ludzie przechodzili obok, mówiąc „dzień dobry”, albo w ogóle nic. Grupka dzieci w wieku szkolnym przemaszerowała przed naszą ławką, a każde z nich zezowało w kierunku dwóch siedzących na niej smutnych postaci. Nie pamiętam już, które z nas powiedziało: „Lepiej zacznijmy załatwiać sprawy”. Drugie zgodziło się. Siedzieliśmy jeszcze chyba ze trzydzieści minut, zanim wstałem. Poszedłem nieco do przodu, tak aby lepiej widzieć siódme piętro Królewskiego Szpitala Dziecięcego i skrzydło, w którym mieści się oddział kardiologiczny. Ostatnie okno z prawej strony. Jeszcze kilka chwil temu rodzina, a teraz już tylko my dwoje. W końcu moja żona też wstała i podeszła do mnie. Spytała, czy widzę ten pokój. Wskazałem go. Spojrzała na

szpital, kierując wzrok za moją wyciągniętą ręką i zaczęła płakać. Wydawało się niemożliwe, by zostały jej jeszcze jakieś łzy. Ukryła twarz w dłoniach i łkała. Nie wiem, jak mam opisać swoje uczucia. Nie czułem nic, a równocześnie wszystko. Starczyło mi przytomności, by poprowadzić ją w kierunku ulicy, ale chociaż przyjechałem tu samochodem, to teraz machnięciem ręki przywołałem taksówkę. Taksówkarz nie zwracał na nas żadnej uwagi i po chwili byliśmy w domu. Zapłaciłem za taksówkę, a moja żona weszła do domu, nie zauważając zmian, jakie porobiłem w ogrodzie.

Wszedłem do hallu akurat w chwili, gdy ona zmierzała do dziecinnego pokoju. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak podniosła misia leżącego w łóżeczku. Delikatnie posadziła go prosto, a potem wzięła inną zabawkę, leżącą w drugim końcu łóżeczka, i posadziła obok misia. Zasłony firmy „Mr Men” były w nieładzie, więc zaciągnęła je, a następnie rozsunęła. Teraz wisiały równo. Stała pośrodku pokoju, dokonując końcowej inspekcji, zanim odwróciła się, aby wyjść. Powiedziałem coś o przygotowaniu herbaty i poszedłem do kuchni. Pomyślałem, że zrobię coś do jedzenia, ale zwątpiłem, aby to było możliwe. Przez kilka miesięcy mieszkałem sam, podczas gdy moja żona przebywała w mieszkaniu wynajętym tymczasowo obok szpitala. Postąpiliśmy tak dla wygody, a także z tego powodu, że Melbourne przeżywało wówczas strajk pielęgniarek, który zmusił rodziców do codziennego pomagania w obowiązkach szpitalnych. Przez większą część tego okresu jadłem tylko potrawy kupowane na wynos w restauracjach, tak więc teraz mogłem zaoferować żonie co najwyżej grzanekę.

Nalewałem właśnie wodę do czajnika, gdy usłyszałem hałas, jakby odgłos uderzenia. Zakręciłem kran i nadstawiłem uszu. Panowała cisza. Odstawiłem czajnik, poszedłem do hallu i znalazłem tam moją żonę leżącą na podłodze; wydawało się, że jest nieprzytomna. Poczulem skurcz mięśni w żołądku. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, co się stało. Nie byłem w stanie oddychać i tylko patrzyłem na nią. Wróciły wszystkie wspomnienia. Znów poczułem ostatni oddech Justina. A potem wszystko zważyło się na mnie. Zgodziłem się odłączyć własnego syna od aparatury podtrzymującej jego życie. Poczulem, że robi mi się niedobrze. Pobiegłem do łazienki i zwymiotowałem do zlewu. Dostałem takich torsji, że omal nie zemdlałem. Osunąłem się na ziemię, oparłem o wannę i zacząłem płakać.



Ciągle jeszcze leżałem, gdy usłyszałem cichy głos dochodzący z hallu. Zapomniałem o żonie. Byliśmy jak dwaj znużeni bitwą wojownicy, odzyskujący siły po walce. Powlokłem się do hallu, aby zająć się nią. Zapytała, gdzie jest Justin. Usiadłem obok niej, przytuliłem ją mocno i odpowiedziałem, że jest bezpieczny.

Doktor Copland, nasz rodzinny lekarz, przyjechał w kilka minut po moim telefonie. Wyjaśnił, że moja żona jest w szoku i wyraził obawę, że ja również mogę być w szoku, wobec czego obojgu nam zaaplikował lekarstwo. Sąsiadka mieszkająca obok przysłała, gdy zobaczyła wychodzącego doktora Coplanda. Usiadła obok mojej żony, która leżała na łóżku w sypialni. Sąsiadka była pielęgniarką i wielką przyjaciółką nas obojga. Zostawiłem panie same i zacząłem chodzić po domu. Poszedłem do kuchni, zrobiłem grzanekę, ale nie byłem w stanie jej zjeść. Nalałem szklankę wody, wypilem parę łyków i wróciłem do sypialni. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak Joan pociesza moją żonę. Trzymała ją za rękę i mówiła do niej bardzo miękkim, pełnym czułości głosem. Moja żona kiwała głową, ale do mnie nie docierały jej słowa. I właśnie wtedy, gdy tak stałem oparty o drzwi, przypomniałem sobie, jak była piękna jeszcze niedawno. Aż do tej pory o tym nie wspominałem. Chciałem zrobić to wówczas, gdy w parku przechodziła koło nas grupa uczniów. Miałem zamiar powiedzieć coś w taksówce, kiedy jechaliśmy do domu, ale moja żona i tak miała dość problemów... Powiem jej to później.

Zakaszlałem, aby zwrócić na siebie uwagę i zaproponowałem, że może zrobię herbatę. Nie zauważyły mnie. Wyszedłem tylnym wyjściem i usiadłem na werandzie; gdy tak patrzyłem na ogród, wyobraziłem sobie rozbawione dziecko. Przez płot dobiegał mnie śmiech dzieci i zdałem sobie sprawę, jak bolesne będzie teraz to wszystko dla mojej żony.

Panie rozmawiały przez wiele godzin, a ja siedziałem sam i w pamięci przesuwały się niewiarygodne zdarzenia z mojego życia, które doprowadziły mnie aż do tego punktu.

## Rozdział I

Staliśmy przed budynkiem, udając, że wyszliśmy na papierosa. Shaun przechylał się przez wózek bagażowy, trzymając pod pachą twardą podkładkę do pisania. Przykazano nam czekać na ciężarówkę, która miała przywieźć towar mniej więcej między dziewiątą a dziesiątą trzydzieści. Przyjechała nieco po dziesiątej. Shaun i ja mieliśmy na głowie bejsbolówki ze starannie wyhaftowaną nazwą firmy. Kierowca podjechał, zobaczył nas stojących w ubraniach firmowych przed wejściem do budynku i upewnił się, czy to faktycznie my mamy odebrać przesyłkę dla firmy Thomas Lavean i Synowie. Otworzył tylne drzwi ciężarówki i podał nam dwa duże pudła. Shaun przejrzał załączony list przewozowy, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, po czym pokwitował odbiór. Kierowca tanecznym krokiem przeszedł wzdłuż ciężarówki, wsiadł i odjechał. A my popchaliśmy nasz wózek wraz z dwoma pudłami w górę ulicy, następnie włożyliśmy pudła do bagażnika samochodu Shauna i odjechaliśmy.

To był przekręt, i to bardzo prosty. Mojemu pracodawcy potrzebna była zawartość tych pudeł, a znajdowały się w nich dokumenty dotyczące pewnej nieruchomości w Nowym Jorku. Thomas Lavean i Synowie była firmą konsultingową, zajmującą się przetargiem na duży rządowy projekt budowy mieszkań. Nasz szef chciał znać oferowane ceny oraz warunki przedstawione przez jego rywali.

Już od miesiąca przebywałem w Nowym Jorku. Pracowałem i zarabiałem. Uczyłem się handlu, zawodu, który w przyszłości przyniósłby mi dużo pieniędzy. Shaun Quinn przedstawił mnie „w firmie”. Quinn był w Ameryce już niemal od dziesięciu miesięcy, a wyjechał z Dublina w okolicznościach bardzo podobnych do moich. Widziano, jak w Dublinie ukradł samochód, staranował nim sklep jubilerski, a następnie uciekł ze zrabowanym towarem. Wiedział, że samochód, który ukradł, należał do policji, ale stwierdził, że „po prostu się trafił”. Gdyby go złapano, na pewno poszedłby do więzienia, a więc tak jak wielu irlandzkich emigrantów, postanowił zobaczyć Amerykę i nie starczyło mu nawet czasu, aby pożegnać się z matką.

Mój pracodawca, Licio Gelli, to facet, który świetnie prezentował się we włoskim garniturze i nic nie widział bez swoich okularów przeciwsłonecznych. Od pierwszej chwili wywarł na mnie bardzo duże wrażenie, to znaczy od spotkania w eleganckiej restauracji w centrum. Świątowano tam jego urodziny. Grupa, którą tworzyli jego ludzie z Nowego Jorku oraz kilku zagranicznych partnerów, zarezerwowała cały lokal. Usiadłem obok faceta, który powiedział mi, że jego praca polega na angażowaniu ekstraludzi do filmów. Wtedy nie wiedziałem, że Gelli wykorzystywał tych ludzi w charakterze „rekwizytów” podczas dużych przekrętów. Otóż w pustym magazynie zakładał fałszywą firmę i kazał tym ekstra wykonywać zwykłą biurową pracę. Cała ta misterna oprawa wiązała się z dokumentami.

Shaun wspomniał jednemu z ludzi Gellego, iż ma przyjaciela, który właśnie przyjechał z Dublina i potrafi bardzo szybko biegać. Dostał polecenie, aby przyrowadzić mnie właśnie tego dnia do restauracji, by szef mógł sprawdzić, czy się nadaję. Shaun powiedział mi, że mam się odświętnie ubrać, ponieważ szef lubi, aby każdy się dobrze prezentował. W Dublinie członkowie gangów nigdy nie ubierali się dobrze. Skórzane kurtki o dwa rozmiary za małe, dżinsy dzwony, sweter (w razie, gdyby zrobiło się zimno), buty na platformach, aby dodać sobie wzrostu i wyglądać na więcej niż 160 cm (taki był przeciętny wzrost dublińskiego gangstera).

Gelli wyglądał jak „pan”, i był nim dla każdego, kto dla niego pracował. Shaun wykonywał jego proste polecenia, a Gellemu podobało się takie obojętne podejście do wykonywanej pracy. Przeważnie wysyłano go, aby zdobył dla Gellego jakieś dokumenty. A Shaun wyjaśnił mi to następująco: jeśli Gelli wchodzi z kimś w jakiś układ biznesowy, to chce zobaczyć, jakimi kartami dysponuje druga strona. Jeśli biuro prokuratora generalnego zamierza go nękać, to chce wiedzieć, co na niego mają. I jeśli Gelli bierze udział w jakimś przedsięwzięciu biznesowym (lub w wymuszeniach haraczu), to przed podjęciem decyzji chce zobaczyć księgi rachunkowe drugiej strony i wykalkulować, jaki może mieć z tego zysk. I tak, jeśli Gelli chciał użyć wobec kogoś szantażu, to wysyłał Shauna, aby znalazł mu odpowiednią księgę rachunkową. Z tym wiązało się jeszcze o wiele więcej, ale Shaun był nieco naiwny. Nie mogę powiedzieć, że ja nie byłem. Toteż właśnie w pracy dla Gellego znalazłem swoją niszę.

Siedziba firmy mieściła się w ośmiopiętrowym budynku stojącym na obrzeżach dystryktu biznesowego. Zajmowała całe pierwsze piętro, na które prowadziły dwa osobne wejścia. Jedno przez główny hall, skąd trzeba było wsiąść do windy, drugie zaś przez drzwi wychodzące wprost na biegnące po zewnętrznej części budynku schody pożarowe, na które wchodziło się z parkingu położonego na tyłach budynku. Na tym piętrze mieściło się kilka biur, dwa pokoje spotkań oraz przypominająca apartament sala konferencyjna wraz z łazienką, prysznicem i toaletą. Była tam też część recepcyjna z poczekalnią i kuchnią. Recepcjonistka, Oliwia, którą widziałem kilkakrotnie na różnych spotkaniach, w pierwszym roku mojej pracy powiedziała mi, że odbiera dziesiątki telefonów na godzinę od współpracowników Gellego, z których każdy kontroluje kilka firm. W głównym hallu wisiała lista wszystkich firm mieszczących się w budynku. Były wśród nich prawnicze, doradztwa finansowego, developerskie i trudniące się konsultingiem różnego rodzaju. A na pierwszym piętrze mieściło się więcej firm handlowych aniżeli wszystkich innych razem wziętych, łącznie z firmami na pozostałych piętrach.

Najpierw powiedziano mi, że na co dzień firma zajmuje się przede wszystkim sprzedażą i dystrybucją materiałów budowlanych. Wydawało mi się, że to zwyczajna firma. Nigdy nie słyszałem, aby padła nazwa jakiejś innej firmy, i nie widziałem, aby ktokolwiek z ludzi pracujących na pierwszym piętrze faktycznie zajmował się sprzedażą lub dystrybucją czegokolwiek. Biurowa działalność firmy Gellego wydawała się legalna, ale istniała jeszcze druga strona tej działalności. Funkcjonowała ona poza zwykłymi godzinami pracy i polegała na zbieraniu danych dla Gellego i firm powiązanych z jego biznesem. A do tego potrzebne były całkiem inne kwalifikacje. Gelli miał ważnych facetów od brutalnej roboty, ale potrzebował jeszcze małych chudziaków, którzy potrafiliby wspiąć się po murze i przecisnąć przez wąskie okno, aby dostać się do prywatnego biura. Chłopcy od takich poruczeń musieli umieć czytać, aby upewnić się, że biorą właściwe dokumenty. Czasem kradzież dokumentu wymagała jedynie poczekania na zewnątrz, przed głównym wejściem i przejęcia poczty. W tej pracy najważniejsze było, aby nie wzbudzać podejrzeń. Przejmowanie dopiero dostarczonej poczty lub paczek to zadanie, które wykonywałem wielokrotnie w pierwszym roku swojej pracy. Byłem do tego stworzony. Od szóstego roku życia uwalniałem ludzi od ciężaru ich prywatnej

własności. Wtedy to odwiedzałem domy krewnych, sprzedając im ich własne zegarki. Jeden z moich wujów trzy razy kupił ode mnie swój zegarek.

Gelli chyba od razu mnie polubił. Opowieść Shauna o mnie zrobiła na nim wrażenie i przypuszczam, że Gelli uwierzył we wszystko, co Shaun mu o mnie naopowiadał, a co w większości było grubą przesadą. Shaun Gelli nie zatrudnił osobiście. Kiedyś kręcąc się w pobliżu pływalni, spotkał jednego z jego ludzi. Ten facet zapytał Shauna, czy chce trochę popracować, a Shaun, który do tej pory utrzymywał się z drobnych kradzieży sklepowych, zgodził się. Praca dla Gellego to nie była zwyczajna robota od dziewiątej do siedemnastej. Czasem nikt się do nas nie zgłaszał tygodniami, a potem, bez uprzedzenia, jego gangsterzy przychodzili do naszego hotelu i zabierali nas z sobą. „Chodź na spotkanie z szefem, jest praca, którą trzeba wykonać”. Gelli nie lubił czarnych, ale nie pozwalał, aby jego własne uprzedzenia kolidowały z interesami. Potrzebował ludzi, którzy znali miasto i jego koloryt. Nie interesowało go też, jaki los spotkał Żydów. Podśledzałem, jak rozmawiał kiedyś z człowiekiem, który przyjechał z Ameryki Południowej. To było tego pierwszego dnia, na przyjęciu urodzinowym. Rozmawiali o wojnie i Gelli powiedział: „Szkoda, że pociągi nie były dłuższe, pozbyto by się tych wszystkich bękartów”. Roześmiali się, i stojący obok też. Miało to miejsce na wiele lat przedtem, zanim zrozumiałem sens tego fanatyzmu.

Podobało mi się w Ameryce. Shaun i ja dobrze zarabialiśmy, choć głównie wyrywkowo, kiedy mieliśmy pracę, ale obaj byliśmy roztropni i zadowolaliśmy się tym, co się nam dostawało. Nowy Jork to nie miejsce dla biedaków. Wszystko było tam tak drogie w porównaniu z Irlandią, a szczególnie mieszkania. Opłaty za czynsz stanowiły dobrze ponad połowę tego, co można było zarobić, pracując „normalnie”. Pod koniec pierwszego roku myślałem, że Gelli jest brokerem. Żaden z dokumentów, które ukradliśmy, nie dotyczył jego osoby. Przewodził dużej grupie ludzi na najwyższych stanowiskach, którzy od czasu do czasu potrzebowali, by ktoś uchronił ich przed więzieniem, płacąc za nich kaucję. Stanowili pewnego rodzaju bractwo i wszyscy członkowie grupy nazywali się masonami. Gelli był dumnym Amerykaninem włoskiego pochodzenia i było sprawą ogólnie znaną, że nie miał szacunku dla katolicyzmu. Kiedyś Gelli zapytał mnie, czy jestem katolikiem i o moje zdanie na temat Kościoła. Odparłem, że wszyscy księża, jakich znam, to alkoholicy oraz że nigdy nie mogłem zrozumieć,

dlaczego jedyne przyzwoite budynki w Cabrze, dzielnicy, w której wyrosłem, to kościoły. Powiedziałem też, że nigdy nie ukradłbym niczego z kościoła, a to ze względu na mojego ojca, który wielce szanował wszystko, co wiązało się z katolicyzmem.

Przez cały czas mojej pracy dla Gellego spotkałem się z nim bezpośrednio około dwunastu razy. Większość tych spotkań (przynajmniej sześć) przypadła na ostatni rok tej mojej pracy. A do tego czasu potrafiłem już mówić w jego ojczystym języku. Zdawało się, że początkowo dążył on do osobistych kontaktów ze swoimi ludźmi, lecz potem niemal się do nich nie odzywał. Miał za to różnych współpracowników, którzy zajmowali się różnymi aspektami jego interesów. Trafiałeś pod ich kierownictwo i to im zdawałeś relacje. Shaun i ja robiliśmy swoje i nie zadawaliśmy zbyt wielu pytań. Podobało się nam, że uważano nas za gangsterów, a Nowy Jork należał do nas. A tak naprawdę byliśmy po prostu dwoma gówniarzami z Dublina, którzy po prostu mieli dość swoich domów.

Byłem szczęśliwy, że mam pracę, i szanowałem Gellego, że mi ją dawał. Osobiście też załatwił mi na nią pozwolenie. Wtedy nie znałem jeszcze dostatecznie jego przeszłości, aby wyrobić sobie zdanie na jego temat. Myślę, że gdybym wiedział, jak Gelli zaczynał, to i tak nie postąpiłbym inaczej. Chciałem mieć z tego dolę od momentu, gdy zobaczyłem, o co chodzi.

Przyjechałem do Ameryki po tym, jak kilku moich szkolnych przyjaciół postanowiło wyróżnić się w klasie i obrabować bank. Wtedy nie miałem z nimi nic wspólnego, ale byłem zamieszany. Jak już opuściłem szkołę, prawie ich nie widywałem, gdyż wolałem podążać kryminalną ścieżką sam. Jednego z tych chłopaków złapali podczas napadu i zamknęli, a policja bardzo szybko dotarła do nazwisk jego współników. Dublińska policja miała doskonale wyniki w wykrywaniu przestępstw. Ten biedny gówniarz prawdopodobnie wydał mnie, ponieważ dostał cięgi. Następnie przeprowadzono rewizję w moim domu. Wydała mnie moja starsza siostra. Właściwie myślałem, że szukają mnie w związku z oszustwem, którego kiedyś się dopuściłem, ale nie czekałem, aby się dowiedzieć. Jeśli ściga cię policja, to dobrze jest pojechać na wakacje. Na szczęście mój paszport był ważny, ponieważ rok wcześniej wybrałem się na wycieczkę zagraniczną ze swoją byłą dziewczyną. Po raz pierwszy znalazłem się poza granicami Irlandii i po powrocie nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Na urlopie wszystko zawsze wygląda świetnie. Wtedy powiedziałem, że wyjadę z Irlandii, na co moja dziewczyna

odparła, że sam nie umiałbym pójść nawet na koniec ulicy. Szkoda, że nie pojechałem sam. A to było jej za gorąco, a to jedzenie było ohydne i było tylko to, czego nie lubi, plaże zaś były pełne półnagich kobiet - i to był jeszcze jeden powód, dla którego żałowałem, że nie pojechałem sam. Miałem trochę odłożonych pieniędzy, więc kupiłem za nie bilet do Ameryki i jeszcze starczyło przez kilka miesięcy na życie. Jako Irlandczyk nie potrzebowałem wizy, a to było ułatwienie, bo sądzę, że bym jej nie dostał.

Byłem zdziwiony, iż Shaun po wyjeździe podtrzymywał znajomość. Miał on wrażliwą naturę i przypuszczam, że po przyjeździe do Nowego Jorku musiał czuć się osamotniony. Prawdopodobnie postanowił pisać do każdego, kogo znał, w nadziei, że otrzyma odpowiedź. Był jednakiem, co w Irlandii stanowi taką samą rzadkość jak posiadanie dwóch głów. Mając tylko sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, Shaun bardziej nadawał się na dżokeja aniżeli do jakiegokolwiek innego zawodu. Jego piskliwy głos i ważące sześćdziesiąt kilogramów ciało nigdy nie przstraszyłyby nikogo do tego stopnia, aby zechciał wręczyć mu portfel z ciężko zarobioną pensją. Shaun miałby kłopoty z życiem w Dublinie, ponieważ nie znosił tamtejszej policji. Samochód, który zabrał, nie był pierwszą rzeczą, jaką ukradł policji. Kiedy byliśmy dziećmi, Shaun stale wytykał policjantów palcami i przezywał ich. Dla nas kończyło się to zawsze ucieczką co sił w nogach. I dopiero po przypomnieniu mu tego w Ameryce podczas jednej z naszych długich rozmów pod tytułem „a czy pamiętasz”, zacząłem rozumieć tę jego nienawiść. Opowiedział mi, jak to kiedyś policja niesłusznie oskarżyła jego ojca o ciężkie przestępstwo. Chcąc wydobyć z niego zeznania, skatowali go niemal na śmierć. Rzecz jasna, gdyby Shaun został w domu, prowadziłyby dalej tę prywatną wojnę z policją, aż w końcu zabiłby któregoś z policjantów lub też sam oberwałby kulę (co wydaje się najbardziej prawdopodobne).

I tak to Shaun i ja radziliśmy sobie w Nowym Jorku. Znaleźliśmy piwiarnię z irlandzkim piwem z beczki i snuliśmy opowieści dla innych rodaków, stęsknionych za wieściami z domu. Fantazjowanie jest ważne dla Irlandczyka. U nich opowiadanie historii to rodzaj sportu. Zwycięzcą zostaje ten, kto potrafi opowiedzieć największą bzdurę, nie tracąc zainteresowania słuchaczy. Często historie takie rodzą się po prostu z przypomnienia sobie jakiegoś zasłyszanego zdarzenia. Czasem rzeczywiście opowiadasz coś, co faktycznie ci się przytrafiło, ale tak dzieje się rzadko. W miarę jak płynie piwo i

noc, słuchacze stają się niecierpliwi, pojawia się więc potrzeba dorzucania kłamstw i upiększeń. I wtedy - ale tylko wtedy - prawdziwy irlandzki opowiadacz historii snuje swój własny wątek. Widziałem puby niemal tuż przed zamknięciem, w których ożywieni słuchacze nagle zamierali w ciszy dokoła baru, gdzie jakiś człowiek opowiadał zdumiewającą historię o robotniku, który spadł z czternastego piętra, ale uratował go lekki podmuch wiatru i taczka, na której leżał worek z piaskiem. Większość z historii, które znam dziś jako fakty, to opowieści, które, jak sądziłem, nie mogły być prawdziwe.



## Rozdział II

Urodziłem się w dublińskiej dzielnicy Cabra jako jedno z siedmiorga dzieci, a więc w dość niewielkiej rodzinie, zważywszy na czasy i położenie geograficzne. Łączyły nas ściśle więzy, czego powodem było raczej posiadanie domu, w którym były tylko dwie sypialnie, aniżeli pobożne życzenie niekłócenia się. Jednak przeżyliśmy i mam wspaniałe wspomnienia ze swojego dzieciństwa. To były czasy, gdy można było zostawić klucz w drzwiach, a ludzie wpadali na herbatę. Jednak czasy się zmieniły, szczególnie gdy tacy jak Shaun i ja zdali sobie sprawę, że każdy zostawiał klucz w drzwiach.

Czas spędzaliśmy, siedząc w rynsztoku i grając w karty przed domem Jimmy'ego Websa. W tamtych czasach można było siedzieć i grać w karty w rynsztoku, bo nikt nie miał samochodu. Prawdę mówiąc, byłem pierwszą osobą na mojej ulicy, która go miała, lecz z oczywistych powodów nie mogłem trzymać go w domu.

Ulica, przy której mieszkałem, była długa, a wszystkie stojące wzdłuż niej domy wyglądały identycznie. Dziwne, że pijacy trafiali bez problemu. Nasze podwórko od frontu miało sześć stóp długości i otoczone było małym ceglany murkiem, sam dom zaś od strony ulicy był szeroki na jedno okno i drzwi. Podwórko z tyłu miało dobrych dwanaście stóp długości, a szerokości tak jak od frontu - na jedno okno i drzwi. Na parterze był salon, kuchnia i małe tylne pomieszczenie, natomiast na górze dwie sypialnie, schowek i łazienka. Mieliśmy piętrowe składane łóżka, trzy, jedno nad drugim. Jeśli spało się na najwyższym piętrze, nosem dotykało się do sufitu. Jeżeli natomiast na dole, to istniało niebezpieczeństwo bycia zmiażdżonym przez dwa górne łóżka. Ja spałem pośrodku. Nie wiedziałem, że byliśmy biedni, bo każdy dookoła miał tyle samo, co my. Nie chodziliśmy głodni, a w saloniku zawsze w kominku palił się ogień. Moje życie było wypełnione przez przyjaciół i rodzinę, która mnie kochała. Nie można było już niczego więcej żądać.

Jedno z moich najlepszych wspomnień dotyczy futbolu. Rozgrywaliśmy wspaniałe mecze w parku tuż za rogiem. Czasem drużyna liczyła dwudziestu chłopaków i zapominaliśmy o czterdziestu pięciu minutach; te mecze trwały ileś dni. I nie było nic dziwnego w tym, że o dziesiątej wieczorem mecz nadal trwał. Kiedy robiło się ciemno, po

prostu mówiliśmy: „No dobra, jest 56 do 55 i spotykamy się tu rano”. Chodziło o to, żeby nie przegrać, więc jeśli prowadziłeś, to nagle piłka w cudowny sposób zniknęła i zaczynała się bijatyka. A o ósmej następnego dnia każdy znów był gotów do kolejnych mistrzostw świata.

Jeśli nie graliśmy w karty albo w piłkę nożną, to szliśmy do kina, wchodząc przez wyjście. To wymagało nie lada zręczności. Jeden z nas wchodził do kina normalnym wejściem - to znaczy kupował bilet. Osoba, która miała bilet, nagle musiała iść do ubikacji. Wyjście znajdowało się w korytarzu, w którym była też toaleta, a więc można było otworzyć drzwi i wpuścić kamratów. Jednak pozostawał jeszcze mały problem. Jeden chłopak wychodził do toalety, a potem wchodził jedenastu. Na salę trzeba było wchodzić pojedynczo, jeden od czasu do czasu. Dziewczyny nie miały poczucia humoru, jeśli chodzi o wkradanie się do kina, jak to nazywaliśmy. Kiedyś mój starszy brat i ja umówiliśmy się na wspólną randkę z dwiema dziewczynami. Postanowiliśmy pójść do kina i zobaczyć pewien film, który grano na okrągło. Kino było zawsze dobrym miejscem, by wyczuć możliwości nowej dziewczyny. Zasugerowałem, żeby dziewczyny obeszły kino i poczekały przed wyjściem, aż otworzę im drzwi, ale one powiedziały, żebyśmy się wypchali, i poszły do domu. Mój brat stwierdził, że nie należy się martwić, bo „to tylko rowery”, co znaczyło, że każdy może je dosiąść. To znaczy każdy, z wyjątkiem mnie i mojego brata.

Cotygodniowy przyjazd ciężarówka, która zabierała różne odpadki jedzenia był dla mnie i dla moich przyjaciół wielkim świętem. Ten facet przyjeżdżał co czwartek i zabierał obierki z kartofli oraz inne odpadki, które następnie sprzedawał w chlewni, znajdującej się na tyłach naszego domu. Wdrapywaliśmy się na platformę i pomagaliśmy upchać te resztki tak, aby zmieściło się ich tam jak najwięcej. To była świetna zabawa, a my cuchnęliśmy przez wiele dni.

Na końcu ulicy, przy której mieszkałem, stał wielki kościół. A przylegająca doń szkoła była miejscem, gdzie rozpoczęła się moja edukacja. Kawalki dachówki z łupka zastępowały książki oraz osobistą tablicę, a nasze przyrządy do pisania składały się oczywiście z kredy. Oprócz napełniania mojego mózgu szkoła zapewniała mi również obiad. Szkolny obiad to coś wymyślonego dla tych nieszczęśników, którzy nie przynoszą zapakowanego lunchu lub też których matki nie pozwalają im pomaszerować około stu

kroków do domu na lunch. To jedzenie trudno nazwać wybornym - na menu od poniedziałku do piątku składała się irlandzka duszonka, to znaczy kapusta z mięsem. Możesz zjeść lub nie. My nie mieliśmy żadnej skali porównawczej dla naszego życia i nasza dola była po prostu naszą dolą.

Bywały też i smutne chwile. W dzielnicy Cabra ciągle ktoś umierał. Ledwie minęło parę miesięcy, a już trzeba było wkładać odświętne ubranie i maszerować na cmentarz. Sądzę, że to dlatego, iż wszystkie rodziny były bardzo liczne, a więc fakt ten dawał wrażenie większej śmiertelności. Przyczyniało się do niej także picie, ale rzadko kiedy była o tym mowa na tych mszach, na których byłem. Irlandczycy mają dziwny sposób czczenia śmierci kogoś bliskiego. Nazywamy to czuwaniem przy zmarłym. Zakładając, że nie jest to taka tragedia jak śmierć dziecka, rodzina zmarłego urządza przyjęcie z rozmachem. I dlatego lubię pogrzeby. Pamiętam pogrzeb mojego dziadka ze strony matki. Trumnę ustawiono na kilku stołkach pośrodku saloniku, a wieko zdjęto, tak by każdy mógł się pożegnać. Pamiętam babcię podkładającą zmarłemu poduszkę oraz to, że pomyślałem wtedy, jakie to głupie. Nie mogłem dopatrzeć się powodu, dla którego dziadek został ubrany w swój najlepszy garnitur, a tak właśnie było. Wszędzie pełno było jedzenia, ale nic nie wolno było ruszyć, dopóki nie wrócimy z pogrzebu. Pomyślałem, że to nieładnie. Dziadka ominie przyjęcie na jego cześć. Podeszedłem do stołu, nałożyłem kopiasty talerz i postawiłem dziadkowi na piersi, gdy tak leżał pogrążony we śnie. A potem wyszedłem z domu, by zobaczyć, czy któryś z moich kolegów jest na dworze. I nagle z domu dobiegł głośny krzyk, tak donośny, że mógł obudzić tego biednego nicponia. Babcia poszła pożegnać się na zawsze ze swoim mężem od sześćdziesięciu lat, gdy zobaczyła wystającą z jego ust kanapkę z serem i z pomidorem. Mój ojciec okropnie mnie za to zbił. Lecz historia ta należała do ulubionych wśród moich rówieśników. Ja miałem wówczas zaledwie sześć lat.

W czasach mojego dzieciństwa moja matka zawsze była bardzo chora i w końcu zmarła, powoli mordowana przez doktora Millera, miejscowego lekarza rodzinnego. A wszystko rozpoczęło się w marcu 1963 roku, kiedy to doktor Miller po raz pierwszy przepisał jej valium. Skarżyła się, że „nie za bardzo się czuje” po urodzeniu jednej z córek. A on przepisywał jej valium podczas każdej wizyty, wzywany bądź to z powodu grypy, bolących nóg czy też częstej migreny. „Potrzebujesz valium, oto ono”. Miller

spowodował, że moja matka uzależniła się od leków. Przepisywał jej inne lekarstwa, aby zrównoważyć szkody spowodowane braniem trzech tabletek valium dziennie przez piętnaście lat. A w końcu moja matka brała proszki, ażeby zrównoważyć skutki tych „innych” tabletek, których nawet nie pamiętała, aby lekarz je przepisywał. Nikt z nas nie wiedział, że tę obłądną mieszaninę serwowano jej tak długo. Taka była ówczesna służba zdrowia. Każdy pacjent w poczekalni, bez względu na schorzenie, wychodził z gabinetu z receptą na valium. A Miller w ciągu godziny potrafił przepuścić przez swój gabinet dwa tuziny kobiet. Moja matka zmarła, mając pięćdziesiąt kilka lat, a wyglądała na ponad sto. Po jej śmierci członkowie rodziny zaczęli kwestionować tę mieszaninę leków, o której prawda dopiero wyszła na jaw. Puste buteleczki po tabletkach wały się wszędzie. Miller wystawiał nawet recepty na tabletki dla mojej matki na imiona moich sióstr. Jeśli matka była zbyt chora, aby udać się do niego, jedna z dziewcząt biegła do jego gabinetu, aby zamówić wizytę domową, a on odpowiadał: „Daj jej to, a jeśli jutro nie będzie czuć się lepiej, przyjdź znowu i spróbujemy dać coś innego”. Ten cholerny leń nie pofatygował się do domu pacjenta, chyba że ten zmarł.

To przykre, ale nie było mnie w domu, gdy mama zmarła, ale słyszałem świetną historię, jak jej starszy brat poszedł do pocziwego doktora i zabił go, a trwało to zaledwie kilka minut. Mój wuj miał charakter. Pasjonował się hazardem, a przede wszystkim obstawiał wyścigi psów i koni. Pierwszego psa dostał od przyjaciela z pubu. Pies nazywał się Czarnuch i był szary. Ten przyjaciel nie chciał mieć dłużej tego psa, bo sprawiał kłopot: w nocy hałasował i nie dawał spać sąsiadom i tak dalej. A jedyną rzeczą, którą mógł robić Czarnuch, a co mogło przeszkadzać sąsiadom, było chrapanie. Mój wuj zaprosił nas, dzieciaki, do siebie pod miasto, aby zaprezentować pierwszą lekcję szkolenia. Wsiadł na rower i pojechał, a z tyłu przyczepiony był piękny kawałek steku. Ja miałem trzymać psa i puścić go, jak usłyszę gwizdnięcie. Rozległ się gwizd, puściłem psa i wszyscy pałaszowaliśmy stek z frytkami w czasie przeznaczonym na herbatę.

Niezrażony oczywistym brakiem formy wykazanym przez Czarnucha, mój wuj kontynuował karierę tresera i nawet miał kilka zdolnych psów. Wkrótce nauczył się sztuczek koniecznych w tym zawodzie. Szedł na wyścigi psów i tuż przed zajęciem przez psa pozycji na starcie wpychał mu do pyska kawał melasy. Bramka się otwierała i pies wypadał ze swego boksu. Podczas pierwszego okrążenia próbował złapać powietrze, lecz

magiczna melasa mu to uniemożliwiła. I nagle pies pozbawiony możliwości oddychania przybiegał na metę ostatni. Po dwóch czy trzech zawodach melasa nie była już potrzebna i pies zwiewał do domu wśród krzyków i awantur. Mój wuj spędził połowę życia, śledząc gonytwy psów, a drugą połowę, uciekając przed niezadowolonymi graczami.

Tymczasem ojciec robił, co mógł, aby uczynić z nas bogobojne dzieci. Wszyscy chodziliśmy do kościoła. Jednak każde z nas szukało tam innych bogów. Niektóre z siedmiorga dzieci wracały tam, podczas gdy inne zachowywały rezerwę, zmieniając obozy w zależności od stopnia odczuwanego żalu. Miałem okazję przekonać się, do którego obozu należę, gdy śmierć kochanej osoby sprawiła, iż zacząłem poszukiwać odpowiedzi na różne pytania. Religia jest na swój sposób śmieszna. To trochę tak, że kiedy ludzie wygrywają na loterii, to natychmiast chcą mieć nowy samochód lub dom, a kiedy tracą pieniądze, odczuwają palącą potrzebę Jezusa. Pomimo największych starań mojemu ojcu absolutnie nie udało się wpoić nam wiary. Opowiadał nam wszystkie wspaniałe historie z Biblii, a także inne, o cudach i o świętych. A do jego ulubionych należała opowieść o ojcu Pio.

20 września 1918 roku ojciec Pio klęczał przed wielkim krucyfiksem, gdy doświadczył widocznych znaków ukrzyżowania. Lekarz, który zbadał ojca Pio, nie mógł znaleźć żadnych naturalnych przyczyn jego ran. A one ani się nie goiły, ani nie jątrzyły, pięćdziesiąt lat później zaś, w chwili śmierci ojca Pio, nadal krwawiły. Rany stygmatyczne nie były jedynym mistycznym zjawiskiem, jakie przydarzyło się ojcu Pio. Wielu ludzi twierdzi, że ten skromny ksiądz cudownie ich uzdrowił. A kiedy 23 września 1968 roku zmarł w wieku osiemdziesięciu jeden lat, na jego pogrzeb przyszło około stu tysięcy ludzi.

Słyszałem tę historię ze sto razy albo i więcej. Należała do obowiązkowych opowieści z okazji takich dni jak sobota, niedziela, a także innych, gdy ktoś pojawiał się w naszym saloniku. Jak na przykład wówczas, gdy siedzieliśmy sobie z moją dziewczyną Sarą na kanapie i całowaliśmy się. Myślałem, że ojciec wraz ze wszystkimi poszedł na jarmark obok kościoła, ale on wparadował, rozsiadł się „w swoim krześle” i zaczął opowiadać Sarze o ojcu Pio. A tu my, Sara z rajstopami zsuniętymi do połowy ud i ja ze sterczącym kutasem, słuchający opowieści o facecie z dziurami w rękach. Trzeba było to widzieć.

Potrzeba odczuwana przez ojca, aby ciągle opowiadać tę historię, była ćwiczeniem doładowującym jego wiarę. A jeszcze, pomimo tej wylewającej się miłości do wszystkiego, co wiązało się z religią, znajdował czas na najokropniejsze kawały i wyśmiewanie się z tych samych instytucji. Jego ukochany kawał opowiadał o małżeństwie, które spotkał podczas jednej ze swoich pielgrzymek do Lourdes. Tam pewnego popołudnia 11 lutego 1858 roku czternastoletnia dziewczynka, Bernadette Soubirous, zbierając drzewo na brzegu rzeki Gave de Pau, podobno zobaczyła Matkę Boską. Była sama, bez siostry i przyjaciół. Potem powiedziała, że usłyszała wielki hałas, który opisała jako potężną burzę. Twierdziła, że zwróciwszy się w kierunku tego hałasu, to znaczy w kierunku pobliskiej grotty zwanej Massabielle, zobaczyła potargany przez wiatr różany krzew - a tego dnia nie było wiatru. Zaciekawiona, zaintrygowana, a nawet przestraszona, zaczęła zbliżać się do grotty. I gdy podeszła, u wejścia pojawił się złoty obłok. Wyłoniła się z niego piękna pani w bieli, z niebieską wstążką i różami u stóp. Ta kobieta, szesnasto- lub siedemnastoletnia, miała na głowie welon, a w ręku trzymała różaniec z białych paciorków na złotym łańcuszku. Wkrótce Bernadette uświadomiła sobie, że ta pani to Matka Boska. Kazała ona Bernadecie kopać w grocie, i tak odkryte zostało źródło, którego woda wkrótce stała się znana na całym świecie. Katolicy z całego globu przyjeżdżają do tego źródła w nadziei pozbycia się chorób zagrażających ich życiu.

Mój ojciec częściowo zanurzył się w magicznej wodzie źródła w Lourdes i to tu wpadł na pomysł jednego ze swoich ulubionych kawałów. Mianowicie poproszono go o pomoc w pchaniu przez świętą wodę wózka inwalidzkiego z mężczyzną; żona tego człowieka była za stara i za słaba, by to zrobić. Ów przykuty do wózka mężczyzna nie chodził od lat, a powodem tego było stwardnienie rozsiane. Ojciec opowiadał tę historię z wielką dumą, a ludzie siedzieli niemal na krawędzi krzesel, czekając na wiadomość, że ojciec był świadkiem cudu, jaki wydarzył się w świętych wodach Lourdes. Ojciec opisywał, jak to on i ten mężczyzna cierpliwie czekali w kolejce, zanim pchnął ciężki, skrzypiący wózek do źródła, przepchnął przez nie i wypchnął na drugi brzeg. „No, no...” - padało ze strony słuchaczy - „i został uzdrowiony?” A ojciec odpowiadał: „O nie, ale wózek przestał skrzypieć”. I aż się posikał ze śmiechu. Jak taki pobożny człowiek mógł stroić sobie żarty z takich rzeczy?

Zarówno mój ojciec, jak i ja cierpieliśmy na wielką przypadłość, a była to zdolność naśladowania ludzi. Używam tu słowa „przypadłość”, ponieważ wydaje mi się, że gdy tylko nadarzała się okazja, nie byliśmy w stanie się od tego powstrzymać. Kiedy chodziłem do szkoły, potrafiłem zmałpować każdego nauczyciela i kolegę. Ojciec też był taki, i gdy zostawialiśmy sami, to nie było nic świętego. Takie naigrawanie się z ludzi to był sposób na życie w Dublinie. Szukało się własnych rozrywek.

Nasz dom wypełniały wielkie pamiątki z krucjat podejmowanych przez mojego ojca. Pod poduszką miałem wszystko: od drzazg z krzyża niesionego przez Jezusa z Nazaretu po małe fragmenty ubrań rozmaitych świętych, łącznie z naszym irlandzkim patronem, świętym Patrykiem. Święty Patryk doskonale łapał węże. Co prawda w Irlandii nigdy nie było węży i trudno było uzgodnić, kim naprawdę był święty Patryk. Ostatnia wersja głosi, że był Francuzem. A to wygląda sensownie, bo w Irlandii jest mnóstwo żab. Zawsze cieszyłem się z prezentów, nawet z wody święconej, ale nigdy nie uważałem, że są autentyczne.

Jako mały chłopiec, rozpoczynając już karierę pozbawiania ludzi ich rzeczy osobistych, doceniłem potencjalne dochody ze sprzedaży takich przedmiotów. Będąc dzieckiem, mogłem się tylko zastanawiać, jak wielki musiał być krzyż, który dźwigał Chrystus. Kościół sprzedawał kawałki tego przedmiotu przez tysiąc albo i więcej lat. Nawet w gazecie „The Irish Times” było ogłoszenie reklamujące „kawałki z krzyża pańskiego”. A pod spodem widniał dopisek: „Zamówienia hurtowe mile widziane”. A jeśli chodzi o strzępki oraz kawałki szat noszonych przez świętych, to cała sprawa zawsze wydawała się wielce nieprawdopodobna. Tak wielu z tych ludzi było wręcz nieznanymi w czasach, w których żyli, więc absolutnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś wtedy starał się zachować noszone przez nich szaty dla przyszłych zwolenników. A już przekręt z wodą święconą przerastał wszystkie inne. Co roku sprzedaje się miliony litrów wody święconej zgromadzonej w najrozmaitszych zbiornikach. Irlandczyk uwielbia święconą wodę. Herbaciarnia w Kerry sprzedawała herbatę i placki przyrządzone z dodatkiem wyłącznie z wody święconej.

Dublin to wspaniałe miasto, przyciąga turystów wszelkiej narodowości. Jako dziecko nie doceniałem tego. Nigdy nie zapuszczaliśmy się dalej niż na koniec ulicy. Czasami rodzice po porannej niedzielnej mszy zabierali nas do parku. Phoenix Park był

wspaniały; było tam piękne zoo, a my uwielbialiśmy drażnić lwy, wsadzając ręce przez kraty i wyciągając je dosłownie w momencie, kiedy lew już miał odgryźć dłoń. Wracając z parku, szliśmy w kierunku centrum, obok Liffy'ego, albo do kolumny Nelsona, aby się na nią wspiąć. Trzeba było pokonać ponad 150 stopni, żeby dostać się na platformę widokową, a twoje wysiłki wynagradzał piękny widok na miasto. W szkole musiałem wysłuchać wszystkiego na temat naszego pomnika postawionego ku czci bohatera brytyjskiej marynarki Horatia Nelsona, więc oczywiście nie pamiętam z tego nic poza faktem, że pomnik ten znajdował się na ulicy Sackville. Miejscowi nie lubili pomnika i nazywali go zawalidroga ruchu, toteż nikt nie wydawał się zmartwiony, gdy Irlandzka Armia Wyzwolenia wysadziła go w powietrze w 1966 roku. Każdy w Dublinie ma kawałek tego pomnika na pamiątkę (zapytania w sprawie sprzedaży hurtowej mile widziane).

Raz czy dwa w miesiącu chodziliśmy na rynek. Uwielbiałem patrzeć na rozmaite warzywa. Nie znosiłem smaku jarzyn, ale uwielbiałem na nie patrzeć. Na rynku zawsze kręcili się ludzie sprzedający tanie papierosy i zapalniczki. Pchali przed sobą wózki i krzyтели: „Papierosy, pięć paczek za funt”, a gdy klient podchodził do nich, sięgali w głąb wózka, tam gdzie powinno znajdować się dziecko, i wyciągali swój towar. Sądzę że były to rzeczy kradzione, ponieważ gdy zjawiała się policja, ludzie ci po prostu znikali. Na targowisku na Moore Street sprzedawano również piękne kwiaty, setki kwiatów w każdym kolorze. Zawsze mnie one fascynowały, bo nigdy nie widziałem żadnego kwiatka rosnącego w czymkolwiek ogródku, więc dziwiłem się, skąd mogą pochodzić. Poza rynkiem, parkiem i kolumną Nelsona mój ulubiony obiekt obserwacji stanowiły drzwi. Domy to nie było nic specjalnego, lecz wątpię, czy jakiegokolwiek inne miasto na świecie ma tak wspaniałe wejścia. Każdy z gregoriańskich domów w mieście ma unikalne drzwi. Organizowane są nawet konkursy z nagrodami na najpiękniejsze drzwi. Szczególnie ulice dookoła Merrion Square przyciągają w każdy weekend setki zwiedzających, chcących koniecznie zobaczyć, jak pięknie pomalowane są drzwi w Dublinie. Nasze były czerwone.

Pewnego razu poszliśmy do Trinity College. Zgubiliśmy się z bratem w tej wielkiej bibliotece. Mój ojciec chciał zobaczyć Ewangeliarz z Kells, ale my chcieliśmy się bawić w chowanego. Schowaliśmy się i znalezienie nas zajęło ojcu cały dzień. Nie pamiętam, żebym widział ten Ewangeliarz, ale dowiedziałem się wszystkiego o tym arcydziele, wykonanym w 800 roku przez mnichów. Książka została przepisana ręcznie i zawiera



cztery kazania: Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Niektóre zwoje można oglądać, używając dziesięciokrotnie powiększającego szkła (a zostało ono wynalezione dopiero cztery wieki po ukończeniu Ewangeliarza). Ja sam wyryłem swoim scyzorykiem różne napisy w szkolnej ubikacji. Dyrektor wiedział, że to ja. Powiedziałem, że to sztuka taka sama jak w Ewangeliarzu z Kells. On odparł, że to gównno, i kazał mi pomalować pół korytarza.

Miasto było pełne życia. Uwielbiałem patrzeć na różnych przechodniów, kiedy podczas któregoś z naszych wolnych dni siedzieliśmy na stopniach głównego urzędu pocztowego, zajadając kanapki. Nigdy nie wyruszaliśmy daleko bez słynnych kanapek z pomidorem, przygotowanych przez moją mamę. Zanim zdążyliśmy je zjeść, były kompletnie rozmoknięte i pyszne.

### **Rozdział III**

Miałem czternaście lat i jedenaście miesięcy, gdy zostałem wyrzucony ze szkoły. Przed frontową bramą szkoły średniej im. Kardynała Newmana zorganizowałem marsz protestacyjny. Wpadłem na pomysł, aby starsi uczniowie, którzy mieli autentyczny żal do sposobu funkcjonowania szkoły, przemaszerowali w górę ulicy i trochę pohłasowali. Wszyscy wylegli ze szkoły - wręcz nie mogłem uwierzyć. Nawet próbowałem namówić młodszych, aby wracali, ale oni się zapalili do tego protestu, no więc poszliśmy. Ktoś zadzwonił do lokalnej prasy i natychmiast zjawiał się reporter, który spytał mnie: „No, a jakie są twoje główne cele jako przywódcy?”.

„Och, nie jestem przywódcą, proszę pana. Myślałem, że to ćwiczenia straży pożarnej”, powiedziałem. Następnego dnia kazano mi zabierać się ze szkoły i nie pozwolono mi nawet pożegnać się z moimi szkolnymi przyjaciółmi, z których wielu miałem już nigdy nie zobaczyć.

W dniu, w którym wyrzucono mnie ze szkoły, ojciec bez uprzedzenia zabrał mnie do jednej z nowych fabryk i zaproponował, abym zobaczył, jak mi pójdzie. Nie był rozczarowany, że w tak młodym wieku przerwałem naukę, ponieważ rodzina potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Zarówno mój starszy brat, jak i siostra pracowali i łożyli na utrzymanie, a ja również chciałem dołożyć się do tych domowych wydatków. Jeszcze tego samego dnia dostałem pracę w fabryce plastiku, gdzie produkowano portfele, torby na zakupy oraz inne bezużyteczne rzeczy. Moje doświadczenie w pracy wywarło na majstrze wrażenie. Przed trzynastym rokiem życia pracowałem w miejscowej frytkami. Chodziłem tam wieczorem pięć razy w tygodniu i nieźle zarabiałem. Moja praca polegała na wyrzucaniu kartofli z worków i wrzucaniu ich do maszyny obierającej, a następnie, gdy wypadały do dużej wanny, musiałem je czyścić. Przez dwie godziny ręce miałem zanurzone w lodowatej wodzie, ponieważ myłem ziemniaki i wybierałem kawałki, które ominęła obieraczka. Po skończonej pracy wolno mi było wziąć torbę frytek i butelkę oranżady, więc robota była naprawdę w porządku. Przestałem tam pracować kilka tygodni przed wyrzuceniem mnie ze szkoły. Właściciel doznał ataku serca w momencie, gdy wkładał duży kosz z rybami do naczynia z gorącym tłuszczem. Wpadł

głową do tego garnka - to był straszny widok. Jego żona zamknęła interes, a sklep wystawiła na sprzedaż.

Fabryka plastiku stanowiła dobry początek w mojej karierze człowieka pracującego. Na dodatek znajdowała się niedaleko od domu, w którym w zimie było paskudnie. Moje stanowisko pracy było z tyłu fabryki; obsługiwałem maszynę tnącą duże kawałki plastiku. Mogłem słuchać radia i wygłupiać się. Czasem też widziałem wystające majtki u jednej z dziewczyn z biura, która pracowała na antresoli zbudowanej we frontowej części fabryki. Miriam CReilly miała wielki tyłek i przeważnie zaczynałem dzień od zezowania w jej stronę. Wiedziała, że patrzę, jak się nachyla, aby podnieść teczki z dokumentami, które z jakiegoś powodu zawsze leżały na podłodze, zamiast na biurku. Często próbowała przyłapać mnie, jak się na nią gapię. Szybko udoskonaliłem sztukę udawania, że patrzę w dół, podczas gdy zerkam do góry. Robienie tego przez cały dzień bardzo męczyło mięśnie moich oczu. Lecz Miriam była walona więcej razy niż zużyta tarcza do rzutków, toteż ja ograniczyłem nasze kontakty do wzrokowych.

Wkrótce zlecono mi przygotowywanie zamówień na materiał i próbki dla przedstawicieli handlowych. Jeden z nich, niepotrafiący zliczyć do dwóch, także i w kwestii przygotowywania materiału zdał się całkowicie na mnie. W zamian odpalał mi co miesiąc co nieco ze swojej doli. Wysunąłem również propozycję zwiększenia wydajności firmy przez wprowadzenie lepszej zmianowości pracy oraz wykorzystania ścinko w plastiku do wytwarzania mniejszych wyrobów. Po prostu czułem ten interes.

Zarabiałem na życie, dawałem w domu pieniądze na utrzymanie i miałem pierwszy romans. To była świetna dziewczyna, jej matka zaś była doskonałą kucharką. Miały kolorowy telewizor, wobec tego u siebie w domu bywałem rzadko. Ojciec mojej dziewczyny był cieślą, więc w weekendy zazwyczaj pracowałem z nim, dorabiając sobie w ten sposób. Tak więc miałem wszystko, nawet pojazd.

Pracowałem w tej fabryce przez dwa lata, próbowałem oszczędzać i odłożyć trochę pieniędzy, ale zawsze było coś, na co trzeba było je wydać. Posiadanie dziewczyny bynajmniej tu nie pomagało. Oznaczało, że wszystko, co robisz, kosztuje cię podwójnie. Nigdy nie próbowałem przemycać jej do kina, chociaż zastanawiałem się nad tym kilkakrotnie. Uwielbiałem szaleć na moim motorowerze, ale ciągle się wywracałem. Chyba siodełko było obluźwane, albo może koła. Pewnej nocy, po wizycie u mojej

dziewczyny, miałem straszny wypadek. Padał deszcz, a ja zbliżałem się do zakrętu niedaleko od mojego domu. W chwili gdy skręcałem, nagle nie wiadomo skąd wyłonił się autobus i musiałem gwałtownie skręcić, aby uniknąć zderzenia. Przednie koło uderzyło w wysoki krawężnik, a ja przeleciałem nad kierownicą, walnąłem głową w mur i w tym momencie wylądował na mnie mój motorower. Leżałem tak, kiedy jakiś gamoń wyszedł z domu i zaczął besztuć mnie za zniszczenie jego ceglanego muru. Musiałem podnieść motorower i pchając go, powlec się do siebie. Innym znów razem, pojechawszy za miasto, wylądowałem w rowie, kiedy wielki ptak wyleciał nagle z krzaków i rozbił się o moje przednie koło, co sprawiło, że wraz z motorowerem wykonałem obrót o 180 stopni. Przez ten pieprzony motorower musiałem kilkakrotnie odwiedzić szpital.

Nie to, żebym był niewdzięczny: miałem pracę, dziewczynę i środek transportu, ale chciałem mieć więcej. Dostrzegłem, że praca od dziewiątej do piątej, plus trochę godzin nadliczbowych, może dać mi tylko tyle, co miałem. A odwaląłem całą robotę, gdy szef zajmował się tylko Miriam. Grono przyjaciół, z którymi przestawałem, mogło się poszczycić w życiu większymi osiągnięciami niż ja. Mieli samochody i własne mieszkania - autentyczne oznaki sukcesu. Jednak nikt z nich nie pracował, i z pewnością takiego stylu życia nie zapewniał zasilek dla bezrobotnych. Te chłopaki utworzyły paczkę zajmującą się rabunkiem. Okradali na przykład urzędy pocztowe, hurtownie, czasem jakiś bank. Tak wyglądały ich ostatnie zajęcia. Shaun Quinn żył sobie nieźle, a nigdy w swoim życiu nie przepracował ani jednego dnia. Sprzedawał to, co znalazł w hurtowniach. Swoje pierwsze stereo kupiłem od Shauna za pięć funtów, podczas gdy w sklepie kosztowało ono siedemdziesiąt funtów. No, nie można było przepuścić takiej okazji. Jak tu zarobić pieniądze, ale naprawdę duże pieniądze? Nie podobał mi się pomysł uprawiania kradzieży, bo wiązał się z ciężką pracą, ciągłym taszczeniem paczek i próbą ukrycia towaru przed policją. Raz z moim przyjacielem Trevorem Connellym ukradliśmy samochód. Trevor umiał prowadzić i w związku z tym spędziliśmy kilka fantastycznych weekendów na szaleńczej jeździe, ale przecież nie mogliśmy zaparkować tego samochodu ani przed moim, ani przed Trevora domem. Wreszcie wymieniliśmy auto na gitarę. Miała nylonowe struny. Wiedziałem, że aby się wzbogacić, powinienem zająć się jakimś czystym i schludnym przedsięwzięciem. I tak po zaaplikowaniu samemu sobie burzy mózgu wpadłem na pomysł, który miał mi przynieść niewielką fortunę.

Najpierw musiałem mieć dokument tożsamości, twardą podkładkę do robienia notatek, pióro i obciąć włosy. I w ten sposób narodziło się przedsięwzięcie pod nazwą Tele-Rent. „Dzień dobry pani, jestem z Tele-Rent i mam dla pani świetną propozycję. Jedynie za pięć funtów może pani mieć przez rok jeden z tych kolorowych telewizorów, które widać tu na zdjęciach. Wszystko, co musi pani zrobić, to wpłacić depozyt w wysokości dwóch funtów i resztę za dostawę”. Moja matka wynosiła około dwudziestu procent. Bywały dni, że zarabiałem nawet sto funtów, a to była fortuna. Wówczas jeździłem po Irlandii, zwiedzając różne miasta. Nocowałem w hotelach typu bed&breakfast, ale rzadko kiedy płaciłem za nocleg, ponieważ hotele także były moimi klientami. Rzuciłem pracę w fabryce plastiku i rozpocząłem nowe życie jako przedsiębiorca. Mniej więcej po miesiącu rozeszła się wieść, że krąży jakiś naciągacz, na niby wynajmując telewizory. Jednak nadal wychodziłem na swoje i pomogło mi to rozpocząć nowy interes związany z zaopatrzeniem. Zdarzyła się jednak też i przykra rzecz - moja dziewczyna rzuciła mnie dla faceta, który za pomocą maszyny wiercił dziury w ziemi. Powiedziałem jej, że to idiota usiłujący znaleźć Australię. To rozstanie sprawiło, że chodziłem smutny. Lubiałem ją bardzo i naprawdę lubiałem przebywać z jej rodziną, szczególnie w czasie posiłków. Tylko u nich widziałem serwis do herbaty, w którym wszystkie filiżanki miały uszka. Lecz podjąłem decyzję -już nigdy nie będę pracować w lodowatej fabryce. Tak mi najbardziej pasowało.

Czułem się sfrustrowany życiem w Dublinie, toteż zacząłem rozglądać się za innymi możliwościami. Wpatrywałem się w okna biur podróży i marzyłem o odległych krajach. Ameryka była jedynym miejscem, które nigdy mnie nie pociągało. Dla Irlandczyków wyjazd do Ameryki był czymś naturalnym, wyjeżdżaliśmy tam od chwili jej odkrycia. Aczkolwiek nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można „odkryć” miejsce, w którym już gdy przyjechali odkrywcy, mieszkali ludzie. W czasach głodu Brytyjczycy wysłali wielu Irlandczyków do Ameryki. Większość ludzi nie może pojąć, dlaczego Irlandczycy nienawidzili wówczas Anglików, ale akcje Pomsa w czasach wielkiego głodu to dostateczny powód do nienawiści. Dla mnie jako dziecka słowa „wielki głód” nic nie znaczyły. Jedyne, co rozumiałem to to, że kartofle się zepsuły i nie było co jeść. Ziemniaki rzeczywiście się zepsuły, ale rolnicy wyhodowali nowe zbiory. Właściciel ziemski (narzucony przez Brytyjczyków) pobierał procent od każdego zbioru, resztę zaś

pozostawiał rodzinie obrabiającej tę ziemię. W czasach głodu właściciele ziemscy brali jako czynsz dzierżawny także resztę zbiorów, tak że dla dzierżawców nic nie pozostawało. Brytyjczycy dostrzegli w takim postępowaniu doskonałą sposobność, aby przeciągnąć na swoją stronę miejscowych chłopów. „Damy wam jedzenie, jeśli przysięgniecie posłuszeństwo Koronie i wyrzekniecie się swojej religii”. Niewielu to zrobiło. Ileś lat później, podczas jednej z moich podróży do domu, będąc w południowo-wschodniej części Irlandii, a więc w sercu regionu, ogarniętego klęską głodu spowodowaną nieurodzajem ziemniaków, zaszedłem na dziedziniec kościoła. Stałem pod drzewem, na którym widniała mała tabliczka. Napis na niej głosił: „W tej ziemi, na której stoisz, leżą ciała 1200 dzieci, pochowanych razem we wspólnej mogile w czasie pierwszego roku głodu”. Przeczytawszy o tym głodzie już jako dorosły i czytając prywatne listy, pisane w tym czasie przez miejscową ludność, nabrałem szacunku dla tych, którzy do dziś żądają od Anglików odpowiedzi na pytania związane z tym okresem. Jednego z tych listów nigdy nie zapomnę. Jakiś mężczyzna opisuje, jak chował swoje dzieci. Tylko to jedno zdanie wystarczyło, abym wzruszył się do łez: „Dziś pochowaliśmy Nancy, a myślę, że jutro nadejdzie kolej na Thomasa, naszego najmłodszego”. Nigdy nie czułem nienawiści do Brytyjczyków. O ludziach wyrabiam sobie zdanie na podstawie tego, jacy są i jak mnie traktują. Większość narodów ma w swojej historii zdarzenia, co do których wołałyby, aby nigdy nie miały miejsca. W każdym razie tak jak i moi przodkowie zostałem zmuszony do opuszczenia ojczyzny. Ktoś słyszał, jak jeden z policjantów, który zapisał się na telewizor z Tele-Rent, powiedział: „Zabiję tego chudego gnoja, jak go tylko zobaczę”. I te słowa nieco przyhamowały odruchy mojej tęsknoty za ojczyzną.

## Rozdział IV

Pierwsze poważne zadanie Gelli powierzył mi w 1971 roku. Aż do tej pory Shaun i ja nie spędzaliśmy zbyt wiele czasu razem, ponieważ on wyprowadził się z naszego hotelu na chatę do dziewczyny z Long Island. Natomiast ja coraz bardziej angażowałem się w pracę dla firmy Gellego i czasem działałem w pojedynkę. Niekiedy przeprowadzałem także operacyjne akcje dla osób, które interesy wiązały z Gellim, co oznaczało bezpośrednie kontakty z klientem. Bardzo szybko zyskiwałem w mieście reputację człowieka, któremu można zlecić pozyskanie ważnych dokumentów. Zaakceptowałem swoje zajęcie. Było czyste, schludne i nikt nie odnosił obrażeń. Miałem obowiązkową parę ciemnych okularów, ale nosiłem je tylko w jasne, słoneczne dni. Uczyłem się najrozmaitszych sztuczek, a przede wszystkim tego, jak dostać się do budynku. Często całkowicie wystarczały drzwi, i to nawet w czasie godzin pracy. Ludzie spodziewali się, że łupem złodzieja mogą paść pieniądze albo biżuteria, a dokumentów prawie wcale nie zabezpieczali. Przeważnie te papiery za chwilę miały zostać wykorzystane przez prokuratora okręgowego podczas jakiegoś spotkania lub procesu sądowego, toteż zazwyczaj leżały porozrzucane na biurku albo tkwiły w niezamkniętych szafach. Czasem jednak kluczowe dla jakiejś sprawy dokumenty tkwiły w sejfach i dlatego do tego typu zleceń Gelli miał specjalnego człowieka.

Tylko kilka razy pracowałem z Jimmym Stepem, ale wiele godzin poświęciłem na uczenie mnie, jak obchodzić się z sejfami i różnymi kasami pancernymi. Pokazał mi używane do takich celów materiały wybuchowe oraz wytrychy. Jimmy był klasycznym kasiarzem. Wyglądał nieco dziwacznie w swoich okularach w grubej, czarnej oprawie, w jego brwiach zaś z pewnością było więcej włosów niż na głowie. Był kościstym mężczyzną o palcach długich jak u pianisty. Zanim przystąpił do lekcji ze mną, lubił załamywać ręce w taki sposób, by trzeszczały w nich kości. Nie cierpiałem tego odgłosu. W Irlandii miałem przyjaciela, który swoją umiejętnością strzelania kośćmi różnych stawów potrafił zgromadzić tłum gapiów. Umiał na przykład sprawić, że takie trzaski wydawały jego kręgi szyjne. Aż mnie przechodziły dreszcze. Ostatnio słyszałem, że jeździ na wózku inwalidzkim.

Zdobycie wiadomości o zabezpieczeniach w danej firmie nie było trudne. Dobrym źródłem informacji byli pracownicy oraz niezadowoleni strażnicy, którzy dostali z jakiegoś powodu burę. Zawsze wiedzieliśmy, czego należy się spodziewać i jakie narzędzia zabrać. Spędziłem tygodnie na przyswajaniu wiedzy na temat najrozmaitszych zamków. Podstawową sprawą w mojej pracy było zachowanie tajemnicy, więc wysadzanie drzwi sejfów stanowiło ostateczność. Im więcej czasu upłynęło, zanim ktoś się zorientował, że jakiś dokument zginął, został skopiowany lub sfalszowany, tym lepiej. W pracy brało się pod uwagę każdy szczegół: od odcisków palców poczynając, poprzez pozostawienie włączonego światła, aż po wszczęcie alarmu. Policja wezwana na miejsce włamania przeprowadzała rutynowe sprawdzanie w celu ustalenia, czy ktoś był w pokoju i kiedy. To zdumiewające, ile wskazówek pozostawia po sobie włamywacz. Według oceny policji nawet najlepszy profesjonalista zostawia na miejscu przestępstwa dwa lub trzy ślady.

Gelli zapoznał mnie ze starszym detektywem z jednostki policji kryminalnej i on przekazał mi całą swoją wiedzę na temat miejsc przestępstw. Alain Del-Rose pracował w jednostce nowojorskiej policji, która zajmowała się włamaniami. Poproszono go, aby nauczył mnie, czego należy unikać, dokonując włamania. Nie mogłem uwierzyć, że człowiek, którego praca polega na chwytywaniu przestępców, spędzał czas na uczeniu mnie, jak powinienem unikać wpadki. Zaproponowano mi, abym popracował trochę z Alainem przy autentycznych sprawach. On głównie pracował ze swojego samochodu. Jeśli nie odbierał telefonu i nie odwalał akurat papierkowej roboty, to urzędował przy swoim ulubionym kramie z pączkami. Był okazałym mężczyzną, wręcz olbrzymim, ale dał się lubić. Kiedy dzwonił telefon, udzielał informacji szybko i profesjonalnie. Ja, w razie pytań, miałem mówić, że jestem odbywającym praktykę reporterem sądowym. Pewnego razu pojechaliśmy na miejsce włamania. Było to u jubilera, we wschodniej części Manhattanu. Doprawdy nie wiem, po co jechaliśmy tam samochodem, gdyż szybciej (a jeśli chodzi o mnie to nawet na pewno) przeszlibyśmy te dwie mile pieszo. Złodzieje nie tknęli rzeczy we frontowej części sklepu, wzięli tylko te, które znajdowały się w sejfie. Do tej sprawy przydzielono dużą jednostkę policji, gdyż było to już czwarte włamanie do jubilerskiego sejfu w tym miesiącu. Aż do późnych godzin porannych nikt nie zauważył włamania. Obeszliśmy budynek i weszliśmy przez główne wejście. Alain od razu doszedł



do wniosku, że włamywaczy musiało być co najmniej dwóch. Będąc już wewnątrz, wskazał na kilka pozostawionych przez nich śladów oraz stwierdził, że nowojorscy policjanci byli już bliscy namierzenia kilku podejrzanych. Poszliśmy z powrotem do jego samochodu, pojechaliśmy odwiedzić Pana Pączka i odbyliśmy odprawę. Alain wyliczył z pół tuzina oczywistych błędów, jakie popełnili włamywacze, a wszystko to w trakcie pochłaniania sześciu pączków. Słuchałem go uważnie, ucząc się wszystkiego o śladach i o tym, jak ich nie zostawiać. Do najbardziej obciążających dowodów, jakie pozostawia po sobie przestępca, należą rzeczy, które mogą wypaść mu z kieszeni. Mogą to być maleńkie przedmioty, jak na przykład pet albo opakowanie po gumie do żucia. Alain pokazał mi kilka raportów na temat popełnionych przestępstw, w których była mowa o dowodach - w jaki sposób zostały zebrane, a następnie użyte w procesie jako materiał obciążający. Niektórzy z przestępców, o których czytałem, wydawali się uczciwymi i ciężko pracującymi złodziejaskami, ale niektórzy to po prostu zwykli idioci. Była tam historia o facecie, który obrabował bogate małżeństwo z Manhattanu. Ukradł rzeczy warte ponad sto tysięcy dolarów, w tym również pieniądze oraz przedmioty osobistego użytku. Pracował w rękawiczkach i prawdopodobnie wchodząc do budynku, wytarł buty. Przedsięwziął wszystkie środki ostrożności, ale biedak przedtem musiał zjeść zbyt dużo i będąc już w mieszkaniu swoich ofiar, poszedł do ubikacji. Policja miała podejrzanego o to włamanie dzięki ochroniarzowi budynku, który zapisał numery rejestracyjne samochodu, jakim przyjechał sprawca. Podobno strażnikowi nie podobało się, że samochód włamywacza zaparkowany został przed frontowym wejściem do budynku. Dlatego spisał numery z tablicy rejestracyjnej. Policja nie miała żadnych solidnych dowodów, łączących osobę, która przyjechała tym samochodem, z włamaniem, dopóki właścicielka mieszkania nie spostrzegła, że ktoś korzystał z toalety. Okazało się, że tam włamywacz zdjął rękawiczki, następnie umył ręce, a potem wszystko powycierał. Jednak popełnił błąd. Siedząc na sedesie, zaczął przeglądać leżące w łazience kolorowe czasopisma. Wszędzie było na nich pełno jego odcisków palców.

Potem była historia o kompletnym idiocie. W sklepie z alkoholem zażądał on całej gotówki, jaka była w kasie, a potem kazał podać sobie butelkę whisky z półki nad głową sklepowego. „Nie mogę tego zrobić, bo nie wierzę, abyś miał dwadzieścia jeden lat”, powiedział sprzedawca. Włamywacz się rozżościł. „Już dawno skończyłem dwadzieścia

jeden lat, proszę, mogę to udowodnić" - pokazał swoje prawo jazdy. A sprzedawca odparł: „Och, no to proszę”. Włamywacz wyszedł, a policja dotarła do jego domu jeszcze przed nim.

Wiele z tych przestępstw było lekkiego kalibru, ale też wiele dotyczyło ponurych, okrutnych zbrodni. Uświadomiły mi one, że jestem tylko bardzo małym chuliganem, i oby Bóg sprawił, bym takim pozostał. Przeszedłem szkolenie. Dlaczego? Moje konto było czyste. W tej wielkiej metropolii byłem niemal niewidzialny, co oznaczało, że w razie gdybym popełnił jakiś błąd, na przykład pozostawiając w miejscu przestępstwa kartę telefoniczną, każde policyjne śledztwo ciągnęłoby się o wiele dłużej.

Do tej pory poznałem większość członków firmy i wydawało się, że zostałem przyjęty do stada. Byłem zapraszany do ich domów na liczne przyjęcia i poznawałem coraz to nowych współpracowników Gellego, dla których pracowałem. W takich to okolicznościach pod koniec 1971 roku poznałem Franka Sturgisa.

Spotkanie Franka, a następnie praca z nim zmieniły wszystko. Moje dobrze płatne zajęcie, dzięki któremu w porównaniu z życiem, jakie prowadziłem w Dublinie, wiodło mi się niczym królowi, stało się przeszłością. Sturgis był mordercą. Co prawda nie przedstawiał się w ten sposób, nie był to też jego tytuł, ale nim był. Walczył wraz z Castro, ale potem zwrócił się przeciwko niemu. Przeprowadził kilka zamachów na Castro, zabił wielu ludzi w Ameryce Północnej i Południowej i przyznawał się do zabójstw na terenie Stanów Zjednoczonych. Kiedy pojechałem z nim z pewną misją do Waszyngtonu, chętnie się, że to on był drugim strzelcem, który strzelał do Johna F. Kennedy'ego w Dallas - a ja mu wierzyłem. Frank był jakby żywcem wyjęty ze scenerii zbrodni. I aż dziwne, że pokazywał się w miejscach publicznych i nie aresztowano go pod jakimś zarzutem, byle jakim. Miał spojrzenie, które mówiło: „jestem winien” - bezpośrednio i zatrważające. Był masywny, ale nie gruby. Lubił kiwać głową, tak jak te psy, które stawia się za tylną szybą samochodu. „Jak leci, Frank?”. „Ano, ano”. Sądzę, że znaczyło to: „w porządku” lub też: „nie mam zielonego pojęcia, jak leci”. Ja miałem pomóc Frankowi uzyskać pewną informację od faceta o nazwisku Ellsberg.

Doktor Ellsberg pracował dla Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, ale zdecydował, że potrzebne mu są dodatkowe pieniądze. Zaoferował dostarczenie pewnych dokumentów dziennikowi „Washington Post”. Opisywały one całą farsę wojny w

Wietnamie oraz zawierały opinię, jaką rząd Stanów Zjednoczonych faktycznie miał o tej wojnie. Doktor Ellsberg twierdził, że miał też dowody na zawarcie dużych kontraktów z pominięciem normalnej procedury przetargowej i dawał do zrozumienia, że ujawni nazwiska urzędników, którzy świadomie popierali takie działania. Gelli miał wielu przyjaciół w „Washington Post” i jeden z nich ostrzegł go. Wojna, jak się okazuje, stanowiła dobry interes dla większości towarzyszy Gellego. Mieli oni udziały w firmach zajmujących się dostawą towarów i usług dla armii. Niektóre z tych kontraktów były warte dziesiątki milionów dolarów i obejmowały wszystko, od broni poczynając, a na workach do pakowania zwłok kończąc. A dobry pan doktor miał zamiar zniszczyć interes tych ludzi, zamierzając zaoferować swoje informacje legalnemu źródłu, jakim był dziennik „Washington Post”. Sturgis poprosił mnie, abym dowiedział się, jakimi dokumentami dysponuje Ellsberg. Otrzymałem nieco szczegółów dotyczących doktora, jego domu oraz osób z nim związanych, a reszta już należała do mnie.

Rozpoznanie przeprowadzałem sam. Przechodząc koło jego domu, spacerując, biegając i tak dalej. Miałem dobre warunki do obserwacji, ponieważ doktor Ellsberg przez większą część dnia był poza domem. Mieszkał sam i rzadko ktoś go odwiedzał. Najlepszym źródłem informacji o kimś są sąsiedzi. Włożyłem marynarkę z imieniem kuriera wyhaftowanym na kieszeni na piersi i zapukałem do drzwi sąsiadów. Wybrałem dom znajdujący się dwie posesje od domu doktora, wiedząc, że tak będzie mniej prawdopodobne, abym trafił na ludzi zaprzyjaźnionych z Ellsbergiem. Drzwi otworzyła starsza kobieta. Powiedziałem, że mam paczkę i chciałbym się dowiedzieć, kiedy pan doktor będzie w domu.

W ciągu minuty poznałem jego życie i rozkład dnia. Doktor miał opinię człowieka grzecznego i systematycznego! W przeprowadzaniu zwiadu pomagało mi jeszcze dwóch ludzi. Dostali walkie-talkie i mieli mnie informować o tym, co działo się na ulicy w pobliżu i wokół domu lekarza. Ellsberg trochę się nabiedził, chcąc ukryć dokumenty, które zabrał z pracy, ale w końcu znalazłem je. Było na nich napisane: „Tylko skopiować”. Ważne, że doktor Ellsberg nie podejrzewał, iż ktoś mógł się do nich dostać lub też że mógł je potem opublikować. Zanim cokolwiek dotknąłem, starałem się zapamiętać wygląd całego pokoju. A gdy już znalazłem dokumenty, to równie dużo czasu zajęło mi przyglądanie się, w jaki sposób zostały ułożone, co ich czytanie i kopiowanie. Upewniłem

się, że biorąc kartki do ręki, nie pozostawiłem na papierze żadnych zagięć. Najlepszy sposób obchodzenia się z delikatnym kawałkiem papieru to pozwolić mu upaść na podłogę lub na jakąś inną płaską powierzchnię. Informacje zawarte w tych dokumentach były dość obciążające, ale było sporo czasu, by Gelli zdołał przekupić kogo trzeba. Mniej więcej miesiąc później dziennik „Washington Post” opublikował serię dokumentów dostarczonych mu przez doktora Daniela Ellsberga.

Firma nie poniosła z tego tytułu większej szkody. Sturgis pogratulował mi i powiedział, że jeszcze skorzysta z moich usług. Z jednej strony schlebiało mi to, gdyż było jasne, że był on grubą rybą, ale z drugiej czułem się niepewnie, pracując dla niego. Gellego nie widziałem od wieków, toteż więcej musiałem mieć do czynienia z ludźmi takimi jak Sturgis. A zarabiano się tylko wtedy, gdy się pracowało. Zaliczek nie było. Gelli właściwie większość czasu spędzał we Włoszech, gdzie prowadził działalność podobną do tej w Stanach Zjednoczonych. Właściwie angażował się we wszystko, a może należałoby powiedzieć, że robili to jego współpracownicy. W większości były to legalne interesy, to znaczy usługi, które świadczyli, albo też towary, które dostarczali. Lecz sposób, w jaki pozyskiwali swoje udziały w rynku, nie był legalny. Firma docierała do ludzi, zdobywając kontakty, które umożliwiały dojścia do napływających zewsząd wielomilionowych kontraktów. W ciągu sześciu miesięcy współpracownicy firmy otrzymali każdy duży kontrakt w przetargu, w jakim brali udział. W niektórych przypadkach to ja dostarczałem informacji na temat rywali biorących udział w finalnych rozgrywkach przetargowych. W tym celu stosowałem taktykę przekrętu udoskonaloną przez Shauna. Lecz na ogół firma przekupywała kogoś.

Czułem się nieswojo, przebywając z Frankiem Sturgi-sem. Był on prawdziwym kryminalistą. Lubił chwalić się swoimi poprzednimi zadaniami i powoływać się na znanych ludzi, których spotkał. Naopowiadał mi mnóstwo rzeczy o moim szefie, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że Gelli był o wiele większym graczem, niż sądziłem. Frank powiedział mi, że władza Gellego obejmowała Amerykę i Włochy. Miał on ściśle powiązania z CIA oraz współpracował z terrorystami w Argentynie. Jeśli wierzyć Frankowi, sprawy Gellego wykraczały poza moje wyobrażenia. Frank mieszkał w Miami i uważał się trochę za playboya. Kiedyś po jakiejś robocie dla miejscowego polityka zaszedłem do niego, a Frank próbował oszołomić mnie, zapraszając późno wieczorem

cztery panienki na przyjęcie. Godzinowa stawka tych dziewczyn przewyższała moją. Udawałem, że mnie to interesuje, ale tak nie było. Dwie z tych dziewczyn zabawiały się z Frankiem na jego obszernym łożu, a on wciąż kiwał głową, jakby przyzwalając dwóm pozostałym dziewczynom na przyglądanie się.

Ale mniej więcej w połowie czerwca 1972 roku nie musiałem już kłopotać się faktem, że muszę pracować z typami takimi jak Frank Sturgis.

## **Rozdział V**

W pierwszej połowie 1972 roku brałem udział w wielu akcjach pozyskiwania dokumentów i w kilku zgrabnych przekrętach. Rozmaici członkowie naszej firmy regularnie dawali mi zlecenia, toteż zarabiałem dużo, a gdy nie pracowałem, to spędzałem czas z ludźmi takimi jak Alain i Jimmy oraz czytałem kryminały. Zacząłem się fascynować techniką oszustw. Przekręty, które robiliśmy, były niczym w porównaniu z niektórymi wyczelowanymi majstersztykami, jakich dokonywano na świecie.

Jedną z moich ulubionych była historia pewnego faceta, który założył własny bank. Ponieważ zaoferował fantastyczny procent, ludzie wycofali wkłady z innych banków i przynieśli forszę do jego, a on najpierw wynajął budynek, w którym wcześniej mieściła się filia dużego banku, i zainwestował nieco w projekt, angażując fachowców, którzy zadbali o odpowiedni wystrój. Bank swój nazwał Towarzystwem Budowy Piramid.

Z kolei cała kampania marketingowa w tym średniej wielkości australijskim mieście rozpoczęła się od umieszczenia ulotek reklamowych za szybami samochodów. Na ulotkach tych widniały opinie o rozsianych po całym świecie filiach Towarzystwa Budowy Piramid wraz z historią o tym, jak narodziło się to wielkie bogactwo. Wreszcie nadszedł dzień otwarcia i pracownicy banku musieli stawić czoło setkom ludzi usiłujących gorączkowo pozbyć się oszczędności całego życia. Towarzystwo oferowało 17,5 procent od kwoty powyżej 1000 funtów. Jedyne warunki były takie, że nie można wycofać tych pieniędzy przez sześć miesięcy. Później okazało się, że już nigdy nie można było tego zrobić. Deponenci otrzymali ręcznie wypisane książeczki oszczędnościowe zaopatrzone w oficjalnie wyglądający znaczek. W latach sześćdziesiątych nie było to nic niezwykłego - tak postępowała większość dużych banków na całym świecie. Dziś powtórzenie takiego numeru byłoby trudne, jeśli nie niemożliwe.

Moim zdaniem, był to strzał w dziesiątkę. Fantastyczna robota. Po upływie czterech miesięcy Towarzystwo rozesłało do swoich klientów ulotkę informującą, że przez tydzień bank będzie zamknięty z powodu poszerzenia działalności filii. Nawet ogłoszono, że wskutek oszałamiającego sukcesu Towarzystwo Budowy Piramid planuje

otwarcie drugiej filii, w której znajdzie zatrudnienie ponad dwudziestu miejscowych. W tym samym tygodniu filia uległa likwidacji. Pierwszego dnia, w którym biuro Towarzystwa powinno być czynne, przed drzwiami wejściowymi czekała garstka ludzi. Następnego dnia było ich już ponad dziesięć tysięcy i wszyscy domagali się wyjaśnień. Miejscowi politycy otrzymywali pogróżki, ponieważ przedtem popierali to świetne nowe przedsięwzięcie. W historii, którą czytałem, nie wymieniono dokładnie sum, o jakie chodziło, ale wspomniano, że wiele znanych osobistości wstydziło się przyznać, ile straciły. Jedno jest zadziwiające - otóż oszuści nie mieli pozwolenia nawet na otwarcie sklepu, a co dopiero banku lub towarzystwa. Zazwyczaj potrzebna jest na to zgoda parlamentu. Każdy w mieście sądził, że Towarzystwo miało wszelkie konieczne pozwolenia na założenie takiego interesu. Wielu oszustów uważa ten przekręt za jeden z najwspanialszych w dziejach. Nigdy nie udało się nikogo aresztować. W czerwcu 1972 roku miałem uczestniczyć w podobnym wydarzeniu, którego sława, ale z zupełnie innych przyczyn, odsunęła na dalszy plan historię Towarzystwa Budowy Piramid.

Włamanie do budynku, w którym mieścił się sztab krajowego komitetu Partii Demokratycznej, dokonane 17 czerwca, było karygodnym partactwem. Zasłynęło pod nazwą Watergate. Pięciu ludzi włamało się do hotelu w Waszyngtonie po to, aby niczego nie ukraść. Do dziś nikt nie przedstawił zadowalającego wyjaśnienia, co wydarzyło się tamtej nocy i po co, jeśli w ogóle istniał jakiś cel, wysłano tych ludzi. Wydano setki książek opisujących, jak to za tym szpiegowaniem demokratów stał Richard Nixon, prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie mam pojęcia, czy Gelli znał Nixona, ale wiem, że to tak zwane włamanie nie miało nic wspólnego ze szpiegowaniem demokratów. Nieustające spekulacje na temat afery Watergate w końcu skłoniły Nixona do rezygnacji z urzędu prezydenta- 9 sierpnia 1974 roku wręczył ją sekretarzowi stanu. Było w niej napisane: „Szanowny Panie Sekretarzu, niniejszym składam rezygnację z urzędu Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z poważaniem, Richard Nixon”.

Tego dnia gazety donosiły: „Pięciu mężczyzn, z których jeden podaje się za byłego pracownika CIA (dobry, stary Frank), zostało aresztowanych wczoraj o godzinie 2.30 rano podczas akcji, którą władze nazwały spiskiem mającym na celu założenie podsłuchu w siedzibie krajowego komitetu Partii Demokratycznej. Trzech z tych mężczyzn to Kubańscy urodzeni na Kubie, a pozostali podobno po 1961 roku, a więc po inwazji w

Zatoce Świń szkolili kubańskich uchodźców w przeprowadzaniu akcji partyzanckich. Wszyscy zostali zaskoczeni przez trzech uzbrojonych cywilów, w rzeczywistości oficerów policji, na szóstym piętrze luksusowego gmachu Watergate, w którym sztab krajowego komitetu Partii Demokratycznej zajmował całe piętro". Młody strażnik Frank Wills pierwszy zauważył, że coś jest nie tak, gdy dostrzegł jedne z drzwi łączących klatkę schodową z podziemnym garażem hotelowym otwarte i zablokowane, a ich zamek zaklejony taśmą klejącą. Podobnie było ze wszystkimi drzwiami, aż do szóstego piętra włącznie, w ten sposób zapewniono dostęp z klatki na każde z tych pięter. Nie od razu było wiadomo, dlaczego pięciu podejrzanych chciało założyć podsłuch w biurach krajowego komitetu Partii Demokratycznej, ani też czy działali oni na zlecenie jednego człowieka, czy też jakiejś organizacji. Rzecznik prasowy komitetu powiedział, że dokumenty przechowywane w tym biurze nie były specjalnie ważne, chociaż znajdowały się tam także sprawozdania finansowe i różne papiery. Policja poinformowała, że „wyjęte zostały dwa panele sufitowe, co sugeruje, iż w tym miejscu miał zostać założony podsłuch. Wszyscy podejrzani w chwili aresztowania mieli na rękach gumowe rękawiczki". Oprócz tego, jak donosił policyjny raport, „mężczyźni mieli przy sobie 2300 dolarów w gotówce i jedno walkie-talkie oraz 35-mm aparat fotograficzny i 40 rolek filmu. Dwaj mężczyźni w chwili zatrzymania stali obok kaszt z dokumentami i osoba ze sztabu komitetu krajowego, która udzieliła informacji, przypuszczała, że mężczyźni ci mieli zamiar sfotografować dokumenty w kasztach".

Gelli wściekł się, usłyszawszy o tym włamaniu. Tymczasem informacje, jakie nadchodziły z sądu, były zabawne. „Wczoraj w sądzie jeden z podejrzanych powiedział, że byli anty komunistami, a inni mu przytaknęli". Jeden z prokuratorów okręgowych określił całą operację jako „profesjonalną i tajną". „Washington Post" napisał, że jeden z tych Kubańczyków teraz pracuje w Miami jako ślusarz. Policja poinformowała, że narzędzia zatrzymanych znajdowały się w takim zestawie, jaki zazwyczaj mają przy sobie włamywacze. (Takim, jaki można kupić w supermarkecie K-Mart. Leżą one tuż obok sprzętu wędkarskiego).

Tych pięciu mężczyzn: Sturgis, McCard, Gonzalez, Barker i Martinez pracowało dla Gellego. Zatrzymali się w hotelu Watergate, wynajmując dwa pokoje na piątym piętrze. Nawet widziano ich, jak wieczorem przed aresztowaniem jedli w głównej



restauracji hotelowej. Cała piątka wyszła na wolność za kaucją. Doniesienia i teorie spiskowe, z którymi rozpruł się worek w Stanach Zjednoczonych w związku z tym włamaniami były, i nadal są, śmieszne.

Z jednej strony kusilo mnie, by zadzwonić do radia i powiedzieć tym poczciwcom, co się naprawdę wydarzyło, ale zdawałem sobie sprawę, że byłoby to bardziej patetyczne niż cała afera Watergate. To, co się rzeczywiście stało tamtej nocy już nikogo nie interesuje, a sam fakt, że policja nigdy faktycznie nie wykryła spisku, chociaż istniał, i to w tym samym budynku, stanowi dodatkowy powód, by teraz już niczego nie ujawniać.

To był koniec kontaktów między Sturgisem a Gellim, który był zły, ale nie dlatego, że tych ludzi złapano, ale ponieważ przeszkodziło to im w wykonaniu zaplanowanego zadania. Gelli stracił twarz wobec wpływowego waszyngtońskiego polityka, który tej nocy w celu zapewnienia sobie alibi wyjechał do Chicago, a firma Gellego straciła wskutek tej klapy mnóstwo forsy. Gelli zadzwonił do mnie, zapytał o moje zdanie na temat tych wydarzeń i powiedział, że żałuje, iż odpowiedzialności za całą tę operację nie powierzył mnie. Nie mówił poważnie, ale ja nie mógłbym tego bardziej spartaczyć. Sturgis wraz z Martinezem, innym członkiem firmy, nadzorowali całą operację, a ja byłem tylko małym pionkiem, który miał się włączyć dopiero po dopracowaniu wszystkich najważniejszych szczegółów.

Kazano mi śledzić kogoś, kto zatrzymał się w jednym z apartamentów tego wielkiego kompleksu hotelowego. Człowiek ten zarejestrował się pod swoim własnym nazwiskiem. Nie była to żadna znana osoba, ale bardzo wpływowa. Śledziłem go przez kilka dni i przekazałem te informacje Sturgisowi. Głównym celem mojej akcji szpiegowskiej było przejrzenie osobistego kalendarza tej osoby i przekazanie Frankowi szczegółów dotyczących wszystkich spotkań. Franka szczególnie interesował termin jednego, które miało odbyć się w Waszyngtonie, ale niekoniecznie w hotelu Watergate. Włamanie się do pokoju w takim molochu powinno być trudne, a tymczasem okazało się łatwe. Tak naprawdę to wcale się nie włamałem, ale wszedłem, używając klucza, który ukradłem z wózka sprzątaczk. Apartament był urządzone jak zwykle małe biuro: była tam wydzielona niewielka część do przyjmowania gości i zwykle pomieszczenia, których można się było spodziewać, a więc kuchnia, łazienka, sypialnie. Były dwie sypialnie, i obu używano. Oprócz skopiowania czasu spotkań z kalendarza tego człowieka przeczytałem

jego bieżącą pocztę i przewertowałem kilka raportów, które on albo właśnie czytał albo przygotowywał. O wszystkim poinformowałem Franka. Odparł, że to, co mu powiedziałem, jeszcze bardziej gwarantuje sukces całej sprawy. A tak zazwyczaj mówi się o najlepiej zaplanowanych akcjach.

I tak wyglądały sprawy. Dziś krąży wielka historia o politycznej intrydze, a wszystko dlatego, że Kubańczyk, któremu Frank powierzył sprawę otwarcia drzwi z klatki schodowej na korytarz, nie umiał liczyć albo też nie rozumiał, co oznaczają słowa piąte piętro. Jeśli policja dokładnie sprawdziłaby innych gości hotelowych, dostrzegłaby możliwość istnienia innego scenariusza.

Dziennik „Washington Post” dołożył wszelkich starań, aby zrobić z tego wielką historię, ale reporterzy nie zajęli się niczym. A krążyły historie o pieniądzach skradzionych na tydzień przed zdumiewającym pojawieniem się wszędzie urządzeń podsłuchowych. Rozrastała się też lista przedmiotów znalezionych przy włamywaczach. Oprócz tych, które już wymieniłem, pojawiły się łomy, maski gazowe, automatyczna broń i helikopter czekający nieopodal. Była tam też mowa o czeku na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, najpierw przeznaczonym na kampanię reelekcyjną prezydenta Nixona, który to czek potem pojawił się na rachunku bankowym jednego z włamywaczy. Gazety rzuciły się na to jako na dowód. Szczególnie podoba mi się historia o „Mr Bigu”, który miał stać za całą „prawdziwą aferą Watergate”. Niewyobrażalną liczbę książek napisano o tym człowieku. A tymczasem nie było żadnego „Mr Biga”, był tylko Frank.

Oficer odpowiedzialny za aresztowania tamtego wieczora poinformował pięciu mężczyzn, że są aresztowani za włamanie do biur Partii Demokratycznej. Na to jeden z Kubańczyków miał spytać: „A co to jest Partia Demokratyczna?”

## Rozdział VI

W firmie po tym całym trzęsieniu ziemi wywołanym przez aferę Watergate zaczęto powierzać mi bardziej odpowiedzialne zadania, jak na przykład pisanie sprawozdań z prac czy też dobór członków ekipy, jeśli akurat potrzeba było więcej ludzi. Mogłem korzystać z biura w siedzibie firmy oraz dostępu do konta firmy.

Lubiłem mieszkać w Nowym Jorku. Jako środka transportu używałem metra i nigdy nic mi się w nim nie przydarzyło, choć fama głosiła, że w metrze każdy został napadnięty przynajmniej raz. Po mieście kursowały tysiące taksówek, ale na ogół wszędzie szybciej można było dostać się pieszo. Lubiłem podliczać, ile w ten sposób zaoszczędziłem. Nawet jeśli porządnie zmokłem, to i tak byłem dumny, że nie wydałem tych paru dolarów. Inny problem z taksówkami polegał na tym, że dokądkolwiek podjeżdżałeś, ktoś na pewno otwierał ci drzwi, a to wymagało dania napiwku. Stary Jack miał pensję z napiwków, które dostawał za otwieranie drzwi gościom (z wyjątkiem mojej osoby) przychodzącym do firmy. Wyglądał olśniewająco we fraku, raczej jak członek rady nadzorczej niż odźwierny. Zachęcał mnie do dania mu napiwku, najlepiej jak umiał, chwytając wszystko, co tylko niosłem, zanim zdążyłem powiedzieć nie. Dosłownie stawał na głowie, tak się starał, niosąc jakąś moją rzecz, i to był powód, dla którego starałem się go unikać. Jednak pamiętałem, aby być miłym dla Jacka, bo kiedyś widziałem, jak Gelli objął go, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Podejrzywałem również, że był jakoś spokrewniony z Oliwią, bo kilkakrotnie widziałem ich wychodzących razem.

Odgrywałem ważną rolę i kazałem ludziom czekać, zanim przyjąłem któregoś z agentów. Jestem pewien, że wszyscy myśleli, że mam przewrócone w głowie, ale od czasu do czasu lubiłem zgrywać osobę na kierowniczym stanowisku. Trudno było samemu podolać zadaniom, ale ja zanim dobrałbym sobie kogoś do realizacji jakiegoś przedsięwzięcia, wyczerpałbym wszystkie możliwości. Im więcej ludzi angażujesz, tym większe prawdopodobieństwo klapy. Ja nie zdradziłbym nikomu, co robię, ale nie każdy byłby tak ostrożny. Weźmy na przykład taką aferę Watergate. Jeden z włamywaczy powiedział do żony: „Jeśli bym nie zadzwonił do drugiej w nocy, zatelefonuj do mnie do pokoju, bo mogę być w opałach”. Rzeczywiście mężczyzna aresztowano o drugiej trzydzieści nad

ranem. O drugiej piętnaście recepcjonistka odebrała od kogoś telefon i osoba ta powiedziała: „Czy może pani pójść do pokoju mojego męża i sprawdzić, ponieważ nie odbiera telefonu, a powiedział, że jeśli go tam nie będzie, to powinnam wszczać alarm”. Nigdy nie zakładam, że ludzie, z którymi pracuję, są rozgarnięci. Gdybym pracował z Shaunem, wiedziałbym, jak bardzo przestrzegał on trzymania się planu. W hotelu w Waszyngtonie pięciu facetów znalazło się na szóstym piętrze, a tymczasem powinno być sześciu facetów na piątym. Tym szóstym zaś powinienem być ja.

Jednym z najbardziej prestiżowych zadań firmy, które wiązało się również z czekiem wystawionym na moje nazwisko na olbrzymią kwotę, było znalezienie i zniszczenie dokumentów z informacjami, potencjalnie zagrażającymi aspiracjom Juana Domingo Perona zostania ponownie prezydentem Argentyny.

Peron, o którym wtedy sądziłem, że nie żyje, był prezydentem Argentyny w latach 1946-1955 i teraz znów kandydował na to stanowisko. Gelli przyjaźnił się z Peronem, a ten poprosił go o pomoc przy kampanii wyborczej. Zdziwiłem się, gdy Gelli zwrócił się z tym do mnie. Wiązało się to z pracą w innym kraju, lecz zdobyłem już sobie jego pełne zaufanie. Zadanie było dokładnie w moim stylu, a ponadto nikt mnie nie znał w Argentynie. Przyjaciele firmy posiadali pieniądze i władzę, ale sami nie mogli wykonywać zadań, toteż w takich przypadkach byłem przydatny. A jednak im więcej pracowałem dla firmy, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że zbyt wiele wiem. Dzięki temu wciąż napływały zlecenia, ale to mogło też mnie zgubić, gdyby kiedyś oskarżono mnie o brak lojalności.

W drodze do Argentyny postanowiłem przeczytać książkę o Peronie - nie chciałem wyjść na ignoranta, w razie gdyby podczas mego pobytu w tym kraju zapytano mnie o tego byłego prezydenta. Perona i Argentyńczyków łączyły więzy miłości i nienawiści. Uczucia te sięgały lat czterdziestych, kiedy to Peron dołączył do grupy wojskowych spiskowców, którzy obalili nieudolne cywilne rządy w kraju. Przez następne trzy lata Peron miał olbrzymi wpływ na rządy wojskowych. Ten przyszły przywódca sprytnie zażądał dla siebie nieeksponowanego stanowiska ministra pracy i spraw socjalnych. Już w 1945 roku pełnił funkcję wiceprezydenta i ministra spraw wojskowych. To oczywiste, że dążył do zdobycia niekwestionowanej władzy, której fundament miały stanowić jego własna popularność i autorytet w armii oraz poparcie uciskanych rzesz robotników. Na

początku października 1945 roku cywile i wojskowi (zwolennicy rządów konstytucyjnych) odsunęli Perona od władzy. Aresztowano go, lecz jego piękna i dynamiczna kochanka, Eva Duarte, oraz przyjaciele ze związków zawodowych zorganizowali marsz robotników z Buenos Aires i okolic i 17 października Peron został wypuszczony z aresztu. Tej samej nocy z balkonu pałacu prezydenckiego wygłosił przemówienie do 300-tysięcznego tłumu, a transmisja radiowa sprawiła, że usłyszał je cały kraj. Peron obiecał ludowi, że w razie wygranej w zbliżających się wyborach prezydenckich poprowadzi go do zwycięstwa i przy jego pomocy zbuduje silny i sprawiedliwy kraj. Kilka dni później ożenił się z Evą, lub też Evitą, jak ją powszechnie nazywano. A w następnych latach ona pomogła mu rządzić Argentyną.

Evita była bardzo popularna wśród argentyńskiej biedoty. Wspierała ją subsydiami i dotacjami, a potrzebującym rodzinom rozdawała żywność i odzież. Walczyła o budowę większej liczby domów dla ubogich, a dla wszystkich o pracę i dostęp do opieki medycznej. To z jej inicjatywy powstała niezliczona ilość programów, jak na przykład budowy szpitali, ośrodków dla kobiet czy też szkolących pielęgniarzy. Jeden z jej projektów budowy domów zapewnił dach nad głową 25 tysiącom robotników. Evitę przyjmowano hucznie w wielu krajach i podczas oficjalnych wizyt adorowano niczym gwiazdę filmową. W Hiszpanii otrzymała najwyższe odznaczenie tego kraju - Wielki Krzyż Izabeli Katolickiej. Przyjął ją papież Pius XII, a złoty różaniec, który od niego dostała, włożono jej do rąk w chwili śmierci. Jednak nie wszyscy Włosi przyjmowali ją tak serdecznie. Członkowie Włoskiej Partii Komunistycznej manifestowali swój sprzeciw wobec jej wizyty, krzycząc, „Precz z faszyzmem"! Były też inne protesty, ale ten, który zorganizowali komuniści, należał do najzagorzalszych. We Francji Evita spotkała przyszłego papieża Jana XXIII i ofiarowała dużą sumę pieniędzy na rzecz rannych podczas wybuchu w Breście, który zniszczył port w tym mieście. Evita przyczyniła się również do uzyskania przez argentyńskie kobiety prawa wyborczego. Natomiast fundacja „Eva Peron", która jak to powiedziała Evita, miała na celu „załatwienie wyrwy", stała się w Argentynie przedmiotem kontrowersji.

Bilans fundacji za 1953 rok wymienia źródła pochodzenia funduszy: dotacje, przeważnie od związków zawodowych, ale również od osób prywatnych i firm, od układow zbiorowych, podatników, dzierżaw, nadań dokonanych w drodze sądowej i tak

dalej. Krążyły opowieści o wymuszaniu tych dotacji; w razie oporu groziło prześladowanie. Później dowiedziałem się, że była to prawda. Moja działalność była nieustannie obciążona takimi kontrowersjami. Peron poinformował Gellego, że jakieś ugrupowanie, dysponujące pewnymi dokumentami, szantażowało jego i jego partię, grożąc ujawnieniem informacji, że rzekomo fundusze z fundacji były przeznaczone na inne cele. Nie mieli racji. Wywiad, jaki przeprowadziła na moje zlecenie pewna osoba pracująca dla Perona, pozwolił ustalić, gdzie są te dokumenty.

Pojechałem do Buenos Aires sam, chociaż firma zorganizowała odebranie mnie z lotniska. Nie pamiętam, czy przyleciałem wcześniej, czy też człowiek, który miał na mnie czekać, spóźnił się, ale wiele czasu spędziłem na tym zatłoczonym lotnisku. Była tam tylko jedna wspólna sala: przylotów i odlotów. Ludzie wrzeszczeli na siebie, wymachując rękami. I kiedy już myślałem, że dojdzie do bijatyki, oni padli sobie w objęcia. Było gorąco, a ja nie mogłem nigdzie znaleźć kawiarni, ani nawet wolnego miejsca. Lot nie przebiegał gładko, więc teraz chciałem odpocząć. Miałem miejsce w pierwszej klasie, obsługa była fantastyczna, ale samolot przez całą drogę wydawał jakiś potworny hurgot, a w pewnym momencie wpadliśmy w turbulencję i już myślałem, że maszyna rozpadnie się na kawałki.

Wreszcie udało mi się zdobyć miejsce i poinformowano mnie, że osoba, która miała na mnie czekać, niebawem przyjedzie po mnie. Diego znalazł mnie łatwo, ponieważ byłem jedyną osobą w całej sali, która na nikogo nie krzyczała. Przywitał się i pojechaliliśmy. To była długa podróż, gdyż lotnisko znajdowało się daleko od miasta, a w jej trakcie Diego wypalił paczkę papierosów, odgrywając między jednym a drugim zaciąganiem się rolę przewodnika.

Miasto charakteryzuje się zwartą zabudową, a właściwie normalną mieszaniną utworzoną przez mieszkania biedoty oraz eleganckie budynki, jakie każdy spodziewa się zastać w dużych konglomeracjach. Do hotelu dojechaliliśmy dość późno, więc tylko się zameldowałem i poszedłem spać. Jak się okazało, Diego dzielił ze mną ten pokój. Nad ranem miałem astmę w pełnym rozkwicie.

Kilka dni zajęła mi obserwacja budynku, w którym mieszkał i miał biuro potencjalny szantażysta. W razie gdyby te dokumenty zostały ujawnione prasie, człowiek ów znalazłby się również w opałach, lecz on tak bardzo nienawidził Perona, że gotów był

pójść na dno wraz z nim. Znalazłem oryginalne akta zawierające niezmiernie obciążające informacje. Wszystkie te papiery leżały na biurku tego byłego współpracownika Perona. Skontaktował się z nim jeden z doradców Juana Perona. Mieli dobić finansowego targu, a w trakcie tego spotkania ja miałem wtargnąć do apartamentu. Peron postanowił nie posługiwać się nikim z miejscowych, bo nie wiedział, komu może zaufać. Nie miał już takiego poparcia, jakim cieszył się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

Wziąwszy dokumenty, szybko sporządziłem *dossier* potencjalnego zaangażowania szantażysty w sprzeniewierzenie funduszy pochodzących z fundacji założonej przez ukochaną Evitę, a Peron udostępnił to *dossier* prasie. Ten biedny szantażysta nie był w stanie uwierzyć w to, co się stało. Nie mógł niczego podważyć, gdyż spreparowany przeze mnie dokument zawierał dowody nielegalnych wypłat na jego nazwisko - i wszystko zgadzało się w stu procentach. Byłem w stanie przedstawić dowody przeciwko niemu, ponieważ Peron autoryzował wypłaty. Zanim zorientował się, kto ukradł jego oryginalne dokumenty, był już pod strażą, oskarżony o oszustwo, i siedział w więzieniu.

Wybory w marcu 1973 roku przyniosły peronistom prezydenturę oraz większość w parlamencie, a w czerwcu wśród przejawów dzikiej radości Argentyńczycy witali powracającego Perona. W październiku, podczas specjalnych wyborów, został ponownie wybrany na najwyższe stanowisko w państwie. Trudno powiedzieć, czy informacje dotyczące sprzeniewierzenia funduszy z fundacji zniweczyłyby jego szansę wyborczą, ale ja mogę stwierdzić, że krótko po wyborze podczas spotkania z Gellim Peron uklęknął przed nim i dziękował za pomoc.

W następnym roku byłem jeszcze kilkakrotnie w Argentynie, a większość tych podróży w taki czy inny sposób wiązała się z fundacją Evity.

## Rozdział VII

Był rok 1971 i dobrze mi się wiodło. Miałem bajeczne mieszkanie w Nowym Jorku i spotkałem Marię. Shaun nauczył mnie prowadzić samochód, toteż czasem wynajmowałem auto i zabierałem Marię na przejażdżkę na północ, wzdłuż wybrzeża. Inwestowałem na giełdzie i wiele rzeczy, których nauczyłem się w ciągu tych czterech minionych lat, starałem się obrócić na swoją korzyść. Uczyłem się także włoskiego i właśnie dzięki temu spotkałem piękną Marię. Ktoś zostawił na moim biurku zaproszenie na spotkanie „Mówimy po włosku”<sup>1</sup>. Był to wieczór z poczęstunkiem, na który składały się sery oraz wino; po nim miała być podana informacja o kursach włoskiego. Wspomniałem Oliwii, że czuję się sfrustrowany, nie rozumiejąc Włochów w firmie, w której posługują się oni swoim ojczystym językiem, więc znalazłszy zaproszenie, postanowiłem zobaczyć, o co chodzi. Poszedłem na ten wieczór, a następnie zapisałem się na kurs. Dostrzegłem Marię, jak rozmawiała z różnymi ludźmi, i pamiętam, że pomyślałem, iż byłoby miło, gdyby była jednym z nauczycieli. I była.

Początkowo nie mogliśmy się dogadać. Ja walczyłem z włoskim, a ona zmuszała mnie do ciężkiej pracy, abym dotrzymywał kroku reszcie grupy. Raz zawstydziła mnie wobec całej klasy. Poczekalem, aż wszyscy wyjdą i dopiero wtedy się poskarżyłem. Ona jednak przypomniała mi, że ja wyraźnie prosiłem ją, aby nie była wobec mnie zbyt pobłażliwa, gdyż bardzo chce nauczyć się podstaw tego języka możliwie jak najprędzej. Zbesztala mnie tego wieczora podczas lekcji, ponieważ nie potrafiłem wyrecytować kilku raczej podstawowych słów. Maria zbliżyła twarz do mojej i w kółko powtarzała te wyrazy, zmuszając mnie, bym wymawiał je wraz z nią. I robiła to przy wszystkich kursantach, więc prawie odchodziłem od zmysłów.

Pewnego wieczoru, po zakończeniu lekcji, zaproponowała, abym wziął kilka dodatkowych zajęć, co ja uznałem za dobry pomysł. „Wiesz co, zaproś mnie na kolację i porozmawiamy o tym”, powiedziała. Po czym chwyciła płaszcz, zapięła go i poszliśmy na kolację do małej restauracji nieopodal naszej szkoły językowej. Opowiedziałem jej historię mojego życia tak, jak każdemu, kogo spotkałem. Zawsze miałem ten okropny zwyczaj opowiadania wszystkiego od dnia moich narodzin. O wszystkich typach, których



spotkałem, o byłych dziewczynach oraz historię mojej rodziny. Opowiadanie kobietom o dawnych dziewczynach z pewnością nie należy do najszcześniejszych pomysłów, ale nie mogłem na to poradzić. Skończyliśmy jeść i wezwałem dla Marii taksówkę. Nie chciałem niszczyć swoich szans, wysuwając propozycję odprowadzenia jej do domu lub zaproszenia do siebie - to było autentycznym znakiem, że wreszcie zaczynałem dorastać. W Irlandii randka oznaczała przespanie się z dziewczyną. Facet tylko wtedy zabrałby dziewczynę do kina czy na potańcówkę, gdyby wiedział, że jeszcze na coś może potem liczyć.

Minęło już kilka lat mojej edukacji, jeśli chodzi o naukę drugiego języka, a rolę, jaką odgrywałem w firmie, można określić jako kierowniczą. Mijały tygodnie, a Maria i ja staliśmy się najpierw dobrymi przyjaciółmi, a potem kochankami. Zabrałem ją na czterodniowe wakacje na małą wysepkę Bimini leżącą w archipelagu Bahamów. Był to mój pierwszy urlop od przyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Początkowo dręczyło mnie poczucie winy, gdyż wiedziałem, że nikt z mojej rodziny nie mógł pozwolić sobie na taki wyjazd. Wydawał się niezwykle ekstrawagancki, chociaż nie był tak kosztowny, ale bajeczny, a tamtejsze widoki dosłownie zapierały dech w piersiach. Dni spędzaliśmy na pływaniu, wylegiwaniu się na wspaniałych plażach, a wieczory na picciu, jedzeniu oraz tańcach. Pewnej nocy kochaliśmy się na plaży pod oszałamiająco rozgwieżdżonym niebem i pamiętam, że po prostu nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu. „To długa droga z Farley Hill”, pomyślałem sobie. I te słowa powtarzałem przez całe życie, kiedy tylko zdarzyło mi się oglądać niebywale piękne widoki lub przeżywać podobne chwile. Farley Hill to osiedle, na którym się wychowałem, a równocześnie miejsce, z którego chyba niewielu zdołało się wyrwać. Niewiele rozmawialiśmy z Marią o jej i o moich sprawach, co było mi bardzo na rękę. Kiedy zapisywałem się na kurs włoskiego, powiedziałem jej, że należę do kadry kierowniczej jednej z firm zajmujących się nieruchomościami. I wydawało się, że Marii nie interesowało, co robię.

Maria del Vecio nigdy nie mówiła mi wiele o swoim prywatnym życiu, mimo że ja dokładnie opowiedziałem jej całe moje dzieciństwo, dzień po dniu. Gdy chciałem wiedzieć, gdzie chodziła do szkoły, lub też prosiłem, by opowiedziała jakieś wspomnienia z dzieciństwa, odpowiadała jednym zdaniem. Maria była taka piękna. Pytałem ją: „Dlaczego jesteś ze mną, skoro możesz mieć każdego mężczyznę?”. „Mogę mieć każdego,

ale na razie wystarczasz mi ty", odpowiadała. To mnie trochę męczyło. Zawsze mówiłem jej, jaka jest wspaniała, a ona po prostu zgadzała się ze mną.

Zawsze byłem nieco przewrażliwiony na swoim punkcie. Zacząłem dostrzegać, że w porównaniu ze mną Amerykanie wyglądali bardzo zdrowo. Na spotkania firmowe ubierałem się jaskrawo i zależało mi, abym był traktowany poważnie. W firmie liczył się wygląd. Jeśli Gelli zdecydował się złożyć w biurze jedną ze swych rzadkich wizyt, wszyscy wkładali najlepsze ubrania. Faceci, którzy awansowali, wydawali majątek na garnitury, oczywiście włoskie. Dobry garnitur był pierwszym krokiem, ale wymagana była jeszcze prezencja, podanie towaru. Wiedziałem, że to potrafię, ale uważałem, że mogę poprawić swój wizerunek.

Zacząłem ćwiczyć i często wraz z Marią biegaliśmy w Central Parku. Miała lepszą kondycję fizyczną ode mnie. Biegła na przedzie, krzycząc: „Jeśli chcesz być wysportowany, musisz dotrzymać mi kroku”. To było gorsze od treningu piłki nożnej w mojej szkole, choć teraz mogłem pozwolić sobie na specjalne buty do biegania. Jednak nie miałem nic przeciwko temu i wkrótce widać było efekty.

Chociaż nasz związek rozwijał się, wciąż mieszkaliśmy osobno, co było dla mnie ważne, bo ludzie Gellego często składali mi wizyty. Zawsze były one zapowiedziane, zupełnie inaczej aniżeli na początku, gdy mieszkaliśmy razem z Shaunem, ale nie mogłem być pewny, że zawsze tak będzie. Gelli był tak ważną osobą, że większa część jego działalności, a także firmy była śledzona bądź przez jakiś departament, bądź też przez rywali. Przez cały czas mojej pracy dla niego nigdy mnie nie aresztowano pod żadnym zarzutem, mimo iż wielu z ludzi Gellego było przesłuchiwanym w związku z różnymi przestępstwami. Policja wiedziała, dla kogo pracowałem, a przynajmniej znała Gellego i widywała mnie z okazji rozmaitych oficjalnych imprez organizowanych przez firmę. Te spotkania często odbywały się pod okiem policji. Gelli miał tam wielu przyjaciół, a niektórzy z nich to byli wysocy rangą funkcjonariusze. Jednego z nich, pewnego kapitana, niezwykle uszczęśliwiłem. Odzyskałem fotografie, ukazujące bardzo młodego asystenta zabawiającego się przy użyciu swojej pałki.

Jego żona w celu szpiegowania swojego męża wynajęła prywatnego detektywa. Chciała się rozwieść. My nakryliśmy ją na gorącym uczynku. Zadzwoiłem do niej i powiedziałem, że jestem współpracownikiem tego wynajętego przez nią detektywa. A ona

nie była w stanie stwierdzić, Czy to prawda, ponieważ pewien poczciwy kapitan policji akurat przymknął go za jakieś tam głupoty. Powiedziałem jej, że jestem prawnikiem, który może załatwić jej niezłą forszę w zamian za ugodę i czy może zechciałaby przyjść do mojego biura, aby to przedyskutować. Zgodziła się, więc poprosiłem ją, by na to spotkanie przyniosła pewne dokumenty.

Wynajęliśmy biuro i dodatkowych ludzi. Przepytalem ją i poprosiłem, by przejrzała wszystkie obciążające dowody, jakie miała na swojego męża. Cały czas uświadamiałem jej, ile to pieniędzy wygram na jej rzecz w sądzie. Oddała mi notatki i zdjęcia zrobione przez detektywa, a ja dołączyłem do nich negatywy, które uprzednio zabrałem już z jego mieszkania. Kobiecie powiedziałem, że skontaktuję się z nią za kilka dni. Sądzę, że wreszcie miała dość czekania na mój telefon i udała się do tego biura tylko po to, by zobaczyć, że w tym miejscu mieści się zupełnie inna firma. Musiało ją to bardzo zmylić, lecz jestem pewien, że w końcu zrozumiała, o co chodzi. Przecież jej mąż był gliną.

Maria nie musiała niczego wiedzieć o mojej pracy, a przynajmniej nie ode mnie. Spotykaliśmy się regularnie, a ten nasz związek z pewnością polepszył moją znajomość włoskiego. Zawsze spędzaliśmy weekendy, mówiąc wyłącznie po włosku. Moje nowe umiejętności zrobiły na Gellim duże wrażenie i przy różnych okazjach dzwonił do mnie, cały czas mówiąc tylko po włosku.

W latach 1975-1978 robiłem rozmaite przekręty i na ogół całościowe plany operacji również należały do mnie. W tym czasie prawie nie widywałem Gellego, lecz dowiedziałem się więcej o nim i o masonerii, do której należał. Był jakby przywódcą loży. Słyszałem, że nazywano ją P2. Nigdy nie mogłem pojąć, o co tam chodzi. Niektórzy faceci, dla których pracowałem, należeli do P2. Nie kryli się z tym i chętni się pozycją Gellego. W Irlandii nigdy nie słyszałem o masonach, lecz sądzę, że są w większości krajów świata. Najwyraźniej masoneria nie jest związana z jakimś nakazem wiary. To raczej braterstwo przyciąga mężczyzn, którzy już mają ugruntowaną wiarę w naturę Boga, relacje z nim oraz nakreślone przez niego zasady moralności. Najważniejszy wspólny dowód masoni muszą dać, zanim staną się członkami bractwa, zanim wezmą udział w jakiegokolwiek ceremonii i zanim złożą przysięgę. Podanie, czy też „petycja”, na której kandydat składa swój podpis, jest potwierdzeniem, że wierzy on w Boga i w nieśmiertelność duszy. Tak więc jeśli ktoś spotka masona, może być pewien, iż to

bogobojny człowiek. A pierwsze słowa, jakie słyzy nowo przyjęty mason, brzmią: „To twoja sprawa, jak czcisz Boga, a sprawą twoich masońskich braci jest, w jaki sposób oni to robią. W loży masońskiej nie ma miejsca na dyskusje o religii. Żaden mason nie może krytykować religijnych przekonań innego brata, ani też próbować przekonać go do ich zmiany". Tak więc jest jasne, że każdy mason opowiada się za swobodą wyznań religijnych.

W maju 1978 roku Gelli przedstawił mnie człowiekowi, który należał niegdyś do partii faszystowskiej. I dla mnie był to początek końca kontaktów z Gellim oraz z firmą.

## Rozdział VIII

Miałem dotąd wielu zleceniodawców i starałem się nie wydawać osądów, gdyż jakkolwiek by patrzeć, sam przecież byłem oszustem. Pocieszałem się, że wszystko, co robiłem, to były głównie gangsterskie porachunki. W zasadzie tak było. A jednak Arthur Rudolph był kimś więcej aniżeli zwykłym gangsterem.

W czasie drugiej wojny światowej kierował działalnością fabryki Mittelwerk w obozie koncentracyjnym Dora-Nordhausen, w którym dwadzieścia tysięcy robotników zmarło wskutek bicia, głodu lub ich powieszono. Rudolph od 1931 roku był członkiem partii nazistowskiej. W amerykańskich aktach z 1945 roku znajduje się na jego temat proste stwierdzenie: „Nazista, osobnik niebezpieczny, stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa, zaleca się internowanie”. A jednak w ostatnim *dossier* amerykańskiego wywiadu jest napisane: „W jego przeszłości nie ma nic, co wskazywałoby, że jest to zbrodniarz wojenny, zagorzały nazista lub też osoba podejrzana w innym sensie”. Rudolph został obywatelem Stanów Zjednoczonych, a potem konstruktorem rakiety Saturn 5, wykorzystanej podczas lądowania na Księżycu statku Apollo. W 1980 roku akta Rudolpha z czasów wojny w zagadkowy sposób wylądowały na biurku potężnego prokuratora okręgowego, a sam Rudolph uciekł do Ameryki Południowej. Wykonałem tę pracę za darmo!

W 1945 roku, po zakończeniu drugiej wojny światowej, wywiady amerykański i sowiecki rozpoczęły w całych Niemczech poszukiwania skarbów i tego, co cenne dla celów wojskowych i naukowych. Szukano takich rzeczy jak projekty nowych rakiet, samolotów, leków oraz prac związanych z elektroniką. Lecz poszukiwano też tego, co było najcenniejszą zdobyczą ze wszystkich - naukowców, których osiągnięcia nieomal pozwoliły Niemcom wygrać tę wojnę. Chodziło o inżynierów i oficerów wywiadu, pracujących na rzecz nazistowskiej maszyny wojennej.

Amerykańcy wojskowi zorganizowali obławę na tych naukowców i przywieźli ich do Stanów Zjednoczonych. Początkowo zamierzano ich przesłuchać i odesłać z powrotem do Niemiec. Lecz gdy zdano sobie sprawę z zasobu wiedzy i doświadczenia tych ludzi,

Departament Obrony stwierdził, że byłoby to marnotrawstwo. Podążając w ślad za odkryciem w niemieckich bazach wojskowych latających spodków i cząsteczek wiązki lasera, Departament Obrony postanowił, że NASA oraz CIA muszą kontrolować tę technologię, a także pracujących nad nią hitlerowskich inżynierów.

Pojawił się jednak pewien problem: działanie takie było nielegalne. Prawo Stanów Zjednoczonych wyraźnie zabraniało hitlerowskim urzędnikom emigrowania do USA, a tymczasem trzy czwarte tych naukowców to byli zagorzali naziści.

Rząd Stanów Zjednoczonych rozwiązał tę sprawę, nakazując zniszczyć wszystkie akta. Odwalono kawał dobrej roboty, zważywszy na to, o ilu ludzi i ile dokumentów chodziło, lecz zadanie to było prawie niemożliwe do wykonania. Gelli wciąż próbował odzyskać te kompromitujące dokumenty na prośbę tych ludzi, z których wielu było jego przyjaciółmi nawet jeszcze w 1978 roku, a zapewne i później. Powiedział mi, że pewien jego przyjaciel został oskarżony o najokropniejsze rzeczy przez grupę ludzi „nienawidzących Niemców”. Zamierzali oni zniszczyć wiarygodność tego ciężko pracującego człowieka, który być może w czasie wojny był zamieszany w jakieś nierozsądne przedsięwzięcie, ale był z gruntu dobrym człowiekiem. „To już dawno przebrzmiały czasy. Musimy mu pomóc”, stwierdził. I właśnie podczas całej akcji wykradania dokumentów dowiedziałem się, kim był Rudolph. W związku z tym musiałem pojechać do Londynu.

W Wielkiej Brytanii działało pewne żydowskie ugrupowanie, które zbierało dowody zbrodni wojennych, jakich dopuścili się tacy ludzie jak Rudolph. Chwalili się posiadanymi informacjami, udostępniali pewną ich część prasie oraz dziennikarzom zajmującym się tematyką holocaustu. Przyjechałem do Tottenham, gdzie mieściła się główna siedziba tego ugrupowania. Powiedziałem, że poszukuję informacji na temat tego człowieka, gdyż piszę o nim do gazety „Irish Times”. Nie było powodu, by mnie o cokolwiek podejrzewać.

To było zadanie, którego omal bym nie wykonał. Po przeczytaniu przyprawiających o mdłości historii, opowiadających o nieludzkim traktowaniu, jakiego dopuszczał się Rudolph w stosunku do tylu nieszczęśników, zamierzałem skłamać Gellemu, mówiąc, że w Tottenham nie mają żadnych dowodów przeciwko Rudolphowi, i

już. Właściwie to zamierzałem zwrócić dokumenty, które ukradłem, ale nie zrobiłem tego. Ale też ich nie zniszczyłem.

Wszedłem do biura tego ugrupowania, niosąc podrózną torbę pełną czystego papieru i różnych folderów. Miałem też kilka markerów i karteczek samoprzylepnych. Wcześniej porobiłem dziurkaczem dziurki w tym czystym papierze, tak abym mógł sporządzić folder takich rozmiarów jak ten, który otrzymam. Kupiłem też okładki na dokumenty w pobliskim sklepie z artykułami biurowymi. Były identyczne jak te, których używało ugrupowanie. Po prostu spytałem sprzedawczynię, czy mogłaby powiedzieć mi, jakie okładki na dokumenty „kupiliśmy” ostatnio i czy mógłbym kupić ich jeszcze więcej. Założyłem, iż ktoś z biura organizacji kupował materiały biurowe w tym sklepie i miałem rację! Mieli tam otwarty rachunek. Dziewczyna pracująca w sklepie była bardzo pomocna i nawet zapisała moje zakupy na ich rachunek.

Jednemu z pracowników powiedziałem, jakich informacji poszukuję, a on od razu zaprowadził mnie do tego działu, w którym znajdowały się akta Rudolpha. Po czym wrócił do swoich zadań, zostawiając mnie, dzięki czemu mogłem sporządzić fałszywą teczkę, na której umieściłem karteczki z nazwiskami, tak jak w skorowidzu. Oryginał włożyłem do swojej torby. Następnie spytałem tego samego faceta, czy mógłbym napić się herbaty. Postawiłem moją teczkę nieopodal głównego wejścia i spytałem siedzącego obok za biurkiem mężczyznę, czy mogę tu zostawić torbę. Spojrzał i powiedział, że tak. Tak więc teraz przeglądałem już tylko tę głupią kopię składającą się z czystych kartek. Starłem się trzymać od czasu do czasu segregator w górze, żeby jeśli ktokolwiek mnie obserwował, mógł zapamiętać, jak wyglądał.

Następnie napiłem się herbaty, spędziłem kolejnych dziesięć minut, patrząc na czyste kartki, i podszedłem do miejsca, gdzie segregator był przechowywany. Ostrożnie odłożyłem z powrotem moją fałszywą kopię, mówiąc głośno: „Odkładam dokumenty na miejsce”. Trzech mężczyzn znajdujących się w tym pokoju było pochłoniętych przeglądaniem własnych teczek i poza szybkim spojrzeniem jednego z nich nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Zacząłem mamrotać, że nie pamiętam, gdzie zostawiłem swoją torbę i głośno przypomniałem sobie, iż wchodząc, postawiłem ją obok wejścia. Chwilę później już mnie nie było, a wraz ze mną dokumentów, których zgromadzenie mogło zająć tym ludziom dziesięć lat. Możliwe, iż przez wiele tygodni, a może nawet i

miesiący nie odkryli tej kradzieży. A ja wreszcie w swoim pokoju hotelowym w Londynie poznałem prawdę o Licio Gellim, człowieku, dla którego przez wszystkie te lata pracowałem. Tutaj, w tych wykradzonych przeze mnie aktach, wśród tych drani i morderców krył się ten człowiek.

Te dokumenty były to ciąg wywiadów, oficjalne notatki amerykańskiego wywiadu i sprawozdania niektórych członków tej londyńskiej organizacji, starających się zebrać dowody przeciwko ludziom, których oskarżała o zbrodnie wojenne. Zapiski dotyczące Rudolpha były względnie krótkie, ponieważ uzyskane dowody były niezwykle obciążające. Wśród nich znajdowała się nawet fotografia przedstawiająca uśmiechniętego Rudolpha wraz z kolegami, stojącego obok stosu ciał.

Było tam też zeznanie naocznego świadka, pewnej kobiety, którą zmuszono do patrzenia, jak naziści zabijali jej rodzinę, a ją pozostawili żywą, by tym bardziej cierpiała. Jej brat ukradł jakąś rzecz z fabryki Rudolpha, aby sprzedać ją na czarnym rynku. W tym miejscu przerwałem czytanie tych raportów i położyłem się na chwilę, aby ochłonąć.

Licio Gelli. Wciąż myślałem o tym człowieku, dla którego pracowałem. Jak to możliwe, że on skumał się z tą grupą maniakalnych zbrodniarzy? Nie mogłem uwierzyć, że w jakiś sposób zostałem wmieszany we fragment historii, którą każdy uczciwy człowiek uważa za odrażającą. Teraz moje zwykłe życie w Dublinie wydawało się całkiem niezłe. Kogo chciałem oszukać tym błyskotliwym dążeniem donikąd, do posiadania wszystkiego, co nazywałem stylem życia. A co z Marią? Słyszała ode mnie tylko kłamstwo za kłamstwem. Wreszcie spotkałem kogoś, z kim chciałem spędzać czas, i nawet nie mogłem powiedzieć tej osobie, kim naprawdę jestem. Zacząłem oszukiwać Marię już na naszej pierwszej randce. Spytała mnie, do którego kościoła chodzę w Nowym Jorku. Powiedziałem, że do św. Józefa. Czasem rano przechodziłem obok tego kościoła, gdy szedłem kupić gazetę. A nawet zabrnąłem dalej w swoim kłamstwie, mówiąc, że zawsze chodzę na mszę o dziewiątej rano. Maria ucieszyła się. Wątpię, czy od dzieciństwa opuściła kiedykolwiek mszę. Ja nie byłem w kościele od czasu, gdy poszukiwała mnie policja, a było to w dniu, w którym moi koledzy obrabowali bank. Poszedłem do kościoła, aby przeczekać tam parę godzin i schronić się przed policją.

Zadzwoiłem do Marii i powiedziałem, że załatwiłem sprawy w Londynie i że nazajutrz wieczorem lecę do Nowego Jorku. Nie rozmawialiśmy długo, gdyż ona już



wychodziła do pracy do szkoły językowej. Zapomniałem o różnicy czasu. Chyba ucieszył ją mój telefon, ale ja poczułem się nieswojo. Przecież w poniedziałki ona nie ma lekcji. Być może wypadło jej jakieś zastępstwo. Właściwie to dlaczego mam kwestionować to, co mówi Maria. A co ja sam robiłem na co dzień? I znów wziąłem się do czytania dokumentów.

Zabrałem cały komplet akt, sygnowanych jako „klasy A”, oraz z trzema nazwiskami wypisanymi na nalepce. Rudolph, Aps i Brennan. Raport stwierdzał, że Aps był skarbnikiem w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. Brennan zajmował wysokie stanowisko w emigracyjnym banku oszczędnościowym w Stanach Zjednoczonych. To właśnie czytając o Apsie, natknąłem się na nazwisko Gelli. Figurowało tuż pod tytułem „Nazwiska znajomych”. Raport o Gellim był dłuższy aniżeli trzy pozostałe. Gelli pracował na dwie strony. Pomagał zakładać Czerwone Brygady, szpiegował komunistycznych partyzantów, pracując równocześnie dla nazistów - był podwójnym agentem. Pomógł ustanowić Linie Szczura, która organizowała ucieczki wysokich funkcjonariuszy partii nazistowskiej z Europy do Ameryki Południowej, z paszportami dostarczonymi przez Watykan i za pełną wiedzą wywiadu Stanów Zjednoczonych. Czytałem dalej. Stany Zjednoczone uczestniczyły w trybunałach wojennych sądzących najważniejszych nazistów i podtrzymywały sojusz z komunistycznym Związkiem Radzieckim. Potajemnie przygotowywały się do zimnej wojny i potrzebna im była pomoc nazistów na wypadek wojny ze Związkiem Radzieckim. Porozumienie, jakie Gelli zawarł z amerykańskim wywiadem, aby po wojnie szpiegować komunistów, było czysto instrumentalne - ratowało mu życie. Raport stwierdzał, że aby zrozumieć Gellego, trzeba pojąć skomplikowaną sytuację, w jakiej znalazła się Europa po wojnie.

Największym zagrożeniem był dla niej przed wojną komunizm - bano się go, gdyż z niego narodził się faszyzm i nazizm. I choć tak jeden, jak i drugi wzbudzały strach, to faszyci oscylowali bardziej na prawo, komuniści zaś na lewo. Stanom Zjednoczonym i Kościołowi katolickiemu bardziej odpowiadał nurt prawicowy, gdyż komunizm zniszczyłby ustrój kapitalistyczny. Przed drugą wojną światową CIA i Watykan łączyło coś na kształt *joint venture*, które popierało zarówno nazistów, jak i faszystów. Watykan zgodził się w tym uczestniczyć, gdyż uważał komunizm za realne zagrożenie dla egzystencji Kościoła. Włoscy komuniści opodatkowaliby rozległe dobra kościelne, a

doświadczenia Kościoła z komunistyczną władzą w innych krajach były ponure - deptano tam wolność religijną.

Zauważyłem, iż autorem tego raportu był ksiądz z Rzymu. Watykan przewijał się wielokrotnie w tych dokumentach, które poprzednio znajdowały się w rękach rządu Wielkiej Brytanii, i dlatego pewne zarzuty wzbudziły moje wątpliwości. Może to wszystko bzdura, myślałem. Przypadkowe związki. I wtedy, zajrzawszy na koniec tego pliku dokumentów, ujrzałem ostateczny dowód na to, że Gelli rzeczywiście mógł być kojarzony z co najmniej trzema mężczyznami wymienionymi w raportach. Była to seria zdjęć. Znajdowały się w plastikowej podłużnej torebce z nadrukiem „Inwigilacja”. Te kontakty nie były ani zwyczajne, ani przypadkowe. Chłopcy z Londynu może byli naiwni, ale dokładni. Sfotografowali zarówno wszystkich mężczyzn razem, jak i każdego z nich osobno. Szczególnie jedno zdjęcie przykuło moją uwagę. Zostało zrobione na terenie niesłychanie okazałego domu. Pośrodku półkola, utworzonego przez siedzące panie, stali Gelli, pięciu ważnych nazistów i kilku kardynałów. Nazwiska wszystkich uczestników widniały napisane odręcznie po drugiej stronie tego dobrze zachowanego zdjęcia. Jeden z tych kardynałów został później papieżem. Ponownie przeczytałem uważnie te dokumenty, które pominąłem, zaglądając na koniec teczki.

W dokumentach znajdował się skrócony raport na temat Watykanu i wymieniał Gellego jako człowieka, który zorganizował dystrybucję skarbów zgromadzonych przez nazistów podczas wojny. Zarzut brzmiał, że to Watykan pomagał partii nazistowskiej przechowywać, a nawet sprzedawać te cenne przedmioty. A Gelli podobno sporządził spis tych przedmiotów. Zostały zaszeregowane do różnych kategorii i wycenione. Ceny podane były w dolarach amerykańskich. Według informacji zawartych w raporcie Gelli organizował aukcje, szukając na całym świecie potencjalnych nabywców wśród dobrze znanych kolekcjonerów, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Podobno przywoził tych kupców lub też ich współpracowników do Rzymu, aby obejrzeeli przedmioty, zanim podejmą decyzje o kupnie. I miał z tego procent. A te oględziny miały ponoć miejsce w samym Watykanie.

Raport zawierał nazwiska watykańskich urzędników, którzy uczestniczyli w sprzedaży oraz dystrybucji tych rzeczy i sugerował kwoty, jakie każdy z tych mężczyzn dostawał za to. Były to oszałamiające sumy, nawet jak na dzisiejsze czasy. Wniosek, jaki

zawierał raport, głosił, że Watykan zarobił na tym miliard dolarów. Pamiętam, iż pomyślałem, że to niemożliwe. Jakże ludzie, którzy żądają od reszty katolików, aby podążali za naukami Chrystusa, mogą być takimi złodziejami i oszustami? Wiem, że nie wszyscy księża i dostojnicy w Rzymie brali udział w tych czynnościach, ale wielu na pewno tak, ponieważ raport nadmienia, że przez prywatny magazyn Gellego w Watykanie przewinęły się tysiące przedmiotów. Nieco dalej znów padły oskarżenia pod adresem Watykanu, iż miał pełne informacje na temat holocaustu. Było to w raporcie o Brennanie. Mówił on o spotkaniach wyższych rangą nazistów oraz oficjeli z Watykanu, podczas których próbowano wypracować kompromis. Podobno naziści zapewniali Watykan, że ustalają ostateczny termin, do którego postarają się rozwiązać „problem żydowski”. Te stosunki z nazistami Watykan traktował tak, jak każdą współpracę: wszystko było udokumentowane, określone w czasie, wyszczególnione i skatalogowane.

Chłopcy z Tottenham igrali z ogniem. Nie mogli od dawna wiedzieć o tym wszystkim, gdyż musieliby to wszystko ujawnić. Gelli wraz ze swoimi przyjaciółmi nadal musiał utrzymywać kontakty z Rzymem, a grupa z Londynu musiała dostać cynk. Zostałem w Londynie o dzień dłużej, gdyż potrzebowałem czasu, by wynająć skrytkę w banku. I tam zostawiłem dokumenty. Potem odleciałem do Nowego Jorku, gdzie Gelli wypytał mnie o wszystko. Ja już miałem tego dość i pozostawała tylko kwestia, jak się z tego wyplątać.

## Rozdział IX

Pierwszy tydzień po powrocie do Nowego Jorku spędziłem niemal całkowicie z Marią. Chodziliśmy do kina, nocnych klubów i restauracji, spacerowaliśmy po parku i kochaliśmy się codziennie. Rozpaczliwie próbowałem zapomnieć o Londynie. Gdyby Gelli wiedział, że nie zniszczyłem tych dokumentów, już bym nie żył. Rudolph zajmował teraz wysokie stanowisko w NASA, a posiadane przeze mnie informacje położyłyby temu kres, i to z hukiem. Myślałem o powrocie do Dublina. Wierzyłem, że Maria pokocha Irlandię, co zaś do mojej rodziny, to byłem pewien, że pokocha Marię.

Tylko raz byłem w Dublinie od chwili swojego wyjazdu. Zadzwoił do mnie mój najstarszy brat, mówiąc, że może bym przyjechał, ponieważ mama jest chora. Na lotnisku ostrzegł mnie, że mogę doznać szoku na jej widok. Nic, co mi powiedział, nie byłoby w stanie przygotować mnie na to, co zobaczyłem, gdy zajechaliśmy przed dom. Moja matka wyszła, aby mnie powitać, i wyglądała na osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat. Ten widok mnie załamał. Przecież ona miała tylko pięćdziesiąt siedem lat.

Pomimo faktu, że była chora, spędziliśmy miło razem czas, a ja starałem się tak zachowywać, jak gdyby nic się nie zmieniło. Nie chwaliłem się swoimi zarobkami i uważałem, żeby nie powiedzieć za dużo o moim stylu życia. Ojciec i ja uśmieliśmy się kilka razy, ale on wyczuł, że wszystko się zmieniło.

Mój starszy brat, który znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny, spytał, czy w Ameryce układa mi się dobrze. Wiedział, że odpowiem tak, nawet gdybym nie miał nocnika, aby się wysikać. Zawsze rywalizowaliśmy. Pomędzy nami, dwoma starszymi braćmi, a dwójką młodszych jest spora różnica wieku - trzynaście lat. Mój starszy brat i ja byliśmy kumplami, podczas gdy z pozostałymi miałem niewiele wspólnego. Sądzę, że wtedy, gdy przyjechałem odwiedzić mamę, byłem dla nich obcy. Teraz żałuję, iż nie poświęcałem czasu ani im, ani moim siostrze. Rodzina to wszystko, co tak naprawdę masz.

Maria zdumiewała mnie. Często wyjeżdżałem na całe tygodnie w sprawach służbowych, a ona była spokojna i nigdy w żaden sposób nie okazywała żadnych emocji. Toteż doprawdy byłem zdziwiony, gdy zaczęła nalegać, bym pojechał z nią do Włoch, i to

dosłownie zaraz po tym, jak rozważyłem przedstawienie jej mojej rodzinie. Matka Marii źle się czuła i ona, jako jedyna córka, uważała za swój obowiązek pojechać tam i opiekować się nią przez jakiś czas. Chciała wyjechać zaraz. Tęskniła za ojczyzną i za ojcem. Właściwie był to pierwszy raz, gdy mówiła o rodzinie. I nagle Maria dała mi nadzieję oraz pretekst, by wyjechać z Nowego Jorku.

Maria mieszkała razem z inną nauczycielką ze szkoły językowej i zdaje się, że podobnie jak ja nie miała zbyt wielu rzeczy, bo chociaż miałem własne mieszkanie, to nie zgromadziłem wielu mebli czy przedmiotów. Poszedłem zobaczyć się z Gellim. Był akurat w Nowym Jorku, gdyż został zaproszony na pożegnalny lunch jednego z ważniejszych urzędników miejskich. Spotkałem go w jego ulubionym klubie. Byłem tam dwukrotnie wraz z grupą osób, ale tym razem miał to być mój solowy występ. Nie wpuszczono by mnie tam, a już tym bardziej nie byłbym tam zaproszony, gdyby nie to, że miałem się spotkać z Gellim.

Ten klub nie miał nazwy, a stopnie prowadziły do wielkich drzwi i olbrzymiego odzwiernego. Wiedziałem, gdzie znajdę Gellego siedzącego i popijającego swój ukochany napój, kawę po turecku, i wkrótce dołączyłem do niego i łykałem cos, czego Irlandczycy używają do naprawy dróg. Zazwyczaj nigdy nie odzywałem się do Gellego, dopóki on pierwszy tego nie zrobił. W klubie powała cisza, zupełnie jak w bibliotece. Gelli wydawał się odprężony i pomiędzy małymi łykami smoły pozdrowił kogoś, kto zajrzał do naszej części tego najbardziej prywatnego z prywatnych klubów dla panów. Nie czekając, zacząłem po prostu coś bełkotać o pewnej chorej w Rzymie.

- Czy jesteś zdenerwowany? - zapytał Gelli.

- Nie - odparłem nerwowo.

- Zrelaksuj się i powiedz, o co chodzi.

Wzięłem głęboki oddech, haust ohydnej kawy i znów zacząłem bełkotać.

- Potrzebuję.. .eee.. .postanowiłem pojechać do Rzymu z moją dziewczyną, Marią. Jej matka jest chora i sądzę, że powinienem tam z nią pojechać... no wiesz... aby ją wspierać.

Niezdarnie i w kółko powtarzając to samo, wyjaśniałem mu całą sytuację, aż w końcu Gelli mi przerwał. - Wydaje się, że twoja znajoma to bardzo odpowiedzialna osoba.

- Zamilkł i wytarł usta jedną ze swych nieodłącznych białych chustek do nosa. - A ty jesteś lojalnym, młodym człowiekiem. - Powiedział to bardzo wolno i w niezwykle przerażający sposób. Nie mogłem zgadnąć, czy chciał mnie zabić, czy też życzył powodzenia.

„Idioto, pomyślałem, nigdzie nie pojedziesz”. Gelli milczał przez minutę i przez chwilę intensywnie wpatrywał się we mnie, czekając, aż spuszczę wzrok. Nigdy nie byłem w stanie tak patrzeć na ludzi, z wyjątkiem jednego razu, gdy odbywałem trening. Nagle Gelli ściągnął usta i powiedział: „Jedź z nią i dbaj o siebie”. Następnie skinął na kelnera, aby przyniósł mu jeszcze jedną kawę, a potem nachylił się i podniósł piękną, skórzaną teczkę, na której widniał inicjał LG. Otworzył ją i wyjął małą paczuszkę. „Chciałbym ci coś dać, zanim wyjedziesz”.

Wręczył mi paczuszkę i powiedział, że jestem zaufanym przyjacielem i ma nadzieję, że nie zabawię długo za granicą. Odwinąłem papier i ukazało się małe, metalowe pudełeczko. Wewnątrz znajdowała się złota spinaka udekorowana jakimś herbem. Gelli nachylił się, wziął spinakę, wpiął ją w klapę mojej marynarki, a papier i pudełeczko schował do teczki. Usiadł i zaaprobował moją nową ozdobę. „Wygląda bardzo elegancko”. Podziękowałem mu, cały czas czując rozczarowanie, że nie dostałem pieniędzy, które podreperowałyby moje finanse.

Powiedziałem Gellemu, iż jestem pewien, że nie będzie nas tylko kilka tygodni i jak tylko wrócę do Nowego Jorku, skontaktuję się z kimś z firmy. Ledwie skończyłem mówić, pojawił się jakiś facet, by odprowadzić mnie do wyjścia. Nie obejrzałem się, a Gelli nie zwracał sobie głowy patrzeniem na mnie, ponieważ akurat wylądowała przed nim kolejna filiżanka z kawą.

Zadzwoiłem do Shauna, który zajmował się w Waszyngtonie ubezpieczeniami, i spytałem, czy mógłbym zostawić w jego mieszkaniu kilka rzeczy. Pozbyłem się już swojego mieszkania i właściwie miałem się przeprowadzić do domu na obrzeżach miasta, który kupiłem kilka lat wcześniej. Moi lokatorzy nie przedłużyli umowy wynajmu, gdyż pan domu został oddelegowany służbowo do Kolumbii. Nie wiedziałem na pewno, czy Gelli był w jakiś sposób zamieszany w ubezpieczeniowe interesy Shauna i nie obchodziło mnie to.

Shaun i ja rzadko kontaktowaliśmy się ze sobą, ale pamiętaliśmy, by zadzwonić do siebie w Dniu Świętego Patryka i na Boże Narodzenie. Rok wcześniej Shaun nocował u mnie kilka razy. Było to, gdy pokłócił się ze swoją dziewczyną. Miałem wobec niego dług wdzięczności za to, że pomógł mi na początku mojego startu w Stanach Zjednoczonych, ale nic nie mogłem poradzić na to, że ilekroć z nim rozmawiałem, to myślałem sobie, że takie dwa głupie popaprańce jak my powinni rzucić wszystko w diabły i wracać do domu. W ciągu ostatnich lat we wszystkich naszych rozmowach dowcip Shauna nie był już zauważalny i jestem przekonany, że on myślał podobnie o mnie. Przyswoił sobie też najgorszy amerykański akcent.

Moje starania o wizę trwały dzień, a to dzięki znajomej Marii, która pracowała we włoskim konsulacie. Tak więc wszystko dobrze się ułożyło.

Kiedy przyjechaliśmy do Rzymu, akurat był sezon turystyczny w pełni. Wynająłem pokój w hotelu niedaleko od rodzinnego domu Marii, który znajdował się w Villa Borghese. Rodzice Marii byli zagorzałymi katolikami i byliby niezadowoleni, gdyby ich córka żyła w grzechu. Dopiero na początku trzeciego tygodnia mojego pobytu w Rzymie poznałem rodzinę Marii. Powiedziała, że jej matka czuje się lepiej, a następnie zupełnie zwyczajnie poinformowała, że nie chce wracać do Ameryki. Jakoś wcale mnie to nie zaskoczyło. Kiedy przyszedłem po nią w dniu naszego wyjazdu z Nowego Jorku, zastałem ją stojącą pośrodku chodnika i całującą na pożegnanie przyjaciółkę, z którą razem wynajmowały mieszkanie. To nie było emocjonalne pożegnanie osoby, która wyjeżdża na parę tygodni. Zdumiały mnie też ogromne walizy Marii i przypominam sobie, iż pomyślałem, że jej matka musi być naprawdę chora, a Maria szykuje się na dłuższy pobyt. „Nigdy się nie ma za dużo sukienek”, stwierdziła po prostu Maria, a ja już nie zgłębiałem tematu walizek.

W odpowiedzi na sugestię Marii, że chce przynajmniej przez jakiś czas mieszkać we Włoszech, spytałem ją, czy chce, abym został z nią. Roześmiała się. „Oczywiście, że tak”, odparła. Pocałowała mnie i powiedziała, że mnie kocha. Zaakceptowała moje postanowienie zostania, nie pytając o moją pracę. Dlaczego sądziła, że mogę ot tak sobie po prostu rzucić pracę? Nie miała pojęcia o moich zarobkach ani czy dam radę się utrzymać i jak długo. Zawsze nurtowały mnie wątpliwości dotyczące naszego związku. Mogliśmy być razem, ale musiałbym ujawnić jej część mojej przeszłości. Poprosiłem

agencję wynajmu nieruchomości w Nowym Jorku, aby znalazła mi nowych lokatorów, oraz zadzwoniłem do Shauna, mówiąc, że może sprzedać moje rzeczy, jeśli mu przeszkadzają. Następnie, gdy upłynął już miesiąc mego pobytu w Rzymie, zadzwoniłem do firmy i poprosiłem, by poinformowano Gellego, że zamierzam zostać z Marią i zobaczyć, jak się sprawy ułożą.

„To wszystko”, pomyślałem. „Pracujesz dla bogatego i potężnego gangstera i nawet wiedząc to wszystko, co wiesz, po prostu wyjeżdżasz, do widzenia, *adios amigo*” Nie było to łatwe, ale potrzebowałem w życiu trochę rozrywki. Chciałem zapomnieć o Gellim, Rudolphie, Sturgisie, Peronie i wszystkich im podobnych, łącznie ze mną samym. Chciałem odnaleźć dawnego siebie. Tego beznadziejnego romantyka, co kiedyś zakochał się w dziewczynie, która przejechała tylko dwa przystanki miejskim autobusem w Dublinie. Podoba mi się to. Wiecie, jak to jest. Idziesz do sklepu po chleb i mleko, a tu - piękna ekspedientka. Stoisz i patrzysz na nią i po prostu chcesz przechylić się przez ladę i pocałować ją. A ona chce, żebyś się odczepił, żeby mogła wrócić do gadania z innymi dziewczynami o randkach.

Wynająłem mały domek nieopodal miejsca zamieszkania rodziców Marii i na jakiś czas przeistoczyłem się w turystę. Moje stosunki z Marią nadal były dość przypadkowe. Zdaje się, że nie zależało jej, czy się widzimy, czy nie. Kiedy byliśmy razem, uśmiechała się i śmiała, i mówiła, że jest szczęśliwa, ale równocześnie, jeśli matka potrzebo wała jej i nie widywaliśmy się przez kilka dni, nie obchodziło jej to. Nigdy nie wydawała się zazdrosna, gdy wspomniałem, że spotkałem kogoś, podróżując po mieście, i nigdy nie sprawiała wrażenia, iż oczekuje ode mnie propozycji małżeństwa.

W czasie naszego pierwszego miesiąca w Rzymie wybraliśmy się z Marią na kilka wspaniałych wycieczek. Uwielbiałem to miasto. Starożytne budynki, dzieła sztuki, jedzenie, ludzie - wszystko wydawało mi się wspaniałe. Jednym z moich najulubieńszych miejsc było Koloseum, i to pomimo jego burzliwej historii. Wyobrażałem sobie siebie siedzącego tam w wielkiej południowej loży, a biedny chrześcijanin wychodził walczyć. Wyobrażałem sobie gladiatora, kierującego kciuk do góry i zwracającego się do tłumu siedzącego na trybunach, zanim pozbawił chudego chrześcijanina życia.

Inne wspaniałe miejsce to pomnik Wiktora Emanuela (znany w Rzymie pod nazwą tortu weselnego), nie tyle ze względów architektonicznych, co dających



możliwości obserwowania ruchu ulicznego. Pomnik ten stoi na wielkim skrzyżowaniu. Ulica jest dostatecznie szeroka, ale nie ma tam pasów i kierowcy... no cóż, to są Włosi. Turyści uwielbiają patrzeć na ten chaos w godzinach szczytu. Stłuczka w Rzymie to coś tak normalnego jak fakt, że się urodziłeś.

Było jeszcze kilka atrakcji turystycznych, które zobaczyłem, na ogół z Marią, ale czasem sam. Nigdy nie przyłączałem się do grupy turystów, bo oni w każdym miejscu spędzali tylko kilka minut, ja zaś zostałem tam cały dzień. Podziwiałem tych Rzymian, którzy wieki temu wzniesli takie bajeczne i majestatyczne budowle. Nawet znalazłem w Rzymie piramidę, kryjącą resztki rzymskiego magistratu.

Uwielbiałem patrzeć na artystów wystawiających swoje prace na schodach kościoła Przenajświętszej Trójcy. Zdolności miejscowych malarzy są niebywałe. I nie ma znaczenia, czy malują farbami olejnymi, pastelami czy akwarelami - są wspaniali we wszystkich tych technikach.

Marii i mnie podobało się otoczenie Villa Borghese i często wynajmowaliśmy łódź wiosłową, aby popływać po jeziorze. Ponieważ dom jej rodziców znajdował się niedaleko, więc mogliśmy pieszo przejść ten krótki odcinek dzielący go od jeziora i od ogrodu zoologicznego -jeszcze jednego naszego ulubionego miejsca. Zdarzało się, że spacerowaliśmy nad Tybrem, trzymając się za ręce i dzieląc się marzeniami, że jesteście stworzeni dla siebie. Jednak Maria miała zwyczaj mówić na przykład: „Pewnego dnia zrobię to, czy tamto”, zupełnie nie biorąc mojej osoby pod uwagę. Czasem miałem poczucie pewności, a czasem czułem się tak, jakbym widział ją po raz pierwszy. Sądziłem, że postępuje tak, by wzbudzić moją zazdrość. Wyłącznie siebie mogłem winić za sposób, w jaki mnie traktowała. Byłem tak pogrążony w pracy, że Maria mogła się czuć zaniedbywana lub źle traktowana. Lecz właśnie miałem szansę pokazać jej, jak bardzo mi na niej zależy.

Zaskakiwałem ją, zabierając na pikniki, kupując kwiaty i ulubione ciastka, a nawet ustaliłem z miejscowym malarzem, że namaluje jej portret. Zabrałem ją na zakupy i kupiłem kolekcję zwariowanych kapeluszy, które wyglądały doprawdy idiotycznie, ale uszczęśliwiły ją. Maria uwielbiała kapelusze i zawsze nosiła robione szydełkiem czapeczki. Sprawiały, że wyglądała młodziej i bardziej oryginalnie. Na typowy ubiór Marii składały się ciemne dżinsy, golf i kolorowa, robiona szydełkiem czapeczka. Usta

malowała ciemną szminką, a rzęsy bardzo mocno tuszowała. Depilowała brwi do połowy ich grubości, a okalały one przepiękne, orzechowe oczy.

Pewnego dnia Maria poprosiła, abym zrobił jej kilka zdjęć. Jedno chciała oprawić w ramki i podarować mamie na urodziny. Mieliśmy ubaw. Najlepsze zdjęcie to takie, na którym stoi przed czynszową kamienicą, na której balkonach rozwieszono pranie. Potem ona zrobiła mi kilka zdjęć, które bardzo mi się nie podobały, ale cóż było robić. Właśnie szliśmy, aby oddać je do wywołania, gdy natknęliśmy się na jej kuzyna, który akurat uprawiał jogging. Maria wyglądała na zaskoczoną, a ja byłem ciekaw, czy stropił ją fakt, że on zobaczył mnie. Podobno był jakimś ważniakiem odpowiedzialnym za centralę telefoniczną w Rzymie. Chwalił się odpowiedzialnością za wszystkich kierowników oraz operatorów sieci w Rzymie i w okolicy. Chyba wywarł na mnie wrażenie.

Maria nie przedstawiła mnie nikomu z rodziny poza matką i ojcem. Jej ojciec nigdy specjalnie ze mną nie rozmawiał, ale odniosłem wrażenie, że w ogóle nie należał do osób rozmownych. Natomiast matka kilkakrotnie dała Marii do zrozumienia, że mnie zaakceptowała. Za pierwszym razem, gdy ją spotkałem, bardzo uważałem, by nie popełnić jakiejś gafy. Nie próbowałem posługiwać się zbyt swoimi włoskimi, ponieważ lokalny akcent sprawia, że język ten brzmi tam nieco inaczej. Stopniowo zacząłem coraz więcej używać włoskiego i zdaje się, że wywarło to na niej wrażenie. „Kochasz moją córkę?”, spytała zniechęcona, patrząc surowo. We Włoszech jeśli nie masz poważnych zamiarów, to nie umawiasz się z dziewczyną. „Cie, cie, oczywiście, że ją kocham, oczywiście”. Jej twarz rozjaśniła się i od tej chwili byliśmy przyjaciółmi. Dostałaby ataku serca, gdyby widziała nas na plaży w Bimini. Tak więc byłem w Rzymie wraz z moją dziewczyną, poznawaliśmy się lepiej i zaczynałem myśleć, co robić. Byłem szczęśliwy, przebywając w tym mieście tak długo, jak Maria chciała. I jakże niewiele wiedziałem o tym, jak moje życie miało się zmienić.

## **Rozdział X**

Nadeszła połowa września, a ja byłem wypoczęty, zadowolony z życia i świetnie czułem się w tym starym mieście. Dzień spędziłem, składając wizyty różnym ludziom interesu, których próbowałem namówić na pewne przedsięwzięcie turystyczne. Przede

wszystkim chciałem zawrzeć umowę z grupą hoteli, gwarantując im każdego dnia określoną liczbę gości w zamian za korzystną cenę. W każdym hotelu wynająłem kilkadziesiąt pokoi, opłacając je za miesiąc z góry. Następnie kilku lokalnym agentom, trudniącym się rezerwacją pokoi hotelowych dla międzynarodowych ekip operatorów, zaproponowałem łapówkę za sprzedaż miejsc w moich pokojach. Mój zarobek miała stanowić różnica między ceną, za którą agent sprzedawał pokój, a tą, którą ja musiałem zapłacić. Patrząc z punktu widzenia nielegalnych interesów, takie postępowanie było z gruntu uczciwe. Cały europejski przemysł hotelarski znajduje się pod kontrolą takiej siatki, w której stosowana jest większa liczba podań backhandowych aniżeli w turnieju tenisowym. Dzień mogłem zaliczyć do udanych, gdyż kilku facetów przystało na moje propozycje, uściskawszy sobie dłonie.

Był wczesny wieczór i właśnie miałem zadzwonić do Marii, by dowiedzieć się, czy jadła, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Nie znałem tu nikogo, więc przypuszczałem, że to ona. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem dwóch facetów. Nie mogłem ich dobrze rozpoznać i pomyślałem, że to mormoni, którzy w Dublinie nieustannie rysowali nam drzwi. Zapaliłem światło na zewnątrz i dopiero wtedy zobaczyłem, że to księża.

- *Buona sera*, panowie... przepraszam, ale już późno, a ja...

- *Per favore* - jeden z mężczyzn przerwał mi. Zanim mogłem powiedzieć coś jeszcze, oni po prostu przepchnęli się obok mnie, kierując się od razu w głąb mieszkania.

- Co wy sobie wyobrażacie? - spytałem, idąc za nimi. - Nie wiem, kim jesteście, więc za pozwoleniem.

- *Prego, si accomodi... prego*. - Wyższy z nich kazał mi usiąść. Pomyślałem, że mogą być uzbrojeni. Byłem pewien, że to nie są prawdziwi księża. Zrobiłem tak, jak mi kazał, i usiadłem. Byłem zdenerwowany jak diabli.

- Chcemy cię wynająć!

Nie odpowiedziałem.

- Chcemy, żebyś zdobył dla nas pewną rzecz i jesteśmy gotowi zapłacić ci mnóstwo pieniędzy, by zachęcić cię do pomożenia nam.

Myślałem, że śnię. Było tu oto dwóch facetów, którzy bądź zabłądzili, idąc na jakiś bal przebierańców, bądź też byli prawdziwymi księżmi, gotowymi wynająć mnie, abym ukradł przesyłkę z koralikami do różańca.

- Panowie, to wcale nie jest zabawne, czy aby trafiliście pod właściwy adres? - Mówiłem po angielsku, cały czas dziwiąc się, co każe im przypuszczać, że ja rozumiem choćby słowo z tego, co mówią. I teraz drugi z mężczyzn przerwał swoje milczenie i w doskonałym angielskim powiedział: - Wiemy, kim jesteś, i nie pomyliliśmy adresu. Może powinniśmy dać ci jakiś dowód, a wtedy będziemy mogli kontynuować.

Siedziałem skamieniały na krześle, podczas gdy ten człowiek klepał jak nakręcony z zatrważającą dokładnością szczegóły z całego mojego godnego pożałowania żywota. I to nie tylko te fakty, którymi dzieliłem się z moimi bliskimi przyjaciółmi, ale autentyczne brudy, tak jakby ktoś podążał za mną i nagrywał wszystko, co robiłem. Nikt nie mógł powtórzyć mi tego. To musiał być Gelli. Ale dlaczego? Jeśli chciałby, abym odważył dla niego jakąś robotę, to przyjechałby, ażeby się ze mną zobaczyć, albo posłałby kogoś, aby się ze mną skontaktował. Ale to nie mógł być Gelli, bo oni by mi to powiedzieli. Kręciło mi się w głowie. Kto? Kto opowiedział tym dwóm kłownom historię mojego życia? Shaun? To nie mógł być Shaun, on nie wiedział nawet połowy. Maria dostatecznie często słyszała historię mojego życia, ale nic nie wiedziała o moich kryminalnych wyczynach. Nastąpiła długa pauza, w czasie której nikt się nie odezwał. W ciągu kilku sekund dokonałem przeglądu mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych i cały czas dziwiłem się, który z tych ludzi, dla których pracowałem, stał za tym. Nie było w tym żadnego sensu.

- Czy pomożesz nam? - spytał niższy i znacznie młodszy mężczyzna.

Musiałem odzyskać panowanie nad sobą i dowiedzieć się, co chcieli, abym zrobił.

- Jest pewien dokument, pakiet. Chcemy, abyś go ukradł i przyniósł nam.

- Gdzie... gdzie jest ten pakiet? - spytałem.

Mężczyzna, który potem włączył się do rozmowy jako rzecznik, spojrzął na swojego towarzysza, jak gdyby szukając ostatecznej aprobaty, zanim powiedział: - W Watykanie.

O Boże, dzięki ci, że tylko śnię.

- W Watykanie - kontynuował ksiądz - a my możemy ci pomóc w dotarciu do miejsca, w którym przechowywana jest ta rzecz.

Włamywałem się do banków, biur prawników, prywatnych apartamentów, do komisariatów, do domu sędziego, ale do Watykanu? Jezu Chryste, Watykan!

- Pozwól, że powiem ci, dlaczego jest nam potrzebny ten dokument...

Wysłuchałem historii dokumentu znajdującego się w posiadaniu przywódcy pewnego ugrupowania istniejącego wewnątrz samego Watykanu. Dokument ten miał rzekomo zawierać pewną informację, która jeśliby przeniknęła do prasy, to niezwykle zaszkodziłaby Kościołowi katolickiemu. I bardzo nadwyrężyłaby wiarygodność samego Ojca Świętego. Poinformowano mnie, że temu człowiekowi, w którego posiadaniu znajdował się dokument, przyświecał w życiu tylko jeden cel - zniszczenie Kościoła katolickiego. Moi goście skierowali się w kierunku krzesel. Wyglądali nienagannie w swoich szytych na zamówienie ubraniach, lśniących jak lustro butach i zaprasowanych na kant spodniach. Wyższy z nich wydawał się starszy. Jeśli byli to księża, to ten musiał być przynajmniej biskupem. Młodszy wyglądał na zakłopotanego i zdenerwowanego, lecz pomimo to emanował z niego zapach, gdy opowiadał mi, jak człowiek, w którego rękę znajdował się dokument, bliski był zrealizowania swojej groźby i ujawnienia go prasie.

Co mógł zawierać ten dokument? Jakaż to informacja była w stanie doprowadzić do upadku wielki Kościół katolicki? Przypomniałem sobie wzmianki o Watykanie w papierach, które wykradłem w Londynie. Być może było więcej powiązań z nazistami. Być może sprzedajny ksiądz miał jakieś cenne rzeczy w Watykanie. A nasza rozmowa toczyła się dalej. - Reprezentujemy grupę księży, którzy poświęcili się jednej, prawdziwej wierze, a wielu oddało wszystko, co mieli, aby zebrać pieniądze, które, z czego zdajemy sobie sprawę, są konieczne, aby zatrudnić... kogoś takiego jak ty. Jeśli ten dokument udowodni, że istnieje korupcja, to zajmiemy się nią skutecznie, lecz na swój sposób. Co nieco wiemy, co zawiera ten dokument, ale prasa skoncentruje się wyłącznie na formułowaniu nagłówek i zbadanie całej sprawy nie będzie dla niej sprawą priorytetową. Nikt z nas nie wybaczy żadnemu człowiekowi Kościoła jakiegokolwiek nielegalnej działalności, czy to teraz, czy w przeszłości. Lecz to już sprawa kontroli.

Czy to miała być moja szansa na przebaczenie? Pomóc potężnemu Kościołowi i tym samym uzyskać rozgrzeszenie? Czy to możliwe? Czy doprawdy mogę włamać się do

Watykanu i ukraść jakiś dokument? Przypomniałem tym facetom, że Watykan jest bardzo dobrze strzeżony, ale w odpowiedzi usłyszałem, że gwardia szwajcarska pełni wartę tylko przy wejściach: głównym i bocznym. Wewnątrz Watykan zdany jest wyłącznie na swoje własne bezpieczeństwo. Powiedziano mi, że wejść tam jako rzemieślnik, który ma coś naprawić, co pozwoli mi dostać się do apartamentu, w którym przechowywany jest dokument.

Ci faceci starali się mnie skusić. Nie wiem, czy nudziłem się, czy też czułem się w obowiązku pomóc, ale już wiedziałem, że w tym uczestniczę, sugerując różne rzeczy.

- Będę musiał wiedzieć wszystko o tym mieście. Będą mi potrzebne mapy, rozkłady planów dnia pracowników, a także szczegóły dotyczące codziennego funkcjonowania Watykanu. - Czułem presję. Wyrzucałem z siebie więcej pytań, ale zanim skończyłem, moi goście wstali.

- Dziękujemy... jesteśmy wdzięczni... Kościół będzie wdzięczny... będziemy w kontakcie. - I mówiąc to, wyszli.

Była to jedna z tych nierzeczywistych sytuacji. Wiedziałem, że to zrobię. Przekonywałem siebie, że nie mam wyboru. Prawdopodobnie zabiliby mnie, gdybym tego nie zrobił, ponieważ wyjawili mi swoje plany. Jeżeli udawali księży, to robili to dobrze. Wyglądali jak księża. Nie wiem, co mi bardziej przeszkadzało: fakt, że zadanie dotyczyło Watykanu, czy też to, że nie wiedziałem, dla kogo pracują. W mgnieniu oka z turysty i przedsiębiorcy na powrót przeistoczyłem się w zwykłego złodzieja.

## Rozdział XI

Stałem przed wielkim kościołem, kompletnie przytłoczony jego ogromem. Bazylika św. Piotra jest masywną budowlą i największym kościołem na świecie, który często mieści tłumy. Opowiadanie mi tego sprawiło Marii niebywałą przyjemność. Już drugiego dnia naszego pobytu w Rzymie zabrała mnie tutaj, przede wszystkim aby się pomodlić za matkę, a także pokazać mi, jak powinien wyglądać kościół z prawdziwego zdarzenia. Wyglądała naprawdę na dumną, gdy pokazywała mi „jej” kościół. Znała nazwę każdej kaplicy oraz wiedziała mnóstwo o historii tej budowli, kiedy została wzniesiona każda z jej części i za jakiego papieża. Budynek jest wspaniały pod każdym względem, a kopuła bazyliki po prostu wzbudza grozę. Zaprojektował ją Michał Anioł i jest największą kopułą na świecie; ma 42 metry średnicy i 138 metrów wysokości. Wnętrze, mieszczące 45 ołtarzy, zostało udekorowane przez wielu najznamienitszych artystów świata. Wewnątrz słychać westchnienie niedowierzania, wydobywające się z piersi wielu turystów, lecz według mnie prawdziwe poczucie niedowierzania budzi ekstrawagancja i kompletna dekadencja tego miejsca. Czy Jezus Chrystus kiedykolwiek opowiedziałby się za takim wykorzystaniem funduszy?

Fresk namalowany przez Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej jest najslynniejszą atrakcją Watykanu. Sama kaplica z zewnątrz wygląda dość zwyczajnie i wydaje się, że została dobudowana później do głównego budynku. Jednak wewnątrz wspaniały sufit przyciąga miliony oglądających. Widziałem, jak ludzie kładli się na podłodze i patrzyli na to wielkie dzieło, a liczni studenci sztuk pięknych sporządzali szkice i notatki. Były tam wycieczki słuchające objaśnień ekspertów na temat malowideł oraz grupy modlących się w różnych miejscach kaplicy.

Najdoskonalszym dziełem sztuki w Watykanie poza wielkim freskiem jest rzeźba Michała Anioła, nazywana Piętą. Patrzyłem na twarz Madonny trzymającej ciało jej ukochanego syna Jezusa i dziwiłem się, jak to możliwe, że człowiek mógł wyrzeźbić coś takiego w kamieniu. Wyraz marmurowej twarzy Matki Boskiej przemawia do człowieka bardziej niż jakikolwiek inny obraz czy wizerunek Marii Panny. Dzieło to oglądane po raz drugi wydawało się nawet jeszcze wspanialsze. Takie chwile zawsze zmuszały mnie do

podawania w wątpliwość moją wiarę. Chodziłem poruszony przez wiele dni. Wiem, że to tylko wizerunki i mówię sobie, że opowieści o Jezusie to tylko takie historie, ale jednak w jakiś sposób czuję się nawrócony. Jako dziecko zawsze stroiłem sobie żarty z takich doświadczeń. W ten sposób starałem się panować nad swoimi emocjami. Żałuję, że pozwalałem sobie na te żarty. Uważałem, że mężczyźni nie powinni płakać, ale teraz boję się tych, co nie płaczą.

I znów otoczony tą wielkością musiałem przypomnieć sobie, po co tam przyszedłem. Rozpocząłem rozpoznawanie terenu Stolicy Apostolskiej.

Moi nowi pracodawcy zaopatrzyli mnie w mapy watykańskich wnętrz. Otrzymałem również rozkład dyżurów rzemieślników pracujących w Watykanie oraz inne informacje dotyczące systemów bezpieczeństwa i posterunków gwardzistów. Nie mogłem przejść w celach rekonesansowych trasy mojego ewentualnego włamania, ponieważ była ona całkowicie niedostępna dla turystów. Zobaczę te miejsca na własne oczy dopiero w dniu włamania.

Przede wszystkim interesowały mnie wejścia i wyjścia. Wiedziałem, w jaki sposób zamierzam dostać się do wnętrza, a także do której części głównego budynku wrócę po dokonaniu kradzieży. Pozostawało tylko określić, ile czasu mi to zajmie.

Obserwowałem gwardzistów, aby zobaczyć, czy rozpoznają oni ludzi z personelu Watykanu, lecz wydawało się, że nie. Jednak zauważyłem, że wielu księży oraz innych urzędników wchodziło i wychodziło przez drzwi, którymi miałem na początku wejść, i że większość z tych ludzi się znała. Tutaj ważna była moja znajomość włoskiego, ponieważ zawsze istniała możliwość, że podczas całej mojej akcji ktoś zacznie ze mną rozmawiać. Musiałem jeszcze posprawdzać mnóstwo rzeczy i zrobić to bardzo dokładnie. Co mogłem, sprawdzałem dwukrotnie z terenu dostępnego dla turystów, ale teraz przyszła pora na opracowanie planu samego włamania.

Dostarczono mi ubranie pracownika służb technicznych Stolicy Apostolskiej. Przymierzyłem je i poczyniłem kilka poprawek. Miałem identyfikator, który musiałem zawiesić na szyi; jego autentyczność sprawdziłem, porównując z identyfikatorem jednego z pracowników Watykanu. Wyglądał tak samo. Przejrzałem moje narzędzia. Miałem zabrać tylko to, co uważałem za absolutnie niezbędne. Uważałem siebie za eksperta od zamków, ale nie miałem pojęcia, jaki rodzaj zamka znajdę w tym najważniejszym



pomieszczeniu. Większości z tego, co umiałem, nauczył mnie Jimmy Step, ale on miał zwyczaj mawiać, że kluczową decyzję podejmuje się dopiero w dniu akcji. Są setki najrozmaitszych zamków i nie miałem pojęcia, jakich używa się we Włoszech. Postanowiłem wziąć klucz wielofunkcyjny, który Jimmy dał mi kilka lat temu, a którym otworzyłem tuzin zamków. Był jednocześnie przynoszącym mi szczęście talizmanem.

Jedyną rzeczą, której nie miałem wziąć do Watykanu, był mały ładunek wybuchowy, jaki zazwyczaj brałem na takie wyprawy. Niczego nie zniszczę w pałacu. Ładunek służył do otwierania sejfów, które wieki nieotwierane i wystawione na działanie czynników atmosferycznych niemal się zaspawały. Na pierwszym spotkaniu z Gellim powiedziałem mu, że nigdy nie obrabuję kościoła. Przekonywałem siebie, że to co innego, że robię dobrą robotę dla Kościoła i byłem absolutnie przekonany, iż niczego nie zniszczę.

I znowu musiałem okłamać Marię. Powiedziałem jej, że jadę na parę dni do Florencji, aby spotkać się z kilkoma biznesmenami w związku z moimi pomysłami dotyczącymi turystyki. Wszystko, co powiedziała, to „miłej podróży i do zobaczenia wkrótce”. Czy też by to tak wyglądało, gdybyśmy byli małżeństwem? Tak zwyczajnie. Czasem chciałem, aby była bardziej dociekliwa, żeby wiedzieć, czy jej nie oszukuję. Maria powiedziała mi, że Florencja to po Rzymie jej najulubieńsze miasto, ale nawet nie zapytała, czy mogłaby ze mną pojechać.

Wszystko było przygotowane. Był 26 września 1978 roku. Następnego dnia miałem zabrać dokumenty ze Stolicy Apostolskiej. Źle spałem, co było zrozumiałe. Leżałem w łóżku, a sceny z całego mojego życia przesuwają mi się przed oczami. Nie mogłem przestać myśleć, jak odmienne byłoby moje życie, gdybym pozostał w domu. Co by się stało, gdyby tak wcześniej nie wyrzuciono mnie ze szkoły? Być może gdybym nie opuścił fabryki plastiku, zostałbym szefem i częściej widywałem Miriam. Większość chłopaków, z którymi dorastałem, ożeniła się w bardzo młodym wieku. To mogło z łatwością przydarzyć się i mnie. Jako nastolatek byłem głęboko zakochany i ożeniłbym się jak nic. Co prawda, nigdy nie zastanawiałem się nad tym. Tamtej nocy żałowałem, że tak nie było, a mięśnie mojego żołądka skręcały mi się w środku. Wreszcie zasnąłem, ale nawet wtedy po głowie snuły mi się głupoty.

Widziałem siebie żyjącego w czasach Juliusza Cezara. Byłem owinięty obrusem, podczas gdy wszyscy inni nosili ładnie leżące tuniki. Za kradzież doprowadzono mnie przed oblicze jakiegoś faceta. Mój proces trwał może dziesięć sekund, ponieważ ten mężczyzna miał jeszcze tego dnia wiele spraw. „Ukrzyżowanie”, obwieścił i poszedłem z resztą miejscowych kryminalistów, aby wziąć swój krzyż. To był najdziwniejszy sen, jaki kiedykolwiek mi się śnił. Na szczęście udało mi się trochę pospać nad ranem i gdy wreszcie wstałem, czułem się dość dobrze. Około południa zjadłem porządne śniadanie, a potem przysłała pora na sfinalizowanie moich planów.

Przyszedłem do Watykanu późnym popołudniem 27 września. Miałem na sobie ubranie robocze i niosłem potrzebne narzędzia. Przed głównym wejściem zatrzymałem się na kilka sekund, kilka razy głęboko odetchnąłem i poszedłem w kierunku głównych drzwi Bazyliki św. Piotra. Przewidywałem, że gwardziści stojący przy głównym wejściu dla pracowników Watykanu mogą przestrzegać przepisów i zainteresować się mną, ponieważ mnie nie znają. Miałem należyte papiery zezwalające mi na swobodne wejście przez którąkolwiek z bram Watykanu, ale nie chciałem z tego korzystać.

W kościele najpierw podążałem za jedną grupą turystów, a następnie przyłączyłem się do innej, zmierzającej w kierunku Kaplicy Sykstyńskiej. Stamtąd musiałem przejść wejściem dla dostawców, mieszczącym się na tyłach Kaplicy, na Dziedziniec Strażników. Ta część, jak mnie poinformowano, była na ogół słabo strzeżona. Zatrzymałem się na chwilę pod wielkim sklepieniem Michała Anioła i po raz trzeci spojrzałem na fresk przedstawiający stworzenie świata. To uprzytomniło mi, gdzie się znalazłem, i jeszcze raz przypomniało, że łamię jedną ze swoich własnych zasad dotyczących okradania miejsc kultu religijnego.

Kiedyś w Dublinie jako dziecko okradłem wraz z kolegami kościół. Ukradliśmy kilka egzemplarzy Biblii, różańce, buteleczki z wodą święconą i tym podobne rzeczy. Na tle mojego dorobku życiowego była to skromna kradzież, ale tylko wtedy, jeden jedyny raz, miałem poczucie winy w związku z popełnioną kradzieżą. Później podczas jednej z wizyt w domu poszedłem do tego kościoła i w formie przeprosin zostawiłem na tacy pewną sumę.

Zlokalizowałem tylne drzwi. Nie było przy nich gwardzistów. Włożyłem do zamka klucz uniwersalny, który mi dano, przekręciłem i wkrótce znalazłem się na Dziedzińcu

Strażników, po drugiej stronie. Zamknąłem drzwi na klamkę i na klucz, oglądając się, by zobaczyć, czy dziedziniec jest pusty. Stąd przez drzwi z boku dziedzińca wszedłem do Wieży Borgiów i schodami na drugie piętro do apartamentów Borgiów. U szczytu schodów stał jeden strażnik. Nie zwróciłem na niego uwagi. Poszedłem wzdłuż wąskiego korytarza, przy którym mieściły się apartamenty, a następnie schodami w dół na zamknięty dziedziniec zwany Trójkątnym. Aby otworzyć drzwi znajdujące się u stóp schodów, musiałem użyć swojego klucza. Kiedy je otwarłem, spotkałem młodego księdza, który wracał do apartamentów. Nie zamieniliśmy ani słowa, a on nie okazał zdziwienia, widząc mnie w tamtym miejscu.

Szedłem dalej przez wąski korytarz, który prowadził do wschodniej części dziedzińca. Wszedłem na inny mały podwórzec, który, przypomniawszy sobie przestudiowaną wcześniej mapę, rozpoznałem jako podwórzec imienia Sykstusa V. Teraz zrobiłem już niemal pełne koło, lecz kierowałem się ku wejściu, które w moim przekonaniu powinno być najbezpieczniejsze. Im dalej posuwałem się po tej świętej ziemi, tym bardziej byłem zdenerwowany. Nurtowała mnie myśl, jaka mogła być kara za włamanie się do takiego miejsca.

Włamania miałem dokonać po godzinie osiemnastej, podczas mszy, kiedy to wielu mieszkańców Watykanu uczestniczy w rozmaitych obrzędach kościelnych. Przyszedłem nieco wcześniej, bo potrzebowałem dobrego światła, aby być pewnym, że należycie rozpoznam budynki, dziedzińce i drzwi. Wszedłem do magazynu znajdującego się pod schodami biegnącymi z podwórca imienia Sykstusa V. Postanowiłem poczekać tam do osiemnastej i wtedy przejść do części mieszkalnej, gdzie schowana była rzecz, którą miałem ukraść.

Magazyn nie był interesującym miejscem. Przechowywano tam zwyczajne urządzenia czyszczące oraz środki czystości do toalet, kuchni, dywanów itp. Schody były stare, zapewne oryginalne, solidne i wsparte na jednej kolumnie. Ktoś wyrył inicjały w drewnie i przez chwilę kusiło mnie, by zrobić to samo.

Mniej więcej o siedemnastej trzydzieści usłyszałem jakiś odgłos, jakby kroków, i zdałem sobie sprawę, że znajdowałem się w niewielkiej odległości od kwater gwardii szwajcarskiej. Odtworzyłem sobie w głowie mapę i sprawdziłem, czy moja latarka i narzędzia, które wziąłem ze sobą, są w porządku. Od strony schodów dobiegł mnie jakiś

hałas, niby zgrzyt, który odwrócił moją uwagę, i zdałem sobie sprawę, że ktoś otwiera drzwi do magazynu. Szybko schowałem się pod ławką, naciągając na siebie jakiś worek. Nie mogłem zobaczyć, kto to, lecz przypuszczałem, że to strażnik dokonujący rutynowego obchodu. Moja przepustka i ubranie dawały mi prawo do przebywania tu, lecz jaką podałbym przyczynę zamknięcia za sobą drzwi? Już naciągane wydałoby się wyjaśnienie, że szukałem czegoś pod ławką. Gdyby mnie zobaczono, miałbym problem. Nigdy wobec nikogo nie użyłem przemocy, czy to włamując się gdzieś, czy też uciekając, i nie byłem pewien, co bym zrobił, gdyby odkryto tu moją obecność.

Staralem się nie wydać żadnego dźwięku. Zrobiłem w materiale maleńką dziurkę. Teraz mogłem zobaczyć, że był to strażnik dokonujący dokładnej kontroli pomieszczenia. Sprawdzał, czy narzędzia leżały na swoich miejscach i czy znajdujące się tam szafki były zamknięte. Od strony schodów znowu dobiegł jakiś hałas i ta chwila pozwoliła mi wziąć głęboki oddech i przyjąć nieco wygodniejszą pozycję. Strażnik odwrócił się w kierunku drzwi i widziałem, że wygląda przez maleńkie okienko, chcąc zobaczyć, kto schodzi po schodach. Następnie otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je na klucz. Odetchnąłem i chwilę zastanawiałem się, czy hałas na schodach nie przeszkodził strażnikowi czegoś zabrać.

Była już szósta i zrobiło się dość ciemno. Wyszedłem z magazynu, udając, że sprawdzam zawiasy przy drzwiach, na wypadek, gdyby ktoś znajdował się na dziedzińcu. Wszedłem po starych drewnianych schodach, otworzyłem podwójne szklane drzwi i wszedłem do wyłożonego kafelkami hallu, od którego ciągnął się długi korytarz. Na ścianie znajdowała się tablica, na której widniał napis „Scala Nobile”. To była część, do której miałem nadzieję się dostać. Od korytarza odchodziło kilka prywatnych mieszkań, wszystkie z takimi samymi drzwiami, ale wyraźnie oznakowane tabliczkami z nazwami. Uznałem, że to imiona świętych lub też szczególne nazwy religijne napisane po łacinie. Ten korytarz wyglądał jak wejście do apartamentów w hotelu czy też w budynku mieszkalnym z własną ochroną. W tej części były rozstawione dwa posterunki straży. Pierwszy znajdował się w połowie długiego korytarza, a drugi na końcu i miał za zadanie pilnować innej klatki, zwanej klatką schodową imienia Piusa IX.

Teraz nie musiałem się już obawiać, że jakiś strażnik zwróci na mnie uwagę, ponieważ ci strażnicy tutaj będą myśleli, że wszedłem przez normalne wejście dla perso-

nelu i że nie są jedynymi wartownikami, na jakich się natknąłem w ciągu dnia. Nie rozmawiałem ze strażnikami, udając, że skupiam się nad swoją książeczką robót, w której zapisałem po włosku: „Sprawdzić i zreperować zamknięcia przy oknach w głównym pomieszczeniu”. Zrobiłem tak na wypadek, gdyby ktoś zapytał mnie o rodzaj wykonanych prac, których zlecenie, jak mi powiedziano, zazwyczaj wpisuje się do książeczek robót, a potem jeszcze odnotowuje się ich wykonanie w administracji.

Apartament, którego szukałem, znajdował się na końcu korytarza. Był ostatni i prowadziły do niego niemal ostatnie drzwi. Dalej zobaczyłem tylko jedne niewielkie drzwi. Pomyślałem, że to może być wejście do magazynu lub wyjście ewakuacyjne. Dwaj strażnicy w tej części korytarza znajdowali się po drugiej stronie podwójnych szklanych drzwi, u szczytu klatki schodowej imienia Piusa IX. Wskazówki, jakie otrzymałem, zgadzały się co do najdrobniejszego szczegółu. Teraz po prawej stronie drzwi ujrzałem niewielką niszę i tabliczkę, na której widniało słowo „Najwyższy” - tak jak to było w opisie.

## Rozdział XII

Otworzyłem te drzwi, posługując się kluczem gospodarczym, i znalazłem się w innym hallu, który oświetlał mały żyrandol. Prowadziło stąd dwoje drzwi. Te po mojej lewej stronie były lekko uchylone. Pchnąłem je delikatnie. Zobaczyłem regały z książkami oraz biurko i właściwie niczego tam już więcej nie było. Zanim dotknąłem klamki drugich drzwi, przymknąłem pierwsze. Teraz znowu znajdowały się w takiej samej pozycji, jak przedtem. Powiedziano mi, że pokój, do którego muszę się dostać, będzie zamknięty, a mój klucz gospodarczy nie zda się na nic. I znów okazało się, że te informacje były prawdziwe. Zanim otworzyłem małą torbę z narzędziami, obejrzałem dokładnie zamek. Miałem w torbie swój klucz uniwersalny wraz z cienkimi dłutami i klucz motocyklowy. Klucz uniwersalny nie otworzył zamka. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego mechanizmu i musiałem zgadywać, jak są ustawione zapadki. Włożyłem do dziurki klucz motocyklowy i przekręciłem go tak, jakby to był zwyczajny klucz. Zeskoczył z pozycji centralnej wobec popychaczy. Następnie, naciskając na popychacze, włożyłem do dziurki jedno z dłutek. Zlokalizowałem górne zapadki, popychając je, aby zajęły taką pozycję, w jakiej ułożyłby je pasujący do zamka klucz. Każda z zapadek znalazła się na właściwym miejscu. Dał się słyszeć delikatny chrzęst, co oznaczało, że zapadka natrafiła na szczyrbę w cylindrze.

Upłynęło już z dziesięć minut, jak opuściłem główny korytarz. Nie planowałem tak wiele czasu na otwieranie zamka. Szybko zacząłem pracować nad dolnymi zapadkami. Systematycznie naciskałem na każdą z góry w dół, aż usłyszałem ten sam zgrzyt. Wreszcie cylinder był wolny i obracał się, swobodnie otwierając drzwi. Ustawiłem zamek w poprzedniej pozycji, włożyłem narzędzia do torby, a także przetarłem zamek i klamkę. Wszedłem do pokoju, zamykając za sobą drzwi, i zapaliłem latarkę.

Pośrodku pokoju stał duży stół, który otaczało dwanaście krzeseł z wysokimi oparciami. Przed każdym, z wyjątkiem jednego, tego najbliższego mnie, leżały kartki do notatek. Po lewej stronie stał wózek na kółkach, na nim dzbanek z wodą i szklanki, a za nim na antycznej drewnianej podstawie wspaniałe ceramiczne naczynie. Skierowałem światło latarki do góry i ujrzałem wielki obraz. Zajmował centralne miejsce na ścianie. Przedstawiał ukrzyżowanie i był oprawiony we wspaniałą, złotą ramę. Przesunąłem

światło w inną stronę pokoju i zobaczyłem mały ołtarzyk. W jego centrum, otoczone po bokach srebrnymi kandelabrami, stało maleńkie złote tabernakulum. W górnej części ołtarzyka oraz na dole, po obu jego stronach, były drewniane panele. Powiedziano mi, że skrywają sejfy.

Zacząłem delikatnie opukiwać każdy kawałek płaszczyzny paneli, nasłuchując głuchego odgłosu. Wydawało się, że nie ma tam żadnych schowków. Wyjąłem scyzoryk i przeciągnąłem nim po spoinach z nadzieją natrafienia na przestrzeń. Panel po prawej stronie, znajdujący się najbliżej podłogi nie został sklejony wzdłuż szpary i byłem pewien, że tu kryją się ślepe drzwi. Delikatnie wsadziłem nóż w tę przestrzeń i podważyłem kawałek panela. Sprawdziłem, czy nie ma tam żadnych kabli, które byłyby podłączone do systemu alarmowego. Niczego nie było. Zamknąłem panel i sprawdziłem, czy na korytarzu nikogo nie ma. Panowała cisza. Znowu podważyłem panel i natrafiłem na małą, wąską alkowę. Znajdowały się tam trzy półki, a na środkowej stała drewniana kasetka. Pozostałe półki były puste i niczego nie mogłem dostrzec. Rozejrzałem się dokoła na tyłach zakamarka, by zobaczyć, czy jest tam może jeszcze jeden panel lub drzwi, gdyż powiedziano mi, żeby szukać sejfów, a jak do tej pory wszystko zgadzało się co do najdrobniejszego szczegółu. Nie mogąc dostrzec żadnego innego schowka, zdecydowałem, że sejfem jest ta kasetka.

Przypominała szkatułkę; jej brzegi wzmacniał metalowy pasek i była zamknięta na jeden centralny zamek. Z łatwością otworzyłem go i podniosłem wieko szkatułki. Leżała tam tylko mała koperta. Podniosłem ją do góry i podświetliłem od tyłu latarką. Była niemal przezroczysta i mogłem dostrzec, iż zawierała małą kartkę. Nie widziałem tekstu, ale czułem, że to nie mogła być ta paczuska, której szukałem.

Z tyłu na kopercie znajdowała się woskowa, złamana pieczęć. Powoli odgiąłem górną część koperty i wyjąłem list, napisany na dwóch niedużych kartkach. Na jego treść składało się około dwudziestu wierszy. Wyglądał jak zwyczajny list, tyle że bez nagłówka i adresu nadawcy. Na kopercie również nie było żadnego adresu, znaczka czy uwagi dotyczącej treści wiadomości. Notatka była niepodpisana i sporządzona w niezrozumiałym dla mnie języku, aczkolwiek potrafiłem odróżnić słowa takie jak: papier, Ojciec Święty oraz datę. Byłem pewien, że to nie za kradzież tej rzeczy miałem otrzymać zapłatę.

Postanowiłem zobaczyć, czy gdzieś w pokoju było coś, co przypominałoby dokument lub kompromitujący list. Włożyłem kopertę do kieszeni swojego kombinezonu, zamknąłem kasetkę i znów podszedłem do środkowej półki w alkwie. Dokładnie wszystko wytarłem, następnie zamknąłem drewniany panel i przymocowałem go.

W chwili, gdy znów zacząłem penetrować pokój, usłyszałem hałas na korytarzu. Szybko podszedłem do ostatnich drzwi i wślizgnąłem się do pomieszczenia, które było pokojem dziennym. Zgasłem latarkę i przyjąłem taką pozycję, która dawała mi wąskie pole widzenia tego, co się działo w głównym pokoju.

Usłyszałem odgłos zamykania drzwi na korytarz, a następnie ujrzałem niskiego mężczyznę. Wszedł on do pokoju i zapalił dużą lampę. Za nim podążał drugi mężczyzna, który porozkładał na biurku jakieś papiery i wyszedł. Mężczyźni nie rozmawiali ze sobą. Próbowałem pozostać w ukryciu, a równocześnie zobaczyć, kim jest ten człowiek i co robi. Był ubrany w sutannę, taką jaką noszą księża lub biskupi, i zapewne dopiero co uczestniczył w mszy świętej w jednej z watykańskich kaplic. Niemal natychmiast po wyjściu tego drugiego mężczyzny rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Weszło dwóch kolejnych mężczyzn, ubranych w szaty dygnitarzy kościelnych, zupełnie inne niż te, które miał na sobie gospodarz apartamentu.

Jeden z gości powiedział temu, którego jeszcze nie zidentyfikowałem, że popełnia on wielki błąd. Drugi mu przytaknął. Poprosili, aby ponownie przemyślał swoje działanie. Obydwaj mężczyźni zaczęli mówić, natychmiast po wejściu do pokoju, nie siadając, i bez słowa powitania. Musiałem się bardzo skupić, aby zrozumieć tę rozmowę. „Doprawdy nie możemy się zgodzić z twoją decyzją. To będzie rujnujące”, powiedział jeden z nich. Lecz niski mężczyzna, w którego apartamencie, jak sądzę, się znajdowałem, i którego prywatny list właśnie ukradłem, oświadczył: „Muszę wam obu oznajmić, że po spotkaniu z tą kobietą bardzo poważnie traktuję jej żądania i doprawdy jestem pod wielkim wrażeniem. Postanowiłem dać pełną wiarę ostrzeżeniom tego naocznego świadka i przygotuję się, aby w przyszłości przeczytać posłanie przekazane przez Maryję Błogosławioną Dziewicę. Bez względu na jego treść, jako że taka jest wola Najświętszej Panny, Wypowiadałem się już dziś na ten temat i jest oczywiste, że skoro osiągnąłem



swoją obecną pozycję, to załatwię sprawę do końca. Poinformowałem was o tym kilka tygodni temu i moje postanowienie jest niezłomne".

Mężczyźni nie odzywali się, tylko stali ze spuszczoneymi głowami. Gospodarz tych pomieszczeń obwieścił swoim gościom: „Panowie, jako papież rzymski oświadczam, że jest moją powinnością spełnić życzenia Najświętszej Panny Matki Boskiej Fatimskiej...”.

Oniemiałem. On powiedział „papież”? Znajdowałem się w apartamentach Przenajświętszego Ojca, papieża Jana Pawła I i okradałem go. Nie mogłem tego zrozumieć. Było powszechnie wiadomo, że papież rezydował w wielkim pałacu na tyłach bazyliki. Te skromniejsze, aczkolwiek niebiedne pomieszczenia mieszkalne mogły być, tak myślałem, pokojami niższego rangą biskupa bądź kardynała. Maria powiedziała mi, że papież mieszka w wielkim apartamencie pałacowym w pałacu rządowym. Wtedy, tamtego dnia, była świetnym przewodnikiem. Wiedziała wszystko o Watykanie. Jako nastolatka pracowała tam w kuchni pałacowej, pomagając w przygotowywaniu potraw.

„Wasza Eminencjo, błagamy o rozważenie tej decyzji”. Ton głosu obu gości był dobitny i zdecydowany. Ojciec Święty odwrócił się do tych mężczyzn i podziękował im za wizytę, lecz poprosił, aby już wyszli. Oni spojrzeli na siebie, odwrócili się i wyszli bez słowa, a już z pewnością nie mówiąc nic takiego, co mógłbym usłyszeć z mojej kryjówki. Dobięł mnie odgłos zamykanych drzwi.

Ostrożnie zamknąłem drzwi do pokoju, w którym się znalazłem, i zacząłem rozważać opcje. Na planie, który otrzymałem, nie było informacji o jakichkolwiek pokojach poza głównym pomieszczeniem. Najpierw pomyślałem, że schowam się do czasu, aż będę mógł wycofać się do głównego wejścia, ale jeśli to były pokoje należące do Jego Eminencji papieża, to należało się stąd wydostać, i to szybko!

Na przeciwległej ścianie widoczny był wąski pas światła, toteż przypuszczałem, że musiały tam być zasłony, a może i balkon. Światło to, choć nikłe, pozwalało mi dostrzec przedmioty i drugie drzwi. Przesunąłem się w prawo i otworzyłem drzwi, modląc się, aby liczące kilkaset lat drewno nie zaskrzypiało i tym samym nie zdradziło mnie. Trzeszczało i skrzypiało jak rozlatująca się łajba, a moje serce zamierało. Zapaliłem latarkę i zobaczyłem, że znajduję się w wielkiej sypialni. W głowie miałem zamęt. Ten kompleks przypominał labirynt z mnóstwem pokoi. Po obu stronach łóżka znajdowały się drzwi, a jeszcze jedno były z mojej prawej strony. Podeszedłem do nich, sądząc, że teraz

powinienem się znajdować równolegle do głównego pokoju. Otworzyłem je, równocześnie unosząc lekko do góry, by zredukować nacisk na zawiasy. Ten pokój to była prywatna biblioteka, wąska, z regałami ciągnącymi się po obu stronach od podłogi do sufitu, wypełnionymi wielkimi książkami. Z tyłu znajdowały się niewielkie drzwi, zamykane od środka na sztabę. To były te drzwi, które zobaczyłem wcześniej i sądziłem, że prowadzą do magazynu lub na klatkę ewakuacyjną. Zamknąłem za sobą drzwi biblioteki i już miałem wychodzić, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że drzwi ewakuacyjne znajdują się bardzo blisko posterunku straży, tego na końcu głównego korytarza. Zobaczyliby, że ktoś wchodzi i wychodzi i zaczęliby mnie przepytować, widząc, jak wychodzę przez te drzwi. I znów zacząłem rozważać możliwości. Balkon, jeżeli był, też stanowił jakąś szansę, w grę wchodziło również ukrycie się w apartamencie na tak długo, aż będę mógł wrócić do głównego pokoju. Gdy tak stałem i nie mogłem zdecydować się, co robić, pod drzwiami biblioteki pojawił się strumień światła. Ktoś był w sypialni. Wypadki zadecydowały za mnie. Odsunąłem sztabę i drzwi otworzyły się. Jakoś udało mi się zachować zimną krew. Odwróciłem się, a drzwi cicho się za mną zamknęły.

Jeden ze strażników po drugiej stronie szklanych drzwi na mój widok sprawdził godzinę. Nie wiem, czy mnie widział, jak wchodziłem, czy nie. Podniósł głowę i spojrzał na mnie, aby sprawdzić, kto wychodzi, ale nie ruszył się i nie wykazywał żadnego zainteresowania tym, co robię. Wyjąłem swój dzienniczek robót, nabazgrałem w nim kilka zdań, udałem, że sprawdzam godzinę i odszedłem, pisząc jeszcze trochę w dzienniczku.

Bez trudu udało mi się opuścić skrzydło, gdzie mieściły się prywatne apartamenty, i wróciłem tą samą drogą, którą wszedłem. Następnie skierowałem się na Trójkątny Dziedziniec. Teraz musiałem obrać inną drogę, ponieważ Kaplica Sykstyńska była zamknięta, a ja nie chciałem tam wchodzić, gdyż sprzątacze lub autentyczni watykańscy rzemieślnicy mogli akurat mieć dyżur. Przystudiowałem dwie możliwości wydostania się z budynku na wypadek, gdyby moja praca przeciągnęła się poza oficjalny czas otwarcia obiektu dla turystów. Serce mi waliło. Aż dziwne, że po prostu nie puściłem się pędem przez najbliższą bramę.

Pomimo całego zamętu, jaki miałem w głowie, jakoś potrafiłem spamiętać każdy krok ucieczki drogą numer dwa. Moja nowa droga to od Trójkątnego Dziedzińca przez

małe drzwi po zachodniej stronie do Galerii Inskrypcji, potem prosto wzdłuż zewnętrznego trawnika i przez Bibliotekę Apostolską, gdzie przebywa, ucząc się, wielu księży. Jeden ze studiujących zaczął mnie w bibliotece. Omal się nie zakrztusiłem. Przy jego stole popsuła się lampka. Pomachał ręką, aby zwrócić moją uwagę, a nie przeszkadzać innym księżom. Najpierw chciałem udać, że go nie zauważyłem, ale wielu innych przebywających tam księży dostrzegło mnie i widzieli, że jeden z nich stara się zwrócić moją uwagę.

Podszedłem do niego, starając się zachowywać jak najzwyczajniej. Brakowało mi tchu, a w ustach czułem taką suchość, że obawiałem się, iż nie zdołam wydobyć z siebie ani słowa. Ksiądz wskazał na lampkę i skinął głową. Nie przerywał czytania, korzystając ze światła, jakie dawały lampy pod sufitem, ja natomiast odszedłem na bok, aby zobaczyć, gdzie w pomieszczeniu biblioteki znajduje się szafka z narzędziami.

Wszedłem do pokoju dla personelu, mieszczącego się obok drzwi prowadzących do biblioteki, i tam natknąłem się na dwóch mężczyzn grających w karty; byli młodzi, około dwudziestki. Bez przedstawiania się kazałem im pójść i zreperować jedną z lamp, gdyż się popsowała. Natychmiast podnieśli się, gęsto się tłumacząc, iż nic o tym nie wiedzieli, i wyszli. Oparłem się o ścianę i próbowałem ochłonać. Naprzeciwko nad oknem wisiało duże lustro, z którego patrzyła na mnie twarz przerażonego człowieka. Nie mogłem uwierzyć, że oni nie zainteresowali się, kim ja jestem.

Nie zostałem długo w tym pomieszczeniu, bojąc się, że ci dwaj ludzie wrócą i zaczną ze mną rozmawiać. Chociaż mój włoski był dobry, to jednak zbyt wielu rzeczy nie wiedziałem o sprawach lokalnych, chociażby nie znałem wyników meczów futbolowych, a to mogło mnie zdradzić. Lekko uchyliłem drzwi i zobaczyłem, jak dwaj pracownicy z autentycznej obsługi technicznej Watykanu sprawdzają lampki do czytania. Wszedłem ze służbowego pomieszczenia i poszedłem do klatki schodowej nieopodal wejścia. Wszedłem na drugie piętro do galerii map, a potem zszedłem na dół tylnym wyjściem do części znanej mi pod nazwą Stradone Del Glondini. Stamtąd ruszyłem prosto w kierunku Bazyliki św. Piotra, przechodząc obok Fontanny Sakramentów i przez ogród krajobrazowy położony na północ od bazyliki.

Wszedłem do świątyni przez drzwi dla personelu i niemal zderzyłem się ze sprzątaczką. Przeprosiłem ją i pomogłem pozbierać rzeczy, które przeze mnie upuściła.

Czułem się dziwnie lekko, idąc przez kościół. Usiadłem, aby przemyśleć to, co zrobiłem. Powinienem być wiać stąd, ale powiedziałem sobie, że przecież niczego nie ukradłem. Nawet myślałem o tym, aby odesłać papieżowi list pocztą. Nie było żadnego pakunku, żadnych dokumentów. Może trafiłem nie do tego pokoju, co trzeba. Próbowałem oddychać spokojniej. „Wyglądaj, jakbyś się modlił”, mówiłem sobie.

Znów otworzyłem kopertę, ostrożnie, aby niczego nie zniszczyć. Patrzyłem ponownie na napisane wyrazy i dziwiłem się, co też to mogło być takiego ważnego. Figurowało tam imię papieża Jana XXIII, ale poza tym i słowami „Ojciec Święty” nie byłem w stanie nic zrozumieć. Charakter pisma był piękny, wyglądało ono niemal jak druk, a niektóre litery zdobiły idealnie wykonane zawijasy. I znów dostrzegłem, że brak było nagłówka i podpisu lub choćby inicjału. Na końcu drugiego wiersza widniała data: 20 sierpnia 1959. Myślę, że to był sierpień, wyglądało tak, jakby w tym słowie popełniono błąd, ale cyfry były dobrze widoczne.

Rozejrzałem się po bazylice - byłem prawie sam. Z jednej strony dobiegał mnie odgłos kroków, ale wewnątrz znajdowało się tylko kilka osób. Trzeba było wyjść. Wstałem i poszedłem na koniec ławki, ale zatrzymałem się w przejściu. Spojrzałem na ołtarz, lecz nie skłoniłem się. Przy drzwiach nie było warty. Zszedłem po schodach, przeszedłem przez parking i dalej szedłem ulicą z domami mieszkalnymi. Tam zostawiłem samochód. Zbliżając się do niego, zamiast iść, biegłem.

## Rozdział XIII

Przejechałem przez rzekę do Villa Borghese. Znałem tę okolicę. Tyle razy spacerowaliśmy tu z Marią. Zaparkowałem samochód w odosobnionej części ogrodu i po prostu wyciągnąłem się na siedzeniu na kilka minut. Za cholerę nie widziałem w tym żadnego sensu. Gelli... Za tym musi stać Licio Gelli. Trzymałem tę kopertę przed oczami i wiedziałem, że coś przeoczyłem. Cokolwiek to było, to, czego chcieli ci ludzie, kryło się tutaj, w tej małej ślicznej notatce. Patrzyłem na to wieki, cały czas rozglądając się, czy nikt za mną nie szedł.

Miałem zawieźć tę kopertę pod pewien adres po drugiej stronie rzeki. Wiedziałem, że nie mogę jej oddać. Już wystarczająco mnie oszukano, przecież nikt nawet nie wspomniał o papieżu. A kto ma prawo okradać papieża? Na pewno nie moi pracodawcy (nawet nie wiedziałem, kim byli), no i z pewnością nie ja. I nagle wśród tych chaotycznych myśli i dzikich spekulacji przypomniałem sobie słowa papieża: „Panowie, jako papież rzymski oświadczam, że jest moją powinnością spełnić życzenia Najświętszej Marii Panny Fatimskiej. Ogłoszę tę informację bez względu na jej treść, ponieważ taka jest wola Marii Panny. Zdecydowałem, że należy dać pełną wiarę ostrzeżeniu, jakie przekazali naoczni świadkowie, i wkrótce przygotuję się, aby przeczytać przesłanie dane nam przez Najświętszą Marię Pannę”.

Fatima; znałem tę nazwę. Kiedy byłem dzieckiem, uczyliśmy się o dziewczynce z miejscowości Fatima w Portugalii, która widziała Jezusa czy też Boga albo Maryję Dziewicę, czy też wszystkich ich razem. Nie pamiętałem, ale pamiętałem tę historię. Dziewczynka ta napisała list lub przekazała wiadomość informującą ludzkość o tajemnicy pochodzącej od Boga czy też Jezusa. Myślę, że mówiła ona o końcu świata. Ta wiadomość miała być pewnego dnia czy też w określonym czasie odczytana. I czy to właśnie było w moim posiadaniu? Ten list od małej dziewczynki? Musiał być szczególny i musiał być ukryty w jakimś bezpiecznym miejscu. Lecz jaką wartość przedstawiał on dla ludzi, którzy mnie wynajęli? A może został skradziony dla jakiegoś kolekcjonera? Lub też może stanowił jakąś wartość dla tych, którzy chcieli zdobyć na własność pewną część historii? Nie mogłem oddać go, nie wiedząc, co to jest.

Gorąco pragnąłem zwrócić list prawowitemu właścicielowi. Ludzie, którzy mnie wynajęli, już musieli się domyślić, że nie przyjdę, i na pewno mnie szukali. Nie mogłem wrócić do swojego mieszkania. Powinienem zadzwonić do Marii. Jak ja jej to wytłumaczę? Niemal na pewno zna historię o Fatimie, ale przecież będzie mi zadawać pytania. Powiedziałem, że będę we Florencji, i jak to teraz odkręcić? Musiałem odpocząć i coś zjeść. Pojechałem do centrum; noc spędziłem w jednym z niewielkich hoteli. Byłem tak oszołomiony, że nie zauważyłbym, gdyby ktoś śledził mnie nawet do samego progu mojego pokoju hotelowego. Usiadłem na końcu łóżka, ująłem głowę w obie ręce, odchyliłem się do tyłu i wyciągając się na wznak, wzrok utkwilem w suficie. Nie takim jak w Kaplicy Sykstyńskiej. Tu farba niemal odpadała, a cały pokój śmierdzał papierosami. Nie paliłem, ale ten zapach sprawił, że zapaliłbym jednego. Gdybym tak mógł to wszystko po prostu przespać!

Spałem doskonale i obudziłem się około wpół do dziesiątej rano. Na wprost mojego pokoju znajdowało się wejście do łazienki, więc wstałem i wziąłem gorący prysznic. Potem wyciągnąłem się na łóżku, nagle czując się wyczerpany i znów zacząłem rozmyślać o fatimskiej historii. Ubrałem się i postanowiłem udać się do kilku księgarń albo do biblioteki, żeby dowiedzieć się tyle, ile tylko możliwe o wydarzeniach w Fatimie. Poszedłem do ruchliwej, handlowej części miasta, gdzie turyści kupowali pamiątki. Znalazłem dużą księgarnię, więc wszedłem. Nie było trudno znaleźć dział z książkami religijnymi - zajmował pół księgarni. Przez chwilę przebiegałem wzrokiem po tytułach, aż znalazłem całą serię książek o Fatimie. Wołałem te w języku angielskim i wreszcie wybrałem jedną.

Fatimska historia. Przerzuciłem kartki i już po tytułach rozdziałów zorientowałem się, że w tej książce znajdę wszystkie informacje, jakich szukałem. Właśnie miałem się odwrócić, kiedy zagadnęła mnie sprzedawczyni.

- Wie pan, że ona jeszcze żyje?

- Słucham?!

- Ta pani - kontynuowała sprzedawczyni - jeszcze żyje.

Powiedziałem ekspedientce, że interesuje mnie fatimska historia i spytałem, czy to najlepsza książka na ten temat. Odpowiedziała, że to najlepsza książka na ten temat w języku angielskim, jaką mają. Powiedziała mi również, że jedno z trójki dzieci, które w

Fatimie widziały Najświętszą Marię Pannę, jeszcze żyje i mieszka w Hiszpanii lub w Portugalii. Jest zakonnicą, karmelitanką. Podziękowałem jej za to, że powiedziała mi, co wie na ten temat, kupiłem książkę i wróciłem do swojego hotelu.

Przeczytałem ją od deski do deski, każde słowo. To było wydanie albumowe z wielkimi obrazkami oraz mapami Fatimy i Portugalii. Przeczytałem o tajemnicy fatimskiej. Według tej książki jeden ze świadków objawień, jak określano w książce trójkę dzieci, spisał ostatnią partię przesłania wyjawionego im przez Najświętszą Pannę, która chciała, aby wiadomość ta została upubliczniona przed 1960 rokiem. To mogło mieć miejsce. Potrzebowałem więcej informacji. Książka była pełna niejasności, była to wersja raczej dla turystów, a mnie potrzebna była książka historyczna. Wróciłem do śródmieścia, aby zobaczyć, czy uda mi się znaleźć gdzieś bibliotekę. Jednak zamiast tego poszedłem do innej księgarni, która wydawała się bardziej naukowa - pełna była podręczników i encyklopedii. Powiedziałem jednemu ze sprzedawców, że szukam książki o Fatmie zawierającej relacje naocznych świadków i relacje prasowe. Mężczyzna, który mnie obsługiwał, wiedział dokładnie, gdzie szukać. Skończyło się na tym, że kupiłem jeszcze dwie książki i wróciłem do hotelu, zatrzymując się tylko po to, aby coś zjeść i napić się przed wielkim czytaniem. Czytałem godzinami. Robiłem notatki, porównywałem historie opisane w jednej książce z relacjami w drugiej oraz relacje naocznych świadków. Wieczorem byłem już bardzo zmęczony. Chciałem zadzwonić do Marii, ale było późno, a w głowie miałem zamęt. Postanowiłem, że pierwszą rzeczą, jaką jutro zrobię, to zadzwonię do niej.

Rano, gdy się obudziłem, byłem bardzo spragniony, więc ubrałem się i poszedłem do sklepu na rogu, żeby kupić coś do picia i może coś na śniadanie. Przed sklepem stali ludzie, wszyscy bardzo poruszeni i zajęci rozmową. Wszedłem do sklepu i poszedłem do działu z napojami. Wziąłem karton soku pomarańczowego i podszedłem do lady. Leżała tam sterta gazet, a nagłówki obwieszczały: „Papież nie żyje”.

„Kościół Katolicki jest dziś pogrążony w żałobie w związku ze śmiercią papieża Jana Pawła I, niech spoczywa w pokoju”. Kupiłem jedną z gazet i popędziłem do hotelu. Wbiegłem po schodach, wpadłem do pokoju i rozpostarłem gazetę na łóżku. Główne artykuły poświęcone były życiu Albino Lucianiego, cichego Włocha, który został papieżem trochę ponad miesiąc temu. A potem zobaczyłem to. Jakiś reporter napisał:

„Jakkolwiek watykańscy dostojnicy zdecydowali się nie ujawniać szczegółów dotyczących śmierci papieża, mogę potwierdzić, iż krąży doniesienia o mężczyźnie, którego widziano, jak wchodził do Watykanu po południu 27 września. Spekuluje się, że człowiek ten mógł zacząć się i czekać przez dwadzieścia godzin, realizując plan spisku, którego celem było zabicie Ojca Świętego”.

Zostałem wrobiony. Oficjalne watykańskie informacje dla prasy nie wspominały o niczym podejrzanym, ale ja nie mogłem też znaleźć żadnej wzmianki o jakiejś chorobie lub wypadku. Watykan tak naprawdę niczego nie powiedział. Papież zmarł, mając sześćdziesiąt pięć lat. Cała sprawa była od samego początku ukartowana. Doniesienie o mężczyźnie, którego widziano w Watykanie, nie było na pierwszej stronie, lecz znajdowało się w środku gazety i zostało opatrzone jednowierszowym tytułem. Być może był to po prostu przedwczesny szturm teorii spiskowych. Lecz w pierwszym dniu? Przesadzałem.

Wynajęto mnie, abym ukradł jakieś nic w kopercie, i bez wątpienia byłem śledzony. Być może ukaza się jeszcze jakieś zdjęcia. Sfabrykują całą sprawę. Muszę natychmiast wyjechać z Rzymu - nie mogę ryzykować powrotu do mojego mieszkania. Postanowiłem zadzwonić do Marii. W hallu na parterze była budka telefoniczna. Zadzwoniłem. Odebrała jej matka i po głosie można było poznać, że jest zdenerwowana. Nie powiedziała nic oprócz „dzień dobry” i nadal pochlipywała, ale zawołała Marię.

- Gdzie jesteś?

W jej głosie było jakieś ponaglenie, którego nigdy przedtem nie słyszałem.

- Gdzie jesteś, czy jesteś w pobliżu?

Już miałem zacząć mówić, ale zamiast tego odwiesiłem słuchawkę.

Spakowałem wszystkie książki, które kupiłem, i złożyłem gazetę. Poszedłem prosto do samochodu i postanowiłem pojechać na północ. Jechałem może kilka minut, gdy zatrzymałem się. Zdałem sobie sprawę, że jeśli wyjadę, to nigdy nie będę mógł zabrać rzeczy ze swojego mieszkania. Prawie nie miałem przy sobie pieniędzy, paszportu, a wszystkie moje dokumenty bankowe znajdowały się w mieszkaniu. Musiałem je mieć. Mogłem przecież wejść tylnym wejściem. Przekonywałem sam siebie, że zauważę, jeśli ktoś będzie obserwować mój dom. To nie było daleko, toteż tylko tam wpadnę i zaraz wybiegnę.



Zaparkowałem na tyłach niewielkiego domu mieszkalnego. Wydawało się, że wszędzie panuje spokój. Trochę ludzi rozmawiało, stojąc na balkonach z tyłu domu, lecz było to zrozumiałe, biorąc pod uwagę tytuły tego dnia w gazetach. Z nikim nie zamieniłem słowa. Wszedłem, chwyciłem pieniądze, rzeczy osobiste, wepchnąłem trochę ubrań do walizki i już mnie nie było. Wszystko nie trwało nawet minuty. Pojechałem na północ. Jadąc, rozważałem najrozmaitsze scenariusze, a gdy się zmęczyłem, wymyślałem nowe. Jechałem przez kilka godzin, zatrzymując się wyłącznie po to, aby coś zjeść, skorzystać z toalety lub kupić popołudniowe wydanie gazety. Wreszcie zajechałem przed motel i zatrzymałem się tam. Przespałem się przez kilka godzin, wziąłem prysznic, a następnie po-gimnastykowałem się trochę, aby się zrelaksować.

Teraz gazety wypełnione były najrozmaitszymi teoriami, a Watykan wciąż nie podawał żadnej oficjalnej przyczyny śmierci. Za to więcej było doniesień o mężczyźnie, którego widziano, jak wchodził do różnych części wewnętrznego kompleksu budynków watykańskich. A tylko ludzie, którzy mnie wynajęli, wiedzieli, że byłem na wspomnianych dziedzińcach. Widziało mnie kilka osób, ale ten dziennikarz sugerował sceny, których się domyślał, i były to bardzo szczegółowe domysły, ponieważ ktoś go informował. Nie było żadnych oficjalnych policyjnych raportów ani sugestii, że ktoś jest poszukiwany. Jeden jedyny dziennikarz rozpisywał się na ten temat, ale jego artykuły były zawsze ukryte wśród innych kolumn. Ten sam dziennikarz napisał artykuł poświęcony Albino Lucianiemu, opatrzony komentarzami jego przyjaciół, rodziny oraz księży.

Albino Luciani był popularnym kandydatem na papieża. Został wybrany już w pierwszym dniu konklawe, i to przeważającą większością głosów. W Rzymie wielu uważało go za „boskiego wybrańca”. Zaraz po wyborze zrezygnował z kilku formalności związanych z papieskim urzędem i jego inauguracja odbyła się przez inwestyturę Pallium, a nie przez koronację tradycyjną tiarą. Artykuł donosił, że fakt ten wywołał pewne zdumienie w Watykanie, szczególnie wśród starszych dostojników. Luciani należał do bliskich współpracowników papieża Pawła VI, po którym objął rządy, i okazywał odrazę wobec podejrzeń o korupcję panującą w Watykanie. Kariera Albino Lucianiego była wypunktowana jego uwagami dotyczącymi spraw politycznych. Należy do nich choćby ta, którą rzucił w Wenecji, kiedy zaproponował, aby wszyscy księża

pracujący w parafiach sprzedali ozdoby kościelne i klejnoty, a zgromadzone w ten sposób środki przekazali na rzecz biednych. Wyobrażam sobie, że spadło to niczym bomba i odbiło się nawet większym echem, niż gdy papież zasugerował, aby Kościół katolicki przekazał jeden procent swoich rocznych dochodów na wsparcie biednych kościołów w Trzecim Świecie. Śmierć Jana Pawła I zaledwie w trzydziestym trzecim dniu sprawowania urzędu sprawiła, że były to najkrótsze rządy na Stolicy Apostolskiej od czasów Leona XI w 1605 roku, który panował na tronie Piotrowym tylko dwadzieścia sześć dni.

Pewien ksiądz, przyjaciel Jana Pawła I, zrobił interesującą uwagę. Powiedział on mianowicie, że pamięta, jak 7 Lipca 1935 roku, w dniu, w którym on i Albino Luciani otrzymali święcenia kapłańskie, pewien zuchwały młody ksiądz odrzucił darowiznę jednego z darczyńców, mówiąc, że Kościół powinien wyzbyć się wszystkich dóbr materialnych. Tym darem był złoty różaniec, rzecz, zdaniem Albino Lucianiego, takiej wartości, że można było za to wyżywić rodzinę przez rok. Ksiądz przytaczał słowa Lucianiego, który powiedział, że pewnego dnia Kościół spotka kara za jego obsesję na punkcie dóbr materialnych.

Odłożyłem gazetę i znowu wziąłem się za książki o Fatimie. Czy doprawdy był tu jakiś związek? Czytałem cały dzień, dowiadując się wszystkiego o dzieciach z Portugalii i rozpaczliwie próbując znaleźć jakiś ślad, łączący te zdarzenia. Jednak nie było absolutnie nic, co mogłoby powiązać ze sobą te dwa wypadki.

W 1917 roku dziesięcioletnia Łucja Dos Santos w towarzystwie dziewięcioletniego Franciszka Marto i siedmioletniej Hiacynty Marto szukała stada owiec na polu w pobliżu miejscowości Fatima w Portugalii, kiedy ukazała im się Błogosławiona Dziewica Maryja. Pomiędzy 13 maja a 13 października tego samego roku Maryja ukazała się dzieciom sześć razy. Powiedziała im, że wysłał ją Pan Bóg z wiadomością dla każdego mężczyzny, kobiety lub dziecka, którzy będą żyć w XX wieku. Istota przesłania Najświętszej Marii Panny dla świata nosi miano „tajemnicy”, którą ona powierzyła trójce dzieci, będących świadkami jej ukazania się. Właściwie tajemnica ta składa się z trzech części, przy czym treść dwóch już ogłoszono. Następnie książka informuje, że ostatnia część tej tajemnicy nie została opublikowana, lecz zawarta w liście napisanym w styczniu 1944 roku. Czytałem dalej, dowiadując się, że Łucja, zwana teraz siostrą Łucją, spisała to przesłanie w 1944 roku w Tuy, gdzie przebywa, na papierze z notatnika. To przesłanie podobno ma

być podane do publicznej wiadomości w chwili śmierci siostry Łucji albo przed 1960 rokiem - w zależności od tego, co najpierw nastąpi. Według siostry Łucji Najświętsza Maria Panna tylko jej wyjawiała trzecią część tajemnicy.

Następna książka zawierała spekulacje na temat treści tej notatki, równocześnie przyznając, że nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie - to znaczy nikt poza Łucją i być może jednym czy dwoma papieżami, którzy podobno zapoznali się z treścią tej tajemnicy. Książki te zostały napisane już jakiś czas temu; może siostra już nie żyje? Zdecydowałem, że jedyną osobą, która może pomóc mi rozplatać tę plątaninę, jest sama autorka listu, który ukradłem papieżowi, człowiekowi, o którego zamordowanie ktoś mnie oskarża.

## Rozdział XIV

Gazety codziennie zamieszczały artykuły poświęcone papieżowi, a Watykan wciąż nie podawał przyczyny śmierci. Natomiast reporter, który pierwszy wspomniał, że rzekomy intruz może mieć coś wspólnego z tą sprawą, kontynuował swoją samotną krucjatę. Do jego ostatnich rewelacji należała sugestia, że sprzątaczką znalazła jakiś dziwny przedmiot, który zbadała policja. Nie miałem pojęcia, co też to mogło być, ponieważ to niemożliwe, abym cokolwiek zostawił. Historie te nie awansowały na nagłówki, ale jednak ktoś pozwalał codziennie temu reporterowi na snucie na łamach gazet jego podejrzeń. I nadal panowała kompletna cisza na temat policyjnego śledztwa.

Musiałem odnaleźć siostrę Łucję. Nie mogłem po prostu pojechać sobie do Portugalii czy Hiszpanii, zdając się na przypadek, że może ją znajdę. Musiałem mieć pewność, że ona żyje, wiedzieć, gdzie przebywa, i modlić się, aby mnie przyjęła. Książki, które przeczytałem, dawały kilka wskazówek co do miejsca zamieszkania siostry Łucji. Naczytałem się szczegółów o jej życiu po okresie objawień. Przedmowa w jednej z książek wskazywała, iż siostra Łucja poświęciła całe życie religii, po tym jak w 1921 roku została przyjęta do szkoły prowadzonej przez siostry dorotanki. I właśnie tam, w połowie lat dwudziestych XX wieku, po przeprowadzce do Tuy, przywdziała habit sióstr dorotanek, przybierając imię Marii Łucji Bolesciwej. Ostatnie śluby wieczyste złożyła w 1934 roku. Potem, w 1948 roku przeniosła się do Coimbry, wstępując do Zakonu Karmelitanek Świętej Teresy i przybierając imię siostry Marii Łucji Niepokalanego Serca Jezusowego i Niepokalanego Serca Maryi. Wszystko to działo się trzydzieści lat temu i byłby to szczęśliwy traf, gdyby siostra Maria Łucja jeszcze żyła.

Pomyślałem, że zadzwonię do klasztoru. Ale co powiem? Nie znam ani hiszpańskiego, ani portugalskiego, więc jak się dogadam? A może karmelitankom w ogóle nie wolno rozmawiać? Miałem dwie ciotki zakonnice, i trudno było powstrzymać je od gadania. Pewnego lata wraz z bratem zorganizowaliśmy w ich klasztorze zamieszki. Chodziłem też do szkoły prowadzonej przez zakonnice, małe siostry Jezusa. Dzieci, trzymane przez nie w reżimie i rygorze, przeżywały je różnymi imionami. Jak na małe siostry ważyły nieźle, mniej więcej po dziewięćdziesiąt kilogramów każda.

To były czasy, gdy zakonnice były zakonnkami: były chciwe, niedobre i rozpustne, ale przyświecały im dobre cele. Będąc w drugiej klasie, spotkałem wyjątkową terrorystkę. Nazywała się siostra Rita. Uczyła nas. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat, a więc dla nas, brzdąców, była stara. Tak jak wszystkie zakonnice, nosiła zwykły codzienny strój - czarny habit. Miał on bardzo głębokie kieszenie, zdolne ukryć szmatki do ścierania tablicy oraz inne niebezpieczne pociski. Wszystkie siostry nosiły różaniec przepasany wokół talii i zwisający wzdłuż prawego boku, czarne buty oraz pończochy albo skarpetki. No i oczywiście wszystkie miały takie samo nakrycie głowy, wyglądało ono jak czarny, płaski kapelusz, przykrywający całą głowę, z białym kołnierzem opasującym czoło. Zwieńczenie stanowił welon przykrywający włosy. Do cholery, nawet nie było widać ich uszu, ale powiem wam, że słuch to miały lepszy niż pies. Ośmieliłeś się tylko rozmawiać podczas lekcji, a musiałeś być przygotowany na wybuch gniewu siostry Rity. Zazwyczaj wymachiwała i celowała linijką w twoją głowę. Dziewięć razy na dziesięć - celnie. Ten jeden chybiony raz dostawało się niczego niepodważającego-mu i niewinnemu dzieciakowi siedzącemu obok ciebie. I to były jedyne chwile, kiedy widziałem siostrę Ritę uśmiechniętą.

W miarę upływu roku szkolnego zacząłem mieć obsesję na punkcie tajemnic kryjących się pod habitem siostry Rity. Czy ma tam jeszcze jedną parę oczu? Albo może jakiś aparat do podsłuchiwania? Czy też więcej linijek? Zacząłem obmyślać plan ujawnienia tych sekretów i ściągnięcia habitu z zakonnicy. Pewnego dnia, kiedy wracaliśmy z ferii, poszedłem za siostrą Ritą i podążałem za nią, aż niemal doszliśmy do naszego pokoju. I wtedy to zrobiłem. Jednym, szybkim ruchem chwyciłem jej habit z tyłu i dołu i pociągnąłem najsilniej, jak mogłem. Spodziewałem się jakichś skarbów. Zamiast tego przeżyłem szok widząc, że zamiast zerwać habit, przewróciłem siostrę Ritę na wznak. Jako siedmioletni chłopak nie zdawałem sobie sprawy, że habit był przymocowany do głowy zakonnicy za pomocą zawilego systemu agrafek i spinek. Nawet huragan by nie pomógł zerwać tego z głowy. Kiedy wracałem do domu, w autobusie nie mówiło się o niczym innym, tylko o mnie: jak to przewróciłem zakonnice, ciągnąłem przez korytarz i tak dalej. Nawet starsze dzieci przyszły, żeby mnie zobaczyć. Mniej więcej przez tydzień byłem ważną osobistością, kimś, z kim należało się liczyć, komu nie wolno było przeszkadzać, trzeba było schodzić z drogi i temu podobnie. I tak było aż do

dnia, w którym jakiś dzieciak został użądłony przez sto pszczoł, które drażnił kijem. Wobec tego musiałem przekazać pałeczkę Declanowi pszczelarzowi.

Tak więc nie pozostawało mi nic innego, jak zadzwonić do klasztoru i mieć nadzieję, że gdzieś mnie to zaprowadzi. Skorzystałem z ulicznego automatu, ponieważ jedyny telefon, jaki był w motelu, znajdował się w recepcji i nie pozwalał na prywatność. Poprosiłem telefonistkę, aby połączyła mnie z klasztorem w Coimbrze w Portugalii. Zostałem poproszony o powtórzenie swojej prośby, co też zrobiłem. Nastąpiła cisza, a potem ktoś inny podszedł do telefonu, jakiś mężczyzna.

- Halo, mówię po angielsku. Chciałby pan, aby połączyć pana z klasztorem w Coimbrze, czy tak?

- Tak, proszę.

- Ale z którym, bo tam jest kilka. Powiedziałem, że chodzi o klasztor karmelitanek.

- Oczywiście, proszę tylko o trochę cierpliwości, spróbuję pana połączyć.

Telefonista sprawił się bardzo dobrze, poinformował mnie, że połączenie nastąpi niebawem, ale ja się niecierpliwiłem i próbowałem go ponaglać.

- Proszę bardzo, jest połączenie.

Miałem połączenie i było dobrze słyszeć. Wydaje się, że kobieta, która odebrała telefon, nie rozumiała ani po włosku, ani po angielsku. Spytałem, czy zna siostrę Łucję, ponieważ próbuję skontaktować się z nią. Kilkakrotnie powtórzyłem imię siostry Łucji. Nie było żadnej odpowiedzi i już myślałem, że się rozłączyłem. Czekałem całe wieki, mówiąc od czasu do czasu „halo, halo”, ale bez rezultatu. Już miałem odłożyć słuchawkę i próbować zadzwonić jeszcze raz, gdy do telefonu podeszła jakaś inna kobieta. Mówiła świetnie po włosku.

- Rozumiem, że chce pan rozmawiać z siostrą Łucją, to znaczy ma pan na myśli siostrę Marię Łucję?

Potwierdziłem i przeprosiłem za niepodanie pełnego imienia.

- Jaką ma pan do niej sprawę?

Była bardzo bezpośrednia. Pomyślałem, że nie wolno im odbierać dużo telefonów prywatnych albo też przyczyną może być fakt, że do siostry Łucji dzwonią setki osób.

Wiedziałem, że jeśli to był właściwy klasztor i przebywała w nim siostra Łucja, to miałem tylko jedną szansę na porozmawianie z nią. Muszę wspomnieć o tej kopercie.

Powiedziałem tej kobiecie, z którą rozmawiałem przez telefon, że muszę siostrze coś oddać. Coś, co chciałyby, i to bardzo, aby zostało jej zwrócone.

- Co to takiego, jeśli mogę spytać? - zapytała kobieta.

- Proszę powiedzieć siostrze Marii Łucji, że mam mały pakiecik zawierający należące do niej dokumenty i chciałbym oddać je jej osobiście. Czy może jej pani powiedzieć, że ten pakiecik pochodzi z Tuy i na odwrocie ma czerwoną woskową pieczęć? - Kobieta poprosiła, abym poczekał, a ja tymczasem wrzuciłem do automatu trochę monet, spodziewając się, że to czekanie może potrwać. Czekałem kilka minut, zanim w telefonie dał się słyszeć jeszcze inny głos.

- Halo, senior, chciał pan rozmawiać? - jakaś kobieta mówiła wolno i łamaną angielszczyzną.

W słuchawce znów odezwał się głos operatora: - Minuta, została panu jeszcze minuta.

- Siostro... czy to Łucja, czy możemy się spotkać, proszę. - Musiało to zabrzmieć jak błaganie.

- Ja idę przebywać w klasztorze w Tuy jutro. Czy jest pan w Portugalii, senior?

Powiedziałem jej, że możemy spotkać się w Tuy, nie wspominając, że obecnie jestem we Włoszech. Powiedziała mi, że to klasztor Sióstr Dorotank nieopodal centrum Tuy. Jak tylko uzgodniliśmy, że spotkamy się w piątek po południu, połączenie zostało przerwane.

Ten kontakt dał mi pewne poczucie sukcesu. Miałem nadzieję, że łatwo można się dostać do Tuy. Nic nie wiedziałem o Portugalii, ani gdzie leży Tuy.

Właściwie Tuy znajduje się w Hiszpanii; na północy przylega doń Pontevedra, na wschodzie Orense, na zachodzie Ocean Atlantycki, a na południu Portugalia. Przypis w jednej z książek, którą kupiłem, stwierdza, że to liczące 3000 mieszkańców miasto składa się z prowincji Oranse i Pontevedra i jest bardzo stare. Pamiętałem, że to podczas pobytu w Tuy i zapewne w tym samym klasztorze siostra Łucja napisała list, który, jak sędzę, był w moim posiadaniu.

W jednej z kupionych przeze mnie książek cały rozdział został poświęcony wydarzeniom, które doprowadziły do tego, iż o tajemnicy fatimskiej dowiedziała się prasa. Siostra Łucja martwiła się, że jeśli zachoruje i umrze, wówczas przypadnie na zawsze tajemnica, wyjawiona dzieciom. Warunek był taki, że gdy Najświętsza Maria Panna przekazała ostatnią część swego przesłania, powiedziała Łucji, że zwraca się wyłącznie do niej. Dwójka pozostałych dzieci słyszała większość z przesłania, ale nie wolno im było słuchać końcowej partii „ostrzeżeń”, wszyscy autorzy byli zgodni co do tego. Przeczytałem o dwójce pozostałych dzieci, które wraz z Łucją były świadkami objawień.

Franciszek Marto urodził się 11 czerwca 1908 roku jako syn Manuela Pedro Marto i Olimpii de Jesus Dos Santos. Byli to skromni wieśniacy i dobrzy chrześcijanie. Chłopiec zmarł 4 kwietnia 1918 roku podczas epidemii grypy „hiszpanki”. Czytałem, że Franciszek od momentu, gdy jako mały chłopiec spotkał Matkę Boską, przejawiał kompletny brak zainteresowania sprawami ziemskimi, swoim życiem i zdrowiem, spędzając dni na pełnym żarliwości oczekiwaniu wstąpienia do nieba. Kiedy umarł, jego rodzice wyjawili, iż Najświętsza Panna powiedziała Franciszkowi, że nie będzie żyć długo. Zdaniem matki chłopca, był on chodzącym uosobieniem wiary. Historia, którą czytałem, zawierała wiele zeznań naocznych świadków oraz potwierdzenie ich dokładności przez siostrę Łucję. Czytałem dalej. Krótko przed śmiercią Łucja spytała Franciszka, czy coś go boli. „Tak, ale to nieważne. Cierpię, aby pocieszyć Pana Boga, ale potem, i to niedługo, będę w niebie”, odparł. Codziennie odmawiał różaniec, a niezliczone tłumy miejscowych przychodziły, by modlić się wraz z nim. Książkę zapełniały zdjęcia dzieci oraz okolic Fatimy, gdzie, jak utrzymywały dzieci, widziały piękną kobietę, którą Hiacynta nazwała Matką Bożą.

Hiacynta Marto urodziła się 11 marca 1910 roku. Była młodszą siostrą Franciszka i miała umrzeć z tego samego powodu, co i brat - śmiertelnej grypy, która zabiła dziewczynkę 20 lutego 1920 roku. Mówi się, że była nieustannie pochłonięta kontemplacją Boga, intymną rozmową z nim. Poszukiwała ciszy i samotności, a w nocy wstawała, aby modlić się i swobodnie dawać wyraz miłości do Boga. W krótkim czasie jej życie wewnętrzne zaczęło się odznaczać wielką wiarą i dobrocią. W przeciwieństwie do swojego brata Hiacynta zmarła w Lizbonie, sama, w szpitalu z dala od kochających rodziców i przyjaciół. W tym szpitalu spędziła jakiś czas. W dniu śmierci poprosiła o



udzielenie jej sakramentów, ale przyjęła tylko sakrament pokuty. Zdając sobie sprawę ze zbliżającej się śmierci, poprosiła o ostatnie namaszczenie, ale ksiądz, nie dając rady obsłużyć wszystkich, którzy o to prosili, odłożył to na następny dzień. Nigdy nie powiedział, dlaczego to zrobił. Hiacynta wreszcie osiągnęła cel swoich marzeń - życie wieczne. W tym samym czasie, gdy Błogosławiona Dziewica wyjawiała trójce dzieci tajemnice fatimskie, obiecała też, że Bóg uczyni w październiku następnego roku wielki cud, taki, „aby wszyscy uwierzyli”.

Zafascynowała mnie ta historia. Nie mogłem przestać myśleć, jak czułby się mój ojciec, gdyby wiedział, że w jakiś sposób jestem zamieszany w jedno z największych zdarzeń religijnych XX wieku. Słyszałem, jak opowiadał o historii fatimskiej, ale nigdy specjalnie nie zwracałem na to uwagi. Sądzę, że odrzuciłbym ją jako nonsens. Te dzieci widziały coś na polach pod Fatimą. Nie wiem, co to było, ale to wystarczyło, aby Łucja całe swoje życie poświęciła Bogu.

Musiałem ułożyć plan swojej podróży. Najpierw chciałem pojechać do Tuy samochodem, lecz szybki rzut oka na mapę uświadomił mi, że to co najmniej tysiąc mil od miejsca, w którym się znajdowałem. Postanowiłem więc wrócić do Rzymu i stamtąd polecieć do Portugalii. Tam zamierzałem wynająć samochód i pojechać na północ, do Tuy. Tu przyda mi się irlandzki paszport. Nawet w najgorętszym okresie wydarzeń politycznych w Irlandii nasz paszport ułatwiał otrzymanie wizy do każdego kraju. Co najwyżej zadawano kilka pytań. Nie poszedłem do swojego mieszkania w Rzymie, ale noc spędziłem w pobliżu lotniska. Załatwienie wizy zajęło mi mniej niż godzinę i potem mogłem zarezerwować sobie bilet na samolot do Lizbony. Mogłem również zarezerwować przelot do miasta położonego blisko granicy, ale zdecydowałem się pojechać z Lizbony samochodem przez Fatimę do położonego w Hiszpanii Tuy.

Pomimo nieschodzącej z łamów prasy historii o jakimś tajemniczym mężczyźnie wałęsającym się po Watykanie miałem przekonanie, że nie jestem poszukiwany przez policję. Cała ta sytuacja była dla mnie korzystna; stanowiła ostrzeżenie, aby nie zwracać koperty mężczyznom, którzy mnie wynajęli. Nie bałem się podróży samolotem, gdyż nie sądziłem, aby policjanci czekali na mnie na rzymskim lotnisku. Nadal nie miałem pojęcia, kto mnie wynajął. Czy to wszystko po prostu zostało uknute, aby zrobić mnie w zamordowanie papieża? I czy on został zamordowany? Bardzo chciałem porozmawiać z

Marią. Nie mogłem do niej zadzwonić. Trzeba było wszystko poukładać. Powiedziałem sobie, że kiedy już to wszystko się skończy, to do niej zadzwonię.

Minęło już pięć dni od pierwszych doniesień o śmierci papieża. Kupowałem poranne i wieczorne wydania gazet, aby być na bieżąco. Tego ranka, kiedy miałem odlecieć do Lizbony, artykuły wspomnianego reportera podały informacje, stanowiące milowy krok naprzód. A oto la z pierwszej strony:

„Teraz miejscowe władze poważnie rozważają doniesienia, że jakiś mężczyzna był widziany, jak wchodził do Watykanu w późnych godzinach popołudniowych 27 września. Sądzi się, że człowiek ten ubrany był w zwyczajny roboczy kombinezon, skradziony z domu jednego z watykańskich robotników. A oto rysopis mężczyzny: wzrost - 172 cm, włosy czarne, szczupłej budowy ciała, mówi z irlandzkim akcentem. W pomieszczeniach Watykanu, będąc w przebraniu pracownika służb technicznych, rozmawiał z kilkoma osobami. Uważa się, że człowiek ten jest odpowiedzialny za kradzież dokonaną w apartamentach Ojca Świętego”.

Raport stwierdzał też, że urzędnicy watykańscy zaprzeczają, aby gdziekolwiek widoczne były ślady włamania lub kradzieży. Ani słowa ze strony oficjalnych źródeł na temat śmierci papieża. W następnym wydaniu gazety spodziewałem się zobaczyć swoje zdjęcie.

Doprawdy nie mogłem uwierzyć, że to wszystko z powodu małej notki napisanej przez siostrę Łucję. Rzecz jasna, zainteresowani tą sprawą ludzie myśleli, że ukradłem jakiś niezwyklej wagi dokument ujawniający oszustwo lub korupcję. I co, jeśli po prostu im go oddam? Pokazać im, że to co wzięłem, to po prostu mały, nieszkodliwy liścik? Za późno. Miałem zbyt dużo czasu, aby wymyślić wystarczającą liczbę niesamowitych historii. Ci ludzie wiedzieli, jakie mam doświadczenie w kradzieży i obchodzeniu się z dokumentami. Oni wierzyli, że w moim posiadaniu jest „coś”, po co mnie posłali. Odlot mojego samolotu nie mógł wypaść w lepszym czasie.

## Rozdział XV

Kiedy odlatywałem z Rzymu, nie było policji na lotnisku. Przyglądałem się każdemu i każdego podejrzewałem. Jeśli policja śledziłaby mnie, to nigdy nie pozwoliłaby mi wsiąść do samolotu, to pewne. Lot przebiegał dobrze, z wyjątkiem małej turbulencji, gdy zbliżaliśmy się do Lizbony. Samolot był pełen i dowiedziałem się, że miałem szczęście dostać bilet tak krótko przed odlotem. Był akurat szczyt sezonu turystycznego, gdyż katolicy spieszyli do Fatimy, aby uczestniczyć w obchodach rocznicy wydarzeń z 1917 roku.

Siedziałem obok księdza, który poinformował mnie, że 13 października 1917 roku w Fatimie wydarzył się cud i teraz co roku o tej porze tysiące ludzi z Włoch i z wielu innych krajów odwiedzają to miejsce, aby świętować tę cudowną rocznicę. On sam leciał z grupą chorych dzieci, mając nadzieję, że wydarzy się jeszcze jeden cud. Powiedział, że zdaniem wielu ludzi, zostali oni uzdrowieni po odwiedzeniu Fatimy i modlitwie na polach, gdzie Błogosławiona Maryja ukazała się dzieciom. Pomyślałem, że może dlatego siostra Łucja udawała się na północ, do Tuy. Każdy, kto śledził jej życiorys, doskonale wiedział, że mieszka niedaleko Fatimy, w Coimbrze. Byłem ciekaw, czy jej decyzja, aby właśnie w tym czasie udać się w podróż, miała na celu uniknięcie ewentualnych przejawów miłości, co niesłychanie skomplikowałoby życie w Coimbrze i w samym zakonie. Ksiądz dał mi do czytania książeczkę, będącą częścią przewodnika turystycznego po uroczystościach religijnych w Fatimie.

Podczas ostatniego objawienia, które miało miejsce 13 października 1917 roku, świetlista pani przedstawiła się jako Matka Boska Różańcowa. 70 000 pielgrzymów przemoczonych do suchej nitki przez poranne ulewy czekało wraz z trójką dzieci, aby ujrzeć ostatnie objawienie. Nagle zobaczyli, jak słońce wydłuża swoją orbitę, tworząc tęczę i równocześnie wirując. Wreszcie, gdy zjawisko to ustało, zgromadzeni spostrzegli, że słońce leci w kierunku ziemi. Wywołało to panikę. Kiedy wreszcie po upływie dwunastu minut znów zaczęło zachowywać się normalnie, zgromadzeni, jeszcze przed chwilą przemoczeni ludzie odkryli, że ich ubrania są całkiem suche. A wielu pielgrzymów cierpiących na rozmaite dolegliwości bądź odzyskało zdrowie całkowicie, bądź też w

znacznym stopniu. Na dodatek ponad dziesięć tysięcy mieszkańców okolicznych wiosek, którzy nie zdecydowali się przyjść do Fatimy, widziało, jak słońce tańczyło na niebie. Jedną z głównych antyklerykalnych gazet była lizbońska „O Dia”. W wydaniu z 17 października „O Dia” donosiła, co następuje:

„O pierwszej po południu, a więc niemal w południe, słońce zatrzymało się. Niebo, w szaroperłowym kolorze, rozświetliło dziwnym blaskiem obszerny i jałowy krajobraz. Słońce przyozdobione było przezroczystym welonem z mgiełki, tak że można było na nie patrzeć gołym okiem. Perłowa barwa przybrała formę jakby srebrnej blachy, która złamała się w momencie, gdy chmury rozstały się, a srebrne słońce, przyozdobione tym samym mglistym światłem, zaczęło wirować wokół własnej osi, a równocześnie poruszać się po okręgu utworzonym przez otwór w chmurach. Ze wszystkich ust wydobył się krzyk, a ludzie padli na kolana na błotnistą ziemię. Światło, jakby przefiltrowane przez witraże jakiejś katedry, zmieniło kolor na piękny błękit i objęło swym zasięgiem wszystkich ludzi, ci zaś klęczeli z wyciągniętymi ramionami. Ten błękit powoli płowiął i po chwili wydawało się, że słońce przechodzi przez żółte szkło. Żółte plamy słoneczne odbijały się od białych chust i ciemnych spódnic kobiet. Widać je było na drzewach, na kamieniach i na ziemi. Ludzie płakali i modlili się, odkrywszy głowy w obliczu cudu, którego oczekiwali”.

Inna duża lizbońska gazeta „O Seculo” wysłała na miejsce dziennikarza Avelino de Almeidę. W swoim artykule z 13 października raczej sceptycznie odniósł się on do całej historii o Fatimie i zapowiadającym cudzie. Jednak, będąc świadkiem zdarzenia, napisał:

„Z drogi, gdzie stały zaparkowane samochody i gdzie zgromadziły się setki ludzi, którzy nie chcieli brnąć w błocie, można było dostrzec nieprzebrane tłumy, wpatrujące się w słońce. Ono zaś wydawało się być w zenicie i nieprzesłonięte chmurami. Wyglądało, jak jakaś plakietka z matowego srebra i można było na nie swobodnie patrzeć. To mogło być zaćmienie. Lecz w pewnej chwili podniósł się wielki zgiełk i można było słyszeć, jak stojący obok ludzie krzyczą: «Cud! Cud!». I przed zdumionymi oczami tłumu, wierzącego w cud, gdy ludzie stali z odkrytymi głowami i wpatrywali się w niebo, słońce zadrżało i wykonało niewiarygodne ruchy, zupełnie sprzeczne z prawami kosmosu. Chcąc użyć typowego określenia, trzeba by powiedzieć, że słońce tańczyło”.

Innym świadkiem tych zdarzeń był Joseph Garret, profesor nauk przyrodniczych na uniwersytecie w Coimbrze. Dokonany przez niego opis tych wypadków jest podobny:

„Nie były to błyski wydawane przez jakąś boską postać, gdyż słońce kręciło się wokół własnej osi w szalonym wirze, kiedy nagle dał się słyszeć krzyk wszystkich. Wydawało się, że słońce, ciągle wirując, oderwało się od nieboskłonu i zaczęło zbliżać się ku ziemi, jakby chcąc zmiażdżyć nas swą wielką, gorejącą masą. To było straszne”.

Nie wiedziałem, co sądzić o tych historiach, ale czułem podniecenie na myśl, że odwiedzę te miejsca. Będę miał trochę wolnego czasu, ponieważ spotkanie z siostrą Łucją zostało przesunięte na następny dzień.

Po wylądowaniu w Lizbonie nasz samolot został zatrzymany przez jakiś czas na pasie. Nie zaprzątałem sobie tym faktem głowy, aż do chwili, gdy do samolotu weszło kilku mężczyzn w mundurach. Najstarsza rangą stewardesa wręczyła jednemu z nich listę pasażerów, na której temat on z kolei zaczął dyskutować ze swoim kolegą. Obydwaj ruszyli w moim kierunku i byłem pewien, że zostanę aresztowany. Nie miałem jak uciec z samolotu. Jeden z oficerów zatrzymał się w przejściu obok mnie. Sprawdził numer miejsca, a potem znów zaczął wodzić palcem po liście pasażerów. Następnie podszedł do swojego kolegi i powiedział coś, co sprawiło, że ten znowu podszedł do miejsca, na którym siedziałem. Starłem się nie patrzeć na nich.

- Musi pan pójść z nami.

Zmartwiałem.

- Ojczy, załatwiliśmy specjalny samochód dla twoich dzieci.

Moja ulga była tak widoczna, że zwróciłem na siebie uwagę. Jeden z mundurowych zapytał mnie, czy dobrze się czuję. Odpowiedziałem, że to latanie tak na mnie wpływa. Roześmiał się i powiedział, że też nie znosi latać. Portugalska armia sponsorowała podróż dzieci, które przyleciały pod opieką księdza, i załatwiła specjalny autobus, aby ułatwić podróż tym przykutym do wózków inwalidzkich.

Fatima znajduje się mniej więcej 115 kilometrów od Lizbony, a jazda tam samochodem stanowiła relaks po szoku, jakiego doznałem, widząc tych wojskowych w samolocie. Oglądałem krajobrazy, lecz równocześnie moją uwagę przyciągały źle utrzymane drogi. W myślach dokonywałem retrospekcji zdarzeń. Najpierw zostałem

wynajęty, następnie było włamanie i kradzież, i wszystko, co potem nastąpiło. Nie widziałem najświeższych wiadomości, ponieważ na lotnisku w Lizbonie nie mogłem znaleźć angielskiej ani włoskiej gazety. Pomyślałem sobie, że poza Rzymem i Włochami opis całej sprawy nie będzie już tak obszerny i byłem pewien, że prasa zagraniczna mniej uwagi poświęci tajemniczemu intruzowi.

Przyjechałem do Fatimy około południa i zaparkowałem samochód niedaleko od centrum, gdzie pełno już było turystycznych autokarów. Centrum Fatimy, która okazała się większym miastem, niż myślałem, wydawało się jedną gigantyczną esplanadą prowadzącą do kościoła. Sama bazylika sprawiała wrażenie małej, ale wraz ze skrzydłami przypominała rzymską Bazylikę św. Piotra. Po obejrzeniu reklamy kanapek nieopodal miejsca, w którym zaparkowałem samochód, postanowiłem przyłączyć się do jednej z licznych grup zwiedzających. Zwiedzanie miało trwać około trzech godzin, razem z odpoczynkiem w herbaciarni.

Wyruszyliśmy, aby zwiedzić liczne sanktuaria i święte miejsca oraz wysłuchać historii o trójce dzieci. Teraz już dobrze znałem wydarzenia z 1917 roku i nawet dopowiadałem pewne szczegóły, gdy przewodnik czasami milknął. Gdyby to była wycieczka szkolna, to na pewno stroiłbym żarty z tego całego objaśniania. Grupa liczyła pewnie ze trzydzieści osób i pomimo barier językowych, zmuszających przewodnika do powtarzania niektórych rzeczy, świetnie spędziliśmy czas. Widzieliśmy domy trójki dzieci i zwiedzający robili zdjęcia miejsca, w którym ukazała się Matka Boska. Stałem i patrzyłem na pomnik, wzniesiony ku upamiętnieniu tych wydarzeń, gdy nagle ogarnęło mnie bardzo dziwne uczucie. Pamiętam, że myślałem, jakie to wszystko zdumiewające. Jako dziecko godzinami wysłuchiwałem historii o cudach oraz wizjach, które miały miejsce w dalekich krajach, i oto nagle sam się tu znalazłem, odbywając swoją własną pielgrzymkę do takiego miejsca. Uczucie to spotęgowało się, gdy weszliśmy na pole, na którym ukazała się dzieciom Matka Boska i gdzie dokonała cudu. Nasza przewodniczka zaczęła mówić o tajemnicy, którą Matka Boska wyjawiała dzieciom i o tym, że jedna z tych tajemnic nigdy nie została ujawniona. Przewodniczka powiedziała, że siostra Łucja, która potem przyjęła imię Marii Łucji, spisała tę tajemnicę i teraz jest ona w Watykanie, czekając na decyzję papieża co do ogłoszenia jej całemu światu. Przy słowie papież zająknęła się,

uświadomiwszy sobie, że papież Jan Paweł I właśnie zmarł. Powiedziała też, że być może następny papież ujawni „tajemnicę”. A ta właśnie tajemnica tkwiła w mojej kieszeni.

Przez całe popołudnie nie myślałem o tej kopercie, lecz kiedy sobie przypomniałem, na nowo ogarnęło mnie przerażenie. Czy byłem śledzony? Raczej dbano o mnie, niż śledzono. Dobrze że tu przyjechałem. Z rosnącą niecierpliwością czekałem teraz na spotkanie z siostrą Łucją. Chciałem rozwikłać tajemnicę związaną z listem i dowiedzieć się, czy informacja, jaką zawierał, rzeczywiście może spowodować upadek Kościoła katolickiego lub wyrządzić mu szkodę. Lecz zauważyłem, że ta historia zawładnęła mną. Czy dzieci faktycznie widziały Matkę Boską? Coś się tu wydarzyło tych ileś lat temu, ale czy to były objawienia? To miejsce napełniało mnie pewną dozą wiary.

Nienawidzę sposobu, w jaki w Ameryce podchodzi się do tych wszystkich UFO. Jakaś grupa istot pozaziemskich podróżuje przez wiele lat, aby się tu dostać i wybierają wyłącznie Amerykę, a nigdy Szkocję czy Tasmanię. No, ale znowu Szkocja ma swojego potwora z Loch Ness, a Tasmańczycy uważają, że mają jakiegoś tygrysa, który kiedyś tak naprawdę był psem. I może o to właśnie chodzi. Jankesi mają przybyszy z innych planet, Szkoci - potwora, a teraz Portugalczycy - Najświętszą Pannę. Czy to tylko rozdęty do maksimum chwyt turystyczny? Jednak w tej historii fatimskiej było coś, co wyglądało realnie. Otóż tu nie zbudowano na polu hotelu „Holiday Inn”, a sprzedawcy pamiątek nie byli nachalni. Pomału przekonywałem się do tej historii i bardziej chciałem wierzyć w słowa dzieci aniżeli w dobre intencje mężczyzn, którzy mnie wynajęli. Bez względu na to, jak wyglądała prawda, wydawało się, że dzieci nie odniosły z tego żadnych korzyści materialnych. Miejscowy ksiądz, wygłaszając kazanie, nie nazwał ich kłamcami, ale powiedział, że według niego to wszystko jest nieprawdziwe. Łucja prosiła innych, aby nikomu nie mówili, ale Hiacynta nie mogła wytrzymać i powiedziała mamie. Lokalna gazeta przytacza mnóstwo relacji naocznych świadków, a i nadal w Fatimie mieszka wiele osób, które dobrze pamiętają te wydarzenia. To się zdarzyło tylko sześćdziesiąt jeden lat przed moim przyjazdem tutaj, a więc większość starszych ludzi w mieście była wówczas nastolatkami. Z każdą minutą przebywania w tym miejscu nabierałem coraz większego przekonania do całej tej historii. Krajobraz bardzo przypominał mi Irlandię. Zielone pola, kamienne murki zastępujące ogrodzenia i zabawnie wyglądające domy, stojące od wieków pomimo braku solidnej konstrukcji.

Ktoś klepnął mnie po ramieniu, budząc z marzeń, więc dołączyłem do reszty i wróciliśmy autobusem do miasta. Przed wyjazdem z Fatimy postanowiłem kupić sobie jakąś trwałą pamiątkę z tego miejsca. Poszedłem do małego sklepiku, który w rzeczywistości był częścią domu. Znajdował się w centrum miasta. Sprzedawano tu drobiazgi nadające się na prezenty, artykuły papiernicze i upominki, w tym również dotyczące trójki dzieci. Kupiłem notatnik, wieczne pióro z wyrytym z boku wizerunkiem Matki Boskiej oraz pocztówkę z widokiem Fatimy, a oprócz tego jeszcze zdjęcie trójki dzieci i po jednym każdego z dzieciaków.

Fotografie miały być rzekomo zrobione podczas ukazania się im Matki Boskiej. Patrzyłem przez jakiś czas na te zdjęcia, zanim dałem je sprzedawcy do zapakowania. Teraz wiedziałem, że to nie żadne oszustwo. Te dzieci z całą pewnością widziały coś szczególnego. Zdjęć robionych dzieciom nigdy nie można tak upozować. Łucja miała wówczas dziesięć lat, a pozostałe mniej, Hiacynta tylko siedem. Nikt nie mógł żądać od niej, aby dokonała tak wielkiego oszustwa. Bezwzględne wymuszanie relacji, jakie zafundowali jej mieszkańcy rodzinnej wioski, zrujnowało ją psychicznie.

Najbardziej wyraziste było zdjęcie Franciszka. W jego oczach odbijała się dusza. Dziennikarze próbowali z nim różnych sztuczek, podobnie jak księża. Nawet własna rodzina mówiła do jednego z dzieci: „Och, przestań, już znamy prawdę”. Udawali, że jedno z dzieci przyznało się do kłamstwa. To częsta taktyka stosowana przez policję. Lecz dzieci się nie poddawały. Jeśli była to szarada, to największa w dziejach. A wygląd ich twarzy? Co one widziały?

Poszedłem z powrotem do samochodu, ale musiałem poczekać kilka minut, bo akurat turyści wsiadali do autokarów. Tysiące jednodniowych wycieczkowiczów opuszczały to miejsce, toteż panował pewien chaos. Dostrzegłem jakieś starsze małżeństwo, które znajdowało się w mojej grupie, i rozmawialiśmy przez chwilę. Podróżowali po całej Europie, odwiedzając sanktuaria religijne. Pomyślałem, że w ostatnim momencie próbują kupić sobie bilet do nieba. To było nieładne z mojej strony, bo przecież nic nie wiedziałem o ich życiu. Ten mężczyzna spytał mnie, czy byłem na wojnie, a ja, w swojej ignorancji zapytałem: „Jakiej wojnie?”. Żona tego pana zaczęła płakać. Okazało się, że stracili syna w Wietnamie. Był mniej więcej w moim wieku. Sądził, że



jestem Amerykaninem. Nigdy nie udało im się pożegnać z synem i chyba nie umieli się z tym pogodzić. To nie byli turyści. Poszukiwali odpowiedzi.

## Rozdział XVI

Coimbra była miastem dość znacznej wielkości, składającym się z dużej liczby wąskich dróg pozbawionych jakichkolwiek znaków. Hotel wyglądał w miarę nowocześnie, a ja marzyłem o pokoju. Czułem się zmęczony po długim dniu i jeździe samochodem, która nie była łatwa, gdyż stan techniczny auta z wypożyczalni pozostawiał wiele do życzenia. Podobała mi się prostota życia tej prowincji. Wieśniacy na dłużej wstrzymali ruch, bo ich owce akurat rozbiegły się po drodze. Kilkakrotnie musiałem czekać, gdyż kilku facetów ręcznie naprawiało dziurawą nawierzchnię drogi. Na przedmieściach Fatimy widziałem dwóch ludzi, którzy mieszali smołę w miseczkach, w jakich rano jemy owsiankę, a następnie czerpali tę smołę czymś, co wyglądało jak wielka drewniana łyżka. Kiedy skończyli, machnęli na mnie ręką, abym przejechał, a ja nie mogłem pozbyć się myśli, że prawdopodobnie całe swoje życie naprawiają wciąż ten sam pas drogi.

W nocy świetnie spałem. Śniły mi się objawienia i zastanawiałem się, czy da się sfabrykować takie wydarzenie. Jeśli tak, to można było zarobić na tym miliony. Gdyby mi to tylko przyszło do głowy przed moim przekrętem z wynajmowaniem telewizorów. Lecz trzeba wiedzieć, że Irlandia też ma niezły udział w katalogu objawień. Południowo-wschodnia część mojej ojczyzny to kraina grot. Co kilka mil wzdłuż drogi jest tam jakieś sanktuarium poświęcone jakiemuś wielkiemu wydarzeniu. Byłem zrelaksowany i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przychodziły mi do głowy zabawne rzeczy. A może mógłbym wrócić do Dublina i wykorzystując wszystkie nabyte umiejętności, pokierować jakimś gangiem?

Nadszedł wielki dzień. Wreszcie spotkam siostrę Marię Łucję. O wpół do siódmej zjadłem śniadanie i wyruszyłem do Tuy. Jechało się doskonale, a po drodze było kilka doprawdy wspaniałych widoków. Jadąc do Porto, kilkakrotnie widziałem Atlantyk oraz więcej robotników z dużymi miskami na owsiankę. Zatrzymałem się na kilka minut, aby rozprostować nogi, i uderzyło mnie piękno tego miejsca. Obiecałem sobie, że wrócę tu pewnego dnia. Kiedy tak patrzyłem na zachwycający ocean, pomyślałem o Marii. Ona kochała morze. Kiedyś powiedziała mi, że jej wymarzony dom to chatka na plaży, z dala

od całego świata. Ciągle czułem się nieswojo na wspomnienie naszej ostatniej rozmowy. Nie rozumiałem, dlaczego była tak zdenerwowana, kiedy zadzwoniłem. Pomyślałem, że zatelefonuję do niej po spotkaniu się z Marią Łucją. Nawet posunąłem się w swoich postanowieniach tak daleko, że sam siebie przekonałem, iż opowiem jej tę całą plugawą historię. Pojechałem do Bragi, a wreszcie do Tuy.

Przejechałem przez wyglądający na starożytny most przez rzekę Mino, która stanowiła równocześnie granicę oraz prowadziła do centrum miasta. A miasto wyglądało jak z obrazka, z bajecznymi kamiennymi budynkami i kościołami wyglądającymi na kilkusetletnie. Było wczesne popołudnie - pora, w której umówiłem się z siostrą Marią Łucją na spotkanie. Co prawda jazda samochodem zmęczyła mnie, ale byłem gotów iść prosto do klasztoru. Zatrzymałem się na stacji benzynowej w celu zatankowania i w nadziei skorzystania z łazienki - chciałem się umyć. Spytałem garażowego, czy wie, gdzie jest klasztor Sióstr Dorotanek, ale on wzruszył ramionami i powiedział: „Nie widzieć”. Nie zrozumiał mnie. Podstawowe wskazówki otrzymałem przez telefon w dniu, w którym umówiłem się z siostrą, a więc postępowałem zgodnie z nimi.

Miasto wypełniały kościoły i budynki wyglądające na klasztory. Zaparkowałem samochód przed jednym z takich domów, który okazał się szkołą, a potem przed innym, który był szpitalem czy też domem starców. Zjechałem z głównej drogi i zupełnie przypadkowo znalazłem klasztor przy pierwszej ulicy, w którą skręciłem. Stał niedaleko od skrzyżowania. Na drzwiach wejściowych wisiała niewielka tabliczka z wytartym napisem. Nagle poczułem skurcz w żołądku i na chwilę usiadłem w samochodzie, aby się pozbierać. Po raz ostatni uważnie przyglądałem się rzeczy, którą miałem oddać. Potem spojrzałem w tylne lusterko w samochodzie, aby sprawdzić, jak wyglądam. Podeszedłem do wejścia i zastukałem do wielkich, drewnianych drzwi. Najpierw nie było żadnej odpowiedzi, więc zastukałem znowu, tym razem oglądając się do tyłu i patrząc wzdłuż drogi. Nie było żadnych samochodów, żadnych ludzi, nikt mnie nie śledził. Aż do tej chwili zapomniałem o ewentualności, że mogłem być śledzony.

Nagle małe okienko pośrodku drzwi otworzyło się. Nic nie widziałem, ale usłyszałem głos:

- Czym mogę panu służyć?

Ciągle próbowałem dojrzeć coś przez małe okienko, które się otworzyło, ale po drugiej stronie we wnętrzu było zbyt ciemno. Powiedziałem tej osobie, że przyszedłem zobaczyć się z siostrą Łucją. Szybko poprawiłem się i powiedziałem, że chodzi o siostrę Marię Łucję.

- Proszę chwilę poczekać.

Nie musiałem czekać długo na otwarcie drzwi. Stała przede mną maleńka pani w średnim wieku. Nie była ubrana tak jak zakonnice.

- Proszę, niech pan idzie ze mną. Zaprowadziła mnie do pomieszczenia, które, jak sądziłem, było poczekalnią.

- Proszę poczekać, senior.

Ten pokój o wąskich drzwiach i suficie co najmniej sześć stóp nad moją głową od razu wydał mi się nieprzytulny. Miał wszystkie cechy celi więziennej i niemal oczekiwałem, że drzwi zatrzasną się za mną z chwilą wyjścia mojego hiszpańskiego zwycięzcy. Lecz ta kobieta zamknęła je bardzo delikatnie.

Ściany były gołe. Wisiał tam tylko kamienny krucyfik, a nikielne światło wpadało przez dwa maleńkie okienka. Usiadłem na jedynym krześle, jakie znajdowało się w tym pokoju, i otarłem czoło rękawem marynarki. Dzień nie był ciepły, ale mnie było gorąco i zacząłem się pocić. Z żadnego z sąsiednich pokoi ani z dziedzińca, na który, jak sądziłem, wychodziły te dwa okienka, będące właściwie tylko jakby przecięciami w murze, nie dobiegał mnie żaden dźwięk. Ta cisza tylko wzmogła mój niepokój. Sądzę, że spodziewałem się usłyszeć śpiew albo dzieci bawiące się gdzieś wewnątrz budynku.

Kiedy byłem w klasztorze w Belfaście, słyszałem wiele rozmaitych dźwięków. Dzieci odbywały próbę chóru, a zakonnice prowadziły lekcję angielskiego dla dzieci licznych w tej okolicy samotnych matek.

Zdjąłem marynarkę i postanowiłem się odprężyć. Pomimo czasu, jaki miałem, nie zdecydowałem, co powinienem powiedzieć o liście oraz o tym, w jaki sposób trafił on do moich rąk. Spojrzałem w dół, na podłogę. Była drewniana, ale tak wyfroterowana, że niemal mogłem się w niej przejrzeć. Tylko czyste poświęcenie albo wielka kara mogły spowodować osiągnięcie takiego efektu. Spojrzawszy w górę, zobaczyłem małą świeczkę ustawioną w miniaturowej grocie, która wydawała się wykuta w murze ściany. Zdaje się,

że wieczorem było to jedyne źródło światła w tym maleńkim pokoiku. Czy jeszcze tu będę, gdy ją zapalą? Ta myśl przemknęła mi przez głowę więcej niż raz.

Ze wszystkich miejsc na ziemi trafić do więzienia właśnie tu! W kraju, który nadał zupełnie nowe znaczenie pojęciu bólu. Hiszpanie pozostawili wszystkim przestępcom świetne przesłanie - nie dać się złapać. Co prawda nic nie wiedziałem o hiszpańskiej inkwizycji. Jedyne, o czym słyszałem, to że chrześcijanie w Hiszpanii nie lubili Żydów.

Byłem w tym pokoju tylko przez dziesięć minut, ale wydawało mi się, że przez pół godziny. Próbowałem usilnie wymyślić jakąś historię na temat tego, w jaki sposób wszedłem w posiadanie listu. Jasne, że mogłem coś wykombinować. Lecz to była zakonnica i nie powinienem jej okłamywać. Może powiem po prostu, że przyjaciel dał mi ten list, a ja tylko wyświadczam mu przysługę. Boże, to brzmiało słabo. Potem pomyślałem, aby powiedzieć, że jestem sprzątaczem w Watykanie i go znalazłem. Nie miałem już możliwości kontynuowania tej śmiesznej konwersacji sam ze sobą, gdyż ta pani wróciła do pokoju.

- Senior, proszę za mną.

Nic nie powiedziałem. Wziąłem marynarkę i poszedłem za nią. Przeszedłem do części recepcyjnej, którą widziałem tylko przez chwilę, po moim przyjściu. Kiedy teraz się tu znalazłem, mój wzrok powędrował ku sklepieniu, wspierającym się na masywnych pilastrach. Bez wątpienia miały dać każdemu gościowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa, zanim zostanie on zaprowadzony do dusznych pomieszczeń poczekalni. Zeszliśmy do wspaniałego foyer, prowadzącego do drewnianych schodów. I tu znowu ściany były puste, z wyjątkiem czasem niewielkiej grotty, starannie wykutej w ścianie w celu utworzenia małego ołtarzyka ze świeczką. Nie było żadnych rzeźb, obrazów ani żadnych gablot. Zeszliśmy jedną z klatek schodowych i znaleźliśmy się co najmniej dwa piętra poniżej poziomu poczekalni. Doszliśmy do długiego, ciemnego korytarza, od którego odchodziły liczne małe pokoje przypominające cele więzienne w średniowiecznym zamku. Zaprowadzono mnie na koniec tego korytarza i pozostawiono samego. Miałem czekać przed jednym z tych pokoi. I tyle.

Powietrze było bardzo chłodne, a wszystko tonęło w ciszy. Włożyłem marynarkę. Stałem przez chwilę wyprostowany, a potem znowu oparłem się o ścianę. Jak, na Boga, ktoś taki jak ja mógł znaleźć się w takiej sytuacji? To było fantastyczne. Wszystko było

fantastyczne. Szkoda, że nie ma tu moich kumpli. Boże, chciałbym zobaczyć ich miny, kiedy porównywalibyśmy popełnione przez nas przestępstwa. Jedyne cud, jaki się wydarzył, to ten, że nikomu tego nie opowiedziałem. Gdyby to wszystko działo się w Dublinie, to wszyscy by wiedzieli. O mało nie pękłem - tak rozpierała mnie duma z moich dokonań. Lecz tu sprawy przedstawiały się inaczej. Nie przygotowałem się tak, jak należy. Czy siostra Łucja zna angielski albo włoski? Próbowałem rozmawiać z tą panią, która mnie wpuściła, ale zignorowała mnie lub też nie zrozumiała. Nie pomyślałem o barierze językowej. Przez telefon siostra Łucja mówiła po angielsku z bardzo silnym akcentem. Pomyślałem o młodej Łucji i jej dzieciństwie poświęconym modlitwie. Samotność i odseparowanie od innych dzieci prawdopodobnie ocaliło jej życie. Byłem ciekaw, jak wyglądałoby życie Franciszka i Hiacynty, gdyby nie zmarli tak młodo. Hiacynta wyglądała tak niewinnie. Podobno była pod absolutnym wrażeniem urody Matki Boskiej, a mnie ogarniał smutek na myśl o tym, jak umierała samiuteńka w lizbońskim szpitalu. Pod koniec musiała być tragicznie samotna, nie mając nikogo z rodziny bądź przyjaciół u swojego łóżka. Wystarczy spojrzeć na zdjęcie dziewczynki, wyraz jej twarzy doprawdy mnie wzruszył. Po przeczytaniu historii Hiacynty Marto stałem się bardziej wierzący.

Znowu powróciły myśli o liście i o tym, co powiem, gdy otworzą się drzwi za moimi plecami. Nie opierałem się już o ścianę, ale stałem wyprostowany. Drzwi otworzyły się i przede mną stanęła starsza niska pani ubrana w tradycyjne suknie zakonne. Ze słowami: „Witam, senior” przeszła w głąb pokoju, dając mi znak ręką, bym poszedł za nią.

## Rozdział XVII

Ta pani usiadła przy małym stoliku, po którego obu stronach znajdowały się małe, jednoosobowe ławeczki. Wciąż rozglądałem się dookoła, ale ona dała mi znak ręką, abym usiadł. Musiałem odsunąć nieco stolik, żeby precyzyjnie się do miejsca, jednak przez cały czas rozglądałem się po pokoju. Na wąskiej półce za niewielkim łóżkiem zauważyłem fotografię w ładnej, drewnianej ramce, na której rogu wisiał różaniec. Zauważyła, że patrzę na zdjęcie i właściwie w tym momencie zaczęło się nasze spotkanie. Uśmiechnęła się do mnie i zaczęła mówić o dwóch osobach widniejących na tej biało-czarnej fotografii.

- Piękne dzieci - powiedziała, odwracając się, aby spojrzeć na zdjęcie. - Szkoda, że Hiacynta nie była moją siostrą. Tak ją kochałam. Nigdy już nie widziałam bardziej kochanej osoby. - Mówiła łamaną, ale zrozumiałą angielszczyzną. - Franciszek był taki spokojny... tyle spokoju w oczach, a jego matka i ojciec tacy dumni z niego. Zawsze tak dumni z niego. Przeprasza... przeprasza...! - wykrzyknęła. - Jestem siostra Maria Łucja.

Przerwałem jej, zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze i przeprosiłem za to, że od razu się nie przedstawiłem, a ona odparła: - Wiem, proszę pana, wiem. - Ponownie przeprosiłem i powiedziałem, że byłem zdenerwowany.

- Tu jesteś bezpieczny, nie miej lęku - uspokajała mnie.

Powiedziałem, że czytałem o Hiacyncie i Franciszku i że również mam kilka zdjęć, na których jest także ona. Zdaje się, że te słowa wprawiły ją w zakłopotanie. Byłem zadowolony, że pierwszy etap naszej rozmowy był taką pogawędką, bo to pozwoliło mi się odprężyć. Byłem zdumiony jej znajomością angielskiego, aczkolwiek do swoich wypowiedzi musiałem wplatać nieco włoskiego i gestykulować.

Powiedziałem, że przyjechałem z Fatimy i że odwiedziłem dom, w którym się urodziła. Spytała, czy dużo ludzi przejeżdża przez to małe miasto. Odpowiedziałem, że było ich tyle, iż nie mogłem znaleźć miejsca do zaparkowania. Wyglądała na dumną z tego, co usłyszała. Mówiłem nadal, starając się trzymać neutralnych tematów, kiedy ona nagle spytała wprost:

- Przyjechał pan, aby mi coś dać? Przez telefon mówił pan coś o pakieczku z pieczęcią po drugiej stronie. Czy mieć pan ten pakieczek ze sobą? - Powiedziała to, a w jej głosie brzmiało ogromne wyczekiwanie. - Ma pan go tu dla mnie?

Włożyłem rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem skórzane etui. Przedtem znajdował się tam mój paszport oraz dokumenty bankowe. Ostrożnie wyjąłem kopertę i wręczyłem ją siostrze Łucji. Nie wzięła jej od razu. Chciała się jej przyjrzeć. Potem wyciągnęła rękę i przesunęła palcem wzdłuż brzegu koperty. Następnie drugą ręką ostrożnie wzięła kopertę i delikatnie położyła na stole, pieczęcią do góry.

- Ja piszę ten list tutaj, ten pokój, ten stół - zamilkła na chwilę. - To tak ciężko pisać, a ja taka przestraszona. - Wyprostowała się, siedząc, jakby przygotowywała się do opowiadania historii. - List musi być czytany dawno temu, ale to się nie udać - uśmiechnęła się słabo. - Mówiono mi, że jeden papież przeczytał ten list, ale nie wypowiedział się na jego temat. Bałam się z powodu tej przepowiedni, ale Matka Boska dała mi siłę, abym je napisała. Ona bardzo się martwi, że świat nie usłyszy to przesłanie - mówiła Łucja. Wyglądała na rozczarowaną swymi słowami na temat tego, co powinno się było wydarzyć.

Podслуchałem, jak papież Jan Paweł I mówił, iż ma zamiar ogłosić słowa tego naocznego świadka fatimskich wydarzeń, więc mogę jedynie przypuszczać, że zrobiłby to, gdyby żył. Dotrzymałem swojego postanowienia, aby nie rozmawiać z siostrą Łucją na temat śmierci papieża, ponieważ tak bardzo wiązało się to z moją wizytą tutaj, w klasztorze siostry Łucji.

Zacząłem mówić:

- Sostro... ja.

- Proszę, proszę pana - rzekła - nie trzeba nic mówić w związku ze zwrotem tego. - Wzięła kopertę i otworzyła ją, ale bardzo powoli. Dotknęła znajdującej się wewnątrz kartki, ale nie wyjęła jej z koperty. - Dziękuję, że pan mi to przyniósł, teraz jestem zmęczona i muszę odpocząć, jeśli pan pozwoli.

Poczułem przygnębienie. Czy oczekiwałem, że wyjawি mi tę wielką tajemnicę? Dostrzegła, że jestem nieco zawiedziony.



- Widzę, że pan chce coś powiedzieć. - Złożyła ręce, jak do modlitwy i wsparła podbródek na palcach. Potem zaczęła mówić miękkim, uspokajającym tonem. - Wie pan, Najświętsza Panna dała mi nie mówić tajemnicy, tylko dać ją Ojcu Świętemu Kościoła. - Odjęła ręce od twarzy i wzięła srebrny krzyż, wiszący na końcu różańca przytroczonego do jej zakonnej sukni. Mówiła dalej, patrząc na krzyż, który teraz spoczywał w jej dłoni. - Ja mówię ludziom, że ta tajemnica jest w Biblii. Pan musi mieć wiarę.

Czytałem o tajemnicy przekazanej przez Najświętszą Marię Pannę w broszurze, którą dostałem, zwiedzając Fatimę. Pierwsza część była to przerażająca „wizja piekła”, dokąd trafiają dusze grzeszników i zanoszą pilne prośby Najświętszej Marii Panny o modlitwę i poświęcenie w celu ocalenia dusz. Druga część przepowiadała wybuch drugiej wojny światowej i zawierała uroczystą prośbę Matki Boskiej o poświęcenie jej Rosji - od tego miał zależeć pokój na ziemi. Prorokowała też niezłomny triumf niepokalanego serca Maryi. Wyczułem, że siostra Łucja chce już wstać i że nasze spotkanie dobiega końca, ale ona jeszcze mnie zaskoczyła. - Dziękuję panu jeszcze raz, teraz chciałabym panu coś dać. - Wstała i podeszła do małej półeczki, na której stało zdjęcie Hiacynty i Franciszka Marto. Wzięła różaniec, zwisający z ramki fotografii i wręczyła mi go. - To należy do Hiacynty, mam to całe życie. Teraz chcę, żeby pan się tym opiekował. - Kiedy dawała mi różaniec, czułem, jak przepelniający mnie smutek sprawiał mi niemal fizyczny ból. Popatrzyłem na Łucję, która całe swoje życie poświęciła Bogu. Czy któregoś dnia ta kobieta będzie świętą? Ja na nic nie zasługiwałem. Byłem po prostu zwykłym złodziejaszkiem. Bóg wybrał te dzieci ze względu na ich czystość i niewinność. Wyciągnęła rękę i różaniec delikatnie wślizgnął się w moją dłoń.

Siostra Łucja skierowała się ku drzwiom, otworzyła je, wyszła na korytarz i poszła w kierunku schodów. Przy podeście zrównałem się z nią. Jednak ona pozostała na tym piętrze, a kobieta, która przyprowadziła mnie tu, już schodziła ze schodów, aby mnie wyprowadzić. Siostra Łucja wyciągnęła ręce, aby uścisnąć mi dłoń i ujęła ją w swoje dłonie. Nic nie mówiła, ale i nie patrzyła na mnie. Wszedłem po schodach i skierowałem się z powrotem do głównego hallu. Nagle ogarnęła mnie ogromna chęć zawrócenia, a wszystko dlatego, że siostra Łucja nie zapytała mnie, w jaki sposób list trafił do moich rąk, ani też nie sprawdziła jego treści. Byłem już przy głównych drzwiach. Odwróciłem się w złudnej nadziei, że podeszła do schodów, ale nie. W budynku nadal panowała

idealna cisza. Brama wejściowa otworzyła się i wyszedłem. Znalazłem się pod niskim daszkiem, który przykrywał werandę. Odwróciłem się, ale brama już się za mną zamknęła. Zanim wróciłem do samochodu, wahałem się przez chwilę, mając wciąż nadzieję, że zostanę zawołany z powrotem.

Jechałem tu taki szmat drogi, a spotkanie było takie krótkie i nie dowiedziałem się niczego. Nadal nie wiedziałem, kto mnie wynajął, ani też jakie znaczenie przedstawiał ten list dla tych ludzi oraz dla Watykanu. Czuję się bardziej nieswojo, nie rozumiejąc wielkiej tajemnicy fatimskiej, niż martwiąc się o to, czy to Gelli, czy też ktokolwiek inny mnie śledzi.

## Rozdział XVIII

Samochód zostawiłem zaparkowany przed klasztorem i poszedłem do kawiarni za rogiem. Można tam było usiąść przy stoliku na zewnątrz. Pomyślałem sobie, że gdyby ktoś z klasztoru mnie potrzebował, to mogli dostrzec moje auto i wiedzieliby, że wrócę. Usiadłem i zamówiłem miejscowe danie z kurczaka oraz szklankę piwa. Byłem dość głodny, ale przede wszystkim spragniony. Robiło się późno, więc postanowiłem znaleźć jakiś pokój, aby przenocować, wciąż spodziewając się, że siostra Łucja może chcieć mnie o coś spytać. Skończyłem jeść i przeszedłem przez ulicę do hotelu. Wyglądał na zaciszny. Zarezerwowałem pokój i okazało się, że mogę zaparkować samochód na tyłach hotelu. Wziąłem prysznic i spędziłem wieczór, leżąc na łóżku i oglądając zwariowane show w telewizji oraz opróżniając minibarek. Długo nie mogłem zasnąć, ale ostatnia mała szkocka pomogła mi.

Rano zjadłem śniadanie w hotelu i sprawdziłem, czy nikt mnie nie poszukiwał. Wziąłem tych kilka rzeczy, które miałem ze sobą, do samochodu i poszedłem zapłacić rachunek. Ponieważ nikogo nie było za kontuarem recepcji, zadzwoniłem i czekałem. Na ścianach recepcji i hallu wisiały oprawione w ramki zdjęcia Tuy, które było bardzo pięknym miastem. Na jednej ze ścian widniało kilka oryginalnych obrazów przedstawiających okolice- te widoki były na sprzedaż. Z boku kontuaru recepcji wisiało duże zdjęcie klasztoru, w którym byłem poprzedniego dnia. Widać było na nim pozującą do zdjęcia sporą grupę miejscowych uczniów wraz z kilkoma zakonnicami z zakonu sióstr dorotanek. Przyjrzałem się uważniej, by zobaczyć, czy rozpoznam siostrę Łucję, ale pamiętałem, że tak naprawdę to od około trzydziestu lat mieszka ona w Coimbrze. Przypuszczałem, że musi co roku wyjeżdżać ze swojego klasztoru, aby nie dopuścić do ewentualnego chaosu, jaki mogliby spowodować pielgrzymi chcący zobaczyć ją w dniu rocznicy objawienia, czyli 13 października.

Znów nacisnąłem dzwonek, i to kilkakrotnie, aby wywołać pracownika, który dałby mi rachunek. Z tyłu recepcji zza szklanych drzwi wyszła młoda dziewczyna i podeszła do kontuaru. Przeprosiła, że musiałem czekać, i szybko przygotowała rachunek.

Wciąż patrzyłem na zdjęcie klasztoru, gdy dziewczyna powiedziała: - Będzie nam ich brakowało.

- Przepraszam, kogo będzie wam brakowało?

- Sióstr, będziemy za nimi tęsknić.

Spytałem, co ma na myśli, dlaczego będzie za nimi tęsknić.

- Zakon się wyprowadził i budynek jest teraz pusty, to smutne.

Z bijącym sercem wypadłem z hallu, przebiegłem przez jezdnię i pobiegłem w kierunku ulicy, przy której mieścił się klasztor. Wypadłem zza rogu, przeciąłem ulicę, pobiegłem w górę, do bramy klasztornej i zacząłem walić w drzwi. Stukałem i waliłem - i' nic. Nikt mi nie otworzył. Przed budynkiem jakiś stary człowiek podlewał kilka krzewów. Podbiegłem do niego i spytałem, gdzie są siostry? Nie zrozumiał. Pobiegłem dookoła, do boku budynku, ale był to goły mur, a na górze widniały tylko małe prześwity, zastępujące okna. Pobiegłem z powrotem, a później do następnego boku, ale nikt mi nie otworzył żadnych drzwi. Nie można się było w żaden sposób dostać na tyły budynku, ponieważ był on otoczony wysokim kamiennym murem w kształcie półkola.

Brakowało mi tchu i kręciło mi się w głowie. Znów podbiegłem do bramy i waliłem w ciężkie, drewniane drzwi, choć wiedziałem, że nikt ich nie otworzy. W tej samej sekundzie, w której dziewczyna w hotelu mi powiedziała, wiedziałem, co się stało. Sam aranżowałem takie sytuacje. Usiadłem na stopniach przy wejściu, oparłem głowę na rękach i dziękowałem Bogu, że nie wpadłem w tę pułapkę.

Przygotowując fałszywkę, posłużyłem się papierem z notatnika i wiecznym piórem, które kupiłem w Fatimie. Na spotkanie w klasztorze wziąłem autentyczny list, ale do koperty włożyłem ten napisany przez siebie. I tylko autor wiedziałby, że ten mój jest podrobiony. Kobieta, z którą się spotkałem, tak naprawdę nie spojrzała na pismo, tylko na kartkę. Nie mogłem mieć stuprocentowej pewności, że spotkam się z właściwą osobą. Miałem nadzieję, że siostra powie, iż list jest podrobiony, a ja zareagowałbym na to, wyjmując oryginał. Siostra jednak nic nie powiedziała, więc wciąż nie byłem przekonany o jej autentyczności. Tekst na kartce, w języku portugalskim, przepisałem z turystycznego folderu, który znalazłem w moim pokoju hotelowym w Coimbrze. Chciałbym widzieć wyraz twarzy Gellego, jak dostanie ten list przetłumaczony.

Przesiedziałem na progu klasztoru z godzinę, zanim się ruszyłem. Budynek rzeczywiście był pusty. Podniosłem się i poszedłem napić się kawy do tej samej kawiarni, w której byłem poprzedniego dnia. Próbowałem nawiązać rozmowę z dziewczyną podającą mi kawę, ale ona zupełnie nie знаła angielskiego, a włoski znała tylko trochę. Napój wystygł, gdyż mieszałem go z tysiąc razy. Kelnerka podeszła do mnie, by spytać, czy życzę sobie jeszcze czegoś, ale zobaczyła, że nie tknąłem kawy, więc dała mi spokój.

Zapłaciłem i wyszedłem na wyłożony terakotowymi płytkami chodnik. To była ładna ulica z mnóstwem zieleni i wypielęgnowanymi trawnikami. Tych kilku ludzi, których widziałem, nigdzie się nie spieszyło. Minął mnie samochód z prędkością dziesięciu mil na godzinę i nawet pies niespiesznie szedł główną ulicą. Nie musiałem szybko opuszczać Tui. Nie miałem ani żadnych planów, ani pomysłu, dokąd jechać.

Mój samochód wciąż stał zaparkowany na tyłach hotelu, więc spokojnym krokiem przeszedłem przez ulicę i wróciłem do recepcji. Nie było tam gości ani nikogo za ladą. Zatrzymałem się, aby znów przyjrzeć się fotografii. W prawym dolnym rogu widniała data: październik 1959 rok. Niektóre z dzieci miały na sobie komunijne ubranka. Widać było część rodziców, stłoczonych z boku. Dzieci się uśmiechały, a mnie przypomniawszy dzień mojej pierwszej komunii w kościele św. Małgorzaty. W Irlandii pierwsza komunia jest wielkim wydarzeniem, trochę jak ślub - schodzą się wszyscy krewni. Kończy ten dzień wielkie przyjęcie, a ja czułem się ważny w swoich nowiusieńkich, długich spodniach. Patrząc na twarze rodziców na fotografii, dostrzegłem twarz, którą rozpoznałem. To był Gelli. Wyglądał o wiele młodziej, ale to był on. Spoglądał dumnym wzrokiem na dzieci. Stał za wysoką panią, a jego lewa ręka spoczywała na jej ramieniu, co wyglądało, jakby wspierał się na palce, żeby lepiej widzieć. Dzieci ustawione były w szeregach i wydawało się, że Gelli przechylił lekko głowę na jedną stronę, aby widzieć dziecko stojące obok drugiego rzędu. Przebiegłem wzrokiem ten rząd i wkrótce znalazłem jeszcze jedną znajomą twarz. Była trudniejsza do rozpoznania, ponieważ wówczas należała do dziecka, a dziś do kobiety. Wcześniej jej nie zauważyłem, bo tak naprawdę nie patrzyłem na twarze dzieci. Ta dziewczynka na zdjęciu mogła mieć dwanaście lub trzynaście lat, ale jej rysy się nie zmieniły. To była Oliwia.

Byłem przerażony i bardzo zdenerwowany. Nie wiedziałem, jakie relacje łączyły tych dwoje. Wiedziałem tylko tyle, że mała słodka dziewczynka na zdjęciu pracowała jako

recepjonistka w nowojorskiej firmie. Patrzyłem na nią i starałem się pogodzić się z faktem, że przez tak długi czas byłem wprowadzany w błąd. Nie wiem, jak to robili, ale udawało im się to znakomicie.

Kiedy tak stałem, z oszołomienia wytrąciła mnie sprzątaczką, która przysłała ustawić świeże kwiaty na małym stoliku w hallu. Doznałem szoku najgorszego z możliwych. Oto rozpoznałem na zdjęciu wśród tych dziecinnych buzi jeszcze jedną osobę. Po lewej ręce Oliwii, z twarzą częściowo ukrytą, stała mała i niewinnie wyglądająca Maria Del Vecio.

Pojawiła się recepcjonistka, toteż przeprosiłem za swój wcześniejszy wyjazd i szybko uregulowałem rachunek. Wolno poszedłem na tył hotelu do mojego wynajętego samochodu. Zatrzymałem się, aby wyobrazić sobie scenę sprzed lat, która rozegrała się niemal po przeciwnej stronie tej ulicy. Grupa małych dzieci przystępująca do pierwszej komunii czy też bierzmowania. Oliwią i Maria wyglądające bardzo pięknie w swoich najlepszych sukienkach i uśmiechające się do obiektu aparatu fotograficznego.

Jedyne, co mi pozostało zrobić, to zwrócić oryginał listu prawdziwej siostrze Łucji. Wsiadłem do samochodu i pojechałem z powrotem do Coimbrzy. Pomimo tego, że zostałem oszukany przez Marię, która, byłem tego pewien, odgrywała jakąś rolę, nie miałem do niej żalu. Jednak byłem zadowolony, że mój spryt i instynkt nie pozwoliły, aby kompletnie zawróciła mi w głowie. Jeśli przez cały ten czas nie lubiła mnie, to byłem pewien, że teraz mnie nienawidzi.

Cała ta historia bardzo się zagmatwała, ale gdy jechałem, to nieustannie przypominałem sobie, że ukradłem ten list i że papież został zamordowany, najprawdopodobniej przez któregoś z ludzi Gellego. Być może papież chciał położyć kres korupcji, a to w jakiś sposób dotknęłoby firmę. Dowiadując się o grupie masonów, na której czele stał Gelli, dowiedziałem się też, że niektórym księżom z Watykanu zarzucano przynależność do loży P2. Nie mogłem tego pojąć, bo przecież Watykan zabraniał księżom należeć do masonerii. Czytałem, że każdemu księdzu groziła za to ekskomunika. Jak ktoś może być równocześnie księdzem i masonem? Jeśli rzeczywiście na terenie Stolicy Apostolskiej brała górę masoneria i inne ugrupowania, to bardzo trudno będzie je stamtąd wykorzeńić. Kościół i tak ma dość problemów z różnymi istniejącymi odłhami. Wybór papieża to proces, podczas którego szuka się poparcia wśród

rozmaitych grup. Nie ulega wątpliwości, że beneficjent czyni wiele obietnic w celu pozyskania głosów niezbędnych dla zdobycia tego najwyższego stanowiska. Następnie ewentualny zwycięzca połowę swoich rządów spędzi na wycofywaniu się z tych przyrzeczeń. W tej rzymskiej enklawie nawet dzielenie się informacją stanowi administracyjny koszmar. Wiele ze świętych dokumentów, jakie są przechowywane w Watykanie, podzielonych jest na sekcje i każde z ugrupowań ma dostęp tylko do pewnej części całości. Ma to utrzymać harmonię między tymi ugrupowaniami, ale nie jestem pewien, czy tak jest.

Większość tego, co wiem o Watykanie, wiem od Marii. Nie miałem pojęcia, po co zawracała sobie głowę, robiąc mi wykłady o polityce, kiedy zwiedzaliśmy Watykan. Niemalże było mi jej żal. Powtarzałem sobie, że każdy ma swoją cenę, ja także. Gelli musiał być przekonany, że tajemnica, którą powierzyła Najświętsza Maria Panna, na prywatnej aukcji osiągnie miliony. Zacząłem się śmiać na myśl o tym, jak zszokowany, a raczej jak wściekły będzie Gelli, gdy pozna prawdę o cennej kopercie i jej sfalszowanej zawartości.

Teraz to już drugi raz, jak udało mi się zalać Gellemu sadła za skórę. Wciąż jeszcze miałem dokumenty, które ukradłem w Tottenham, w Londynie. Nadal leżały one sobie bezpiecznie w skrytce bankowej, a zawierały dostatecznie dużo informacji, żeby zaszachować Gellego. Byłem zadowolony, że je zatrzymałem. Oczywiście narażałem się na niebezpieczeństwo, lecz równocześnie mogły one stanowić kartę przetargową.

Droga powrotna do Coimbrzy wydała mi się o wiele krótsza niż przedtem. Miasto leży po obu stronach rzeki Mondego. Znak na przedmieściach informował, że liczy ono 90 000 mieszkańców. Wąskie ulice rozdzielały domy, które były starannie zbudowane tuż obok siebie. Najsłynniejszy budynek w Coimbrze to uniwersytet, a jego dzwonnice widać z wielu różnych punktów miasta. Udało mi się dostać pokój w tym samym hotelu co kilka dni temu i byłem zachwycony, mogąc wziąć gorący prysznic i odpocząć. Jeszcze raz spojrzałem na list siostry Łucji i żałowałem, że nie mogłem go przeczytać. Przyszło mi do głowy, aby zawołać kogoś z obsługi hotelowej i po prostu poprosić o przetłumaczenie tekstu. Jednak pomyślałem, że może on zawierać jakieś diaboliczne informacje. Włożyłem te dwie kartki do jednej z kupionych przeze mnie książek. Papier był delikatny i nie chciałem, by się zniszczył. Wsunąłem książkę pod szafę w moim pokoju i byłem gotów do wyjścia.

Był wczesny wieczór, a liczne restauracje i bary wypełniały rzesze turystów. Znalazłem miejsce w barze nieopodal mojego hotelu i zamówiłem piwo oraz proste danie *nabada a moda de Coimbra*, składające się z rzepy, kukurydzianego chleba i czosnku. (Nie wiedziałem o tym, zamawiając to danie). Usłyszałem, jak jakaś grupa ludzi mówi o wspaniale spędzonym dniu w Fatimie. Opowiadali sobie historie objawień, przy czym każdy przedstawiał własny opis wydarzenia. Spotkałem młode małżeństwo, posilające się przy barze, które również spędziło dzień na zwiedzaniu Fatimy. Nie byli katolikami, ale chcieli dowiedzieć się o objawieniach w 1917 roku. Przysiadłem się do nich na chwilę i zdumiało ich, jak wiele wiem. Mile spędziłem ten wieczór, gawędząc z turystami i odkrywając nieco smaczniejsze jedzenie w drodze do hotelu.



## Rozdział XIX

Była niedziela i obudził mnie dźwięk dzwonów, wielu dzwonów - każdy dzwon bił inaczej. Postanowiłem pójść na spacer nad rzekę, która płynęła nieopodal hotelu. Dochodziła ósma rano, ale na ulicy już pojawiło się trochę ludzi. Był tam targ z wyrobami rękodzielniczymi, i to on przyciągał miejscowych oraz turystów. Targ ciągnął się wzdłuż ulicy, a kilka straganów stało na brzegu rzeki. Większość sprzedawanych przedmiotów była wykonana ręcznie, ale sprzedawano również książki oraz pamiątki. Stał tam też kram z dewocjonaliami, takimi jak buteleczki z wodą ze źródła nieopodal Fatimy. Ta woda najpewniej pochodziła z kranu w którymś z pobliskich ogrodów, ale wiara to placebo, więc może zdziała coś dobrego. Ilekroć widzę jakąś kolekcję dewocjonalików, przychodzi mi na myśl mój ojciec. Gdyby tu był, potrzebowałby wielkiej torby na zabranie tego, co byśmy kupili.

Na brzegu rzeki stare małżeństwo przygotowywało na grillu lokalny przysmak na śniadanie. W kolejce ustawilo się ze dwadzieścia osób, więc pomyślałem sobie, że musi to być coś dobrego. Ale nie było. Smakowało gorzej aniżeli ta rzepa, którą jadłem wczoraj wieczorem. Zjadłem tyle, ile mogłem, a potem usiadłem i patrzyłem na młodych wioślarzy, zmagających się z wartkim nurtem Mondego. Po śniadaniu wróciłem do pokoju hotelowego, wziąłem prysznic i byłem gotowy wyruszyć na poszukiwania klasztoru siostry Łucji.

W mieście znajdowało się mnóstwo świątyń i wszystkie były pełne wiernych oczekujących na mszę o dziewiątej rano. Zdaje się, że w Coimbrze każdy chodził do kościoła, a najliczniej odwiedzano właśnie ten kościół, do którego i ja się skierowałem. Kazanie było po portugalsku oraz po łacinie, więc nic nie rozumiałem. Ten mały kościółek cieszył się popularnością wśród zakonnic i wiele z nich zajęło miejsca na górnej galerii. Grał jeden organista, a zebrani śpiewali bardzo pięknie. Siedziałem mniej więcej pośrodku, ale blisko ściany. Dookoła było pełno pobożnych katolików, z których wielu nie tylko uczestniczyło w mszy, ale jeszcze odmawiało różaniec.

I kiedy tak siedziałem tam tamtego dnia, słuchając pięknych słów wypowiedzianych przez księdza, przypomniałem sobie historię trójki dzieci z Fatimy. Wielokrotnie studiowałem fotografie tych dzieci, szukając choćby cienia fałszerstwa, ale nie znalazłem. Sięgnąłem do kieszeni i natrafiłem na różaniec, który ta szarlatanka dała mi w Tuy. Nadal jest on dla mnie cenny, mimo że wiem, iż nigdy nie należał do Hiacynty. Pomyślałem o żądaniach Najświętszej Panny, aby Rosja została poświęcona i zawierzona jej niepokalanemu sercu. Zastanowiłem się, dlaczego Kościół nie zwracał uwagi na ostrzeżenia siostry Marii Łucji.

Nie zauważyłem, że zebrani w kościele wstali i dopiero stojąca za mną pani trąciła mnie w ramię, dając znak, że również powinienem to uczynić. Kiedy wstałem, rozejrzałem się wokół, aby zobaczyć, jak bardzo nie nadążam za biegiem mszy. Skierowałem wzrok na balkon i zobaczyłem tam siedzącego wśród sióstr jakiegoś mężczyznę. Siedział na końcu rzędu ławek, niedaleko od schodów. Był ubrany w habit zakonny, który akurat poprawiał, gdy na niego patrzyłem. Natychmiast poznałem jego twarz, nawet z oddali. Dobrze pamiętałem te rysy twarzy - zapamiętałem je wtedy, gdy zobaczyłem go pierwszy raz. Widziałem tę twarz ze swej kryjówki w jego apartamencie. To był Albino Luciani, lepiej znany światu jako papież Jan Paweł I.

Odwróciłem się i podziękowałem Bogu, że papież żyje, ale teraz trapiło mnie jeszcze więcej pytań. Nie było na ten temat żadnej oficjalnej informacji w prasie, ponieważ nie było ciała osoby zamordowanej lub też zabitej w inny sposób. Albino musiał uciec ze Stolicy Apostolskiej, obawiając się o swoje życie. Był papieżem tylko trochę ponad miesiąc. A tu taka powalająca wręcz wiadomość. Wszystko, co mogłem zrobić, to nie oglądać się. Msza dobiegała końca. Ludzie po raz ostatni wstali i gdy dołączyłem do wychodzącego tłumu, spojrzałem po raz ostatni w górę w kierunku balkonu. On też wstał i szykował się do wyjścia.

Posuwałem się wraz z tłumem wzdłuż bocznej ściany w kierunku tylnej części kościoła i tu poczekałem, aż ten człowiek zszedł po spiralnych schodach. Był sam. Wyszedł z kościoła na ulicę, przeszedł przez jezdnię i skierował się w stronę uniwersytetu. Poszedł w kierunku jezdni dzielącej mały handlowy fragment ulicy i szybko znalazł się na jej końcu. Wyglądało, że jest to ślepy zaułek, ale były tam niewielkie schody, którymi zszedł na dół. Uważałem, aby nie robić zbyt wiele hałasu na metalowych schodach, ale

nie chciałem stracić go z oczu. Kiedy znalazłem się na dole schodów, zdałem sobie sprawę, dokąd on szedł. Ujrzałem tablicę z napisem „Zakon Karmelitanek”.

Albino Luciani zatrzymał się przy bocznym wejściu i czekał. Nie stukał do drzwi, ani nie wołał. Udało mi się zająć taką pozycję, która dawała mi pełny widok na drzwi, a równocześnie nie pozwalała na zobaczenie mnie. Nagle drzwi się otworzyły i mężczyzna zniknął. Nie mogłem uwierzyć w to, co właśnie zobaczyłem. Ojciec Święty, będąc papieżem, upozorował swoją własną śmierć i był tu, w Coimbrze. Znał siostrę Łucję. Powiedział to tego wieczora, kiedy włamałem się do jego apartamentów. Poszedłem na koniec dróżki, obszedłem klasztor i znalazłem się przed głównym wejściem. Z trudem powstrzymałem się od wejścia tam tanecznym krokiem i przedstawienia się. Nie miałem przy sobie listu i musiałem przemyśleć to, co przed chwilą widziałem. Nie miałem pewności, czy to cokolwiek zmieniało. Cała historia była fantastyczna. Mogłem zarobić miliony, sprzedając ją do prasy. Jednak nie zrobiłbym tego, ponieważ uwierzyłem w historię tajemnic fatimskich. Byłem przekonany, że Ojciec Święty musiał znajdować się w niebezpieczeństwie, skoro w taki sposób opuścił Rzym i przyjechał tu, do Portugalii. Musiało mu być trudniej wydostać się z Watykanu, aniżeli mnie tam się dostać. Również dość trudno było mu dotrzeć do Portugalii, nawet samochodem, nie będąc rozpoznanym. Co prawda krótko był papieżem i podczas podróży fakt ten działał na jego korzyść. Było bardzo prawdopodobne, że niewielu ludzi, w tym także zakonnice w klasztorze, mogło na pewno powiedzieć, kim był ten człowiek. Teraz, chcąc spotkać się z siostrą Łucją, musiałem być bardzo ostrożny. Będzie ona bardzo chronić swojego przyjaciela, człowieka, który w oczywisty sposób ją wspierał.

Opuściłem klasztor i poszedłem do miasta. Wypiłem kawę, a potem wróciłem do hotelu. W związku z rozwojem wypadków czułem się jak w ekstazie i chciałem zatelefonować do ojca. Wiedziałem, jak mogła przygnębić go wieść o śmierci papieża, toteż przyrzekłem sobie, że przekażę mu w miarę wcześnie dobrą wiadomość.

Jednak zadzwoniłem do Marii. Nagle wpadła mi taka myśl do głowy. Jeśliby odebrała telefon, miałem zamiar powiedzieć, że wiem o wszystkim i pośmiać się z tego, co spotkało Gellego. Telefonistka nie mogła mnie połączyć. Powiedziała, że linia została wyłączona. A więc wszystko było mistyfikacją: Maria, jej rodzina, wszystko. Wiedziałem to, ale wciąż czułem się głupio. Chciałem wierzyć, że w jakiś sposób Maria też została

oszukana. Ale ona musiała o wszystkim wiedzieć. I mogłem się zdziwić, kto jeszcze, oprócz Oliwii, był w to wszystko zamieszany.

## Rozdział XX

Mylilem się, sądząc, że siostra Łucja wyjechała z Coimbrzy na czas obchodów rocznicowych cudu w Fatimie - odgrywała w nich ważną rolę. Znalazłem w hotelu ulotkę reklamującą zbliżające się obchody, przypadające 13 października. Na pierwszej stronie tej ulotki było zdjęcie siostry Łucji i pamiętam, że żałowałem, iż nie widziałem go przed swoją podróżą do Tuy. Podająca się za nią kobieta wcale nie była do niej podobna. Teraz patrząc na aktualne zdjęcie siostry Łucji, widziałem podobieństwo pomiędzy nią a młodą Łucją. Notatka na ulotce mówiła, że procesję będzie prowadzić żyjący jeszcze naoczny świadek wydarzeń w Fatimie, gdzie odprawiona zostanie specjalna msza. Do tych uroczystości pozostał już niecały tydzień, aleja chciałem zobaczyć siostrę Łucję o wiele wcześniej, jeśli byłoby to możliwe. Wiedziałem, że na uroczystościach rocznicowych będą tłumy i będzie bardzo trudno dotrzeć w pobliże tej kobiety, uważanej za żyjącą świętą. Spróbuję skontaktować się z nią w klasztorze.

W poniedziałek rano poszedłem do małej kawiarenki, z której mogłem widzieć główne wejście do klasztoru. Siedziałem przez jakiś czas, obserwując wchodzących i wychodzących. Ten budynek to była jakaś szkoła i tego dnia wiele młodych dziewczyn przychodziło na lekcje, a także dostarczano tam różne rzeczy. Najpierw kwiaty, potem znów przyjechały dwie ciężarówki z żywnością i wyładowano bodajże warzywa, a następnie pojawił się listonosz. Przybył pieszo, bo było to niedaleko od głównej poczty, ale przydźwigał wielki worek pełen przesyłek. Siostry dobrze go znały, więc nie sprawiłoby mi kłopotu sfingować późną dostawę poczty.

Nie chciałem zapowiadać swojej wizyty u siostry Łucji. Gdyby wspomniała Albino Lucianiemu, że ktoś, kto twierdzi, że ma jej list, jest tu, w Coimbrze, mógłby uciec. Musi uciekać, bo goni go śmierć, no bo z jakiego to innego powodu sfingowałby własną śmierć?

Nie interesował mnie zbytnio Albino Luciani. Naprawdę chciałem tylko oddać list prawowitemu właścicielowi i wyjechać. Możliwe że Luciani, osiągnąwszy najwyższą godność, zrozumiał wszystko. Może to tak jak z prezydentem Stanów Zjednoczonych? W

dniu, w którym obejmujesz urząd, jakiś facet przychodzi i informuje cię o wszystkim od Johna F. Kennedy'ego po Roosevelta. I musisz dochować tajemnicy, dopóki żyjesz. Może Albino Lucianiemu złożono taką wizytę, a jemu nie podobało się to, co usłyszał?

Obserwowałem klasztor i mogłem zauważyć, że był on w bardzo małym stopniu, jeśli w ogóle, strzeżony. Dobrze widziałem wejście, ponieważ podwójne drzwi były niemal przez cały dzień otwarte. Nie chciałem zbliżyć się zbyt do budynku i ściągać na siebie uwagi. Dostrzegłem, że wielu turystów przechodzących obok klasztoru zatrzymywało się i robiło zdjęcia. Niektórzy próbowali wejść do środka, ale szybko byli wyprowadzani przez jedną z zakonnice. Moja sesja szpiegowska przeciągała się, gdyż chciałem wiedzieć, jak wygląda dzień w klasztorze.

Zapadł wieczór, a do klasztoru nadal przychodzili uczniowie. Tym razem byli to chłopcy w różnym wieku, niektórzy już dorośli. Dostrzegłem grupę wychodzącą o dziewiątej wieczorem i postanowiłem pójść za nią. Składała się ona z dwóch mężczyzn i trzech kobiet i wszyscy oni poszli do miejscowej restauracji. Poczekałem, aż usiądą, po czym wszedłem i usiadłem przy stoliku obok. Okazało się, że to studenci uniwersytetu w Coimbrze. Jedna z dziewczyn była Włoszką, druga Hiszpanką, reszta zaś to Portugalczycy. Włoszka starała się mówić po portugalsku, ale musiała nieustannie wtrącać trochę włoskiego. Studenci skończyli jeść i troje z nich wyszło. Pozostałych dwoje zamówiło kawę, a ja wykorzystałem to jako sposobność, aby się przedstawić. Włoszka była z Portugalczykiem. Nawiązałem rozmowę, pytając, czy podobają im się studia na uniwersytecie w Coimbrze. Młody człowiek tylko odrobinę znał angielski, ale ja zwracałem się do tej dziewczyny. Miała około dwudziestu pięciu lat, była bardzo miła i powiedziała, że studiuje teologię, a wybrała uniwersytet w Coimbrze, bo chciała również studiować portugalski i hiszpański. Młody człowiek postanowił już iść. Dziewczyna także chciała wyjść, ale poprosiłem, aby dotrzymała mi towarzystwa i więcej opowiedziała o swoich studiach i Coimbrze. Zgodziła się. Mężczyzna pocałował ją w policzek, a ona powiedziała mu, że zobaczą się jutro na zajęciach.

Byliśmy sami; przedstawiłem się. Powiedziałem, że spędzam tu urlop i jeżdżę po południowej Hiszpanii oraz Portugalii. Dziewczyna miała na imię Rebeka. Pamiętam to nasze pierwsze spotkanie tak, jakby to było wczoraj. Rebeka była taka piękna z tymi swoimi długimi, prostymi włosami, przerzuconymi przez jedno ramię. Miała niezwykle,

brązowe oczy i śliczne białe zęby. Rozmawialiśmy przez chwilę o jej studiach, a następnie zapytałem, co wie o Coimbrze i okolicy. Mówiła głównie o religijnej historii tego regionu. Jej studia koncentrowały się na takich wydarzeniach jak hiszpańska inkwizycja oraz rozwój i przetrwanie chrześcijaństwa. Interesowały ją też objawienia, jakie miały tu miejsce. Opowiedziała mi historię Łucji, Franciszka i Hiacynty. Sposób jej relacjonowania nie pozostawiał wątpliwości, że wierzyła przytaczanym faktom. Pasjonowała się tymi objawieniami i napomknęła, jak cudownie byłoby ujrzeć Matkę Boską. Pomyślałem, że wybrała uniwersytet w Coimbrze ze względu na położenie tego miasta niezbyt daleko od Fatimy oraz fakt, że mieszkała tu siostra Łucja. Uważałem, aby nie zdradzić się ze swoją znajomością zdarzeń, a ona wydawała się zadowolona, że może opowiedzieć mi tę historię.

Rebeka stała się ekspertem od Fatimy. Znała wszystkie fakty, o których czytałem, a nawet znacznie więcej. Powiedziała, że oburza ją, iż Watykan nie traktował poważnie tajemnicy fatimskiej. Opowiedziała mi zabawną historię, jak to miejscowe władze porwały Łucję przed datą jednego z objawień, aby położyć kres tej nierozwiązywalnej zagadce, ale miejscowa ludność wtargnęła do biura burmistrza, żądając uwolnienia dziewczynki, która miała tylko dziesięć lat, a była przetrzymywana jak kryminalistka. Uwolniono ją natychmiast, a ludzie pomaszerowali wraz z Łucją na pole, i tak zdążyła na spotkanie z Błogosławioną Maryją. Hiacynta, która już była na miejscu wraz z Franciszkiem, powiedziała: „W porządku, Łucja już jest”. Łucja najwidoczniej przeprosiła Maryję Pannę za spóźnienie. Rebecę łzy napłynęły do oczu, kiedy opowiadała mi tę historię. Roześmiała się, aby się otrząsnąć. Chętnie mówiła i wyrażała swoje poglądy - nie musiałem jej do tego zachęcać. Potem zdumiała mnie, mówiąc, iż sądzi, że papież nie umarł. Ta uwaga nie miała nic wspólnego z naszą rozmową. Rebeka powiedziała mi, że ktoś z jej rodziny, kto był księdzem w Rzymie, stwierdził, że papież Jan Paweł I musiał z powodu swoich przeciwnych korupcji poglądom prowadzić nieustanną walkę. Zasugerowała, że nowy papież mógł stanowić zagrożenie dla układów, którymi wymoszczone były kieszenie potężnych osób w Watykanie. Podejrzewała, że papież Jan Paweł I mógł dość łatwo zniknąć, ponieważ był papieżem tak krótko, a w związku z tym nie był łatwo rozpoznawalny. Nie miała pojęcia, ile miała racji. Poprzedniego ranka byłem z Jego Eminencją w kościele.

Powiedziałem, że pojechałbym do Fatimy, aby trochę się rozejrzeć, ponieważ zainteresowała mnie historia, którą Rebeka właśnie mi opowiedziała. „Tu, w Coimbrze, możesz spotkać jedno z tych dzieci z Fatimy”, oznajmiła. Spytałem, jak to możliwe. Wyjaśniła mi, że w 1917 roku te dzieci były bardzo małe i że jedno z owej trójki przeżyło i obecnie jest zakonnicą. Ma siedemdziesiąt kilka lat i mieszka tu, w tym mieście, w klasztorze. Rebeka powiedziała mi, że kilkakrotnie przy różnych okazjach spotykała siostrę Łucję, która wykładała w klasztorze studentom religioznawstwo. Oświadczyła też, że siostra Łucja jest bardzo otwartą osobą i bynajmniej nie nieśmiałą zakonnicą, jak to można sądzić po jej poważnym wyglądzie.

Było późno i Rebeka powiedziała mi, że musi już iść, ponieważ nazajutrz o dziewiątej rano ma zajęcia na uniwersytecie. Powiedziałem jej, gdzie się zatrzymałem, i zapytałem, czy mogę odprowadzić ją do domu, ponieważ było to po drodze. Zgodziła się z uśmiechem, wiedząc, że to akurat w przeciwnym kierunku. Mieszkała w pensjonacie nieopodal uniwersytetu, dziesięć minut spaceru od restauracji. Powiedziałem Rebecce, jak bardzo cieszę się, że ją spotkałem i spytałem, czy pójdzie jutro ze mną na kolację. Zgodziła się, a ja na pożegnanie pocałowałem ją w policzek. Roześmiała się i powiedziała, że tylko Włosi tak się zachowują. Drzwi do jej pensjonatu otworzyły się i zauważyłem spojrzenie podglądacza. Rebeka ponownie uśmiechnęła się do mnie i weszła do budynku. A ja wróciłem na główną ulicę, wypłem piwo i poszedłem do hotelu. Byłem absolutnie pewien, że trzeba zwrócić list siostrze Łucji, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Przychodziło mi do głowy wiele pomysłów, ale musiałem uwzględnić osobę Albino Lucianiego. Każda próba zbliżenia się do siostry Łucji mogła zostać odebrana jako potencjalny atak na papieża. Musiałem spotkać się z nią twarzą w twarz, bez uprzedzenia.



## Rozdział XXI

Z głębokiego snu obudziło mnie walenie do drzwi, coraz głośniejsze, i kobiece wołanie: „Wstawaj... wstawaj!”. Wskoczyłem z łóżka i owinąwszy się ręcznikiem, podszedłem do drzwi. Kiedy je otworzyłem, kobieta wpadła do pokoju, niemal mnie przewracając. Odzyskałem równowagę, odwróciłem się i zobaczyłem Rebekę.

- To byłeś ty! - trzymała gazetę i wymachiwała nią w moim kierunku. - To byłeś ty, prawda? Kim jesteś, powiedz, zanim zjawi się tu policja.

Wyglądała, jak szalona.

- Uspokój się... uspokój - starałem się uspokoić ją najlepiej, jak umiałem, cały czas myśląc, że zamierza mnie uderzyć.

Przeklinała mnie, a potem rzuciła we mnie gazetą.

- Czy wezwałaś policję? - spytałem.

Nie odpowiedziała. Stała blisko mnie. Ująłem jej rękę i znowu spytałem: - Powiedziałaś: zanim zjawi się tu policja.

- Nikogo nie powiadomiłam... ale żałuję!

Przyciągnąłem ją bliżej do siebie.

Zapytała mnie znowu:

- Kim ty jesteś?

Rebeka przeczytała lokalny przedruk gazety z Rzymu. Było to wydanie sprzed kilku dni. Przeczytała historię o człowieku, którego widziano w Watykanie, i natychmiast mnie rozpoznała z naszkicowanego portretu dołączonego do artykułu. Rysunek bardzo dobrze oddawał podobieństwo. Bez wątpienia Maria dostarczyła komuś moje zdjęcie. Poprosiłem Rebekę, aby usiadła. Uprzątnąłem pościel, by mogła przysiąść na końcu łóżka. Nie wiedziałem, która była godzina. Dałem dziewczynie szklankę wody. Przełknęła łyk i zapytała, czy mam zamiar ją skrzywdzić. To pytanie mną wstrząsnęło. Powiedziałem jej, żeby się nie bała, gdyż nic jej nie grozi, a z kolei ona opowiedziała, jak wczoraj, leżąc w łóżku, zaczęła czytać gazetę niedługo po tym, gdy odprowadziłem ją do domu. Jej

rodzina co tydzień przysyłała jej kilka gazet. Powiedziała, że nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy ujrzała moją twarz w lokalnej gazecie. Ten mężczyzna, który w ciemnościach odprowadzał ją do domu zaledwie kilka minut wcześniej, był widziany w Watykanie w tę noc, kiedy zamordowano papieża.

Opowiedziałem Rebecce całą historię, od Dublina poczynając, poprzez Nowy Jork i Rzym. Opowiedziałem o Marii i Gellim oraz o tym, jak mnie wrobiono, i to w taki sposób, żebym został zamieszany w śmierć papieża. Powiedziałem też o kopercie należącej do dziewczynki z Fatimy i o tym, jak mnie oszukano w Tuy. Rebeka patrzyła na mnie z szeroko otwartymi oczami.

- Ukradłeś... sekretną tajemnicę... od Najświętszej Panny? - Wstała, powoli odwracając się do mnie twarzą. Pięści miała zaciśnięte, spojrzenie przeszywające, a twarz wykrzywioną złością. - Czy ty sobie wyobrażasz, ty głupi kretynie... jak ważna jest ta rzecz dla katolików? - Mówiła do mnie tak, jakbym był idiotą, i wciąż rzucała wyzwiskami, kręcąc się żałośnie po pokoju.

- Rebeka, oni nie dostali tego listu, naprawdę... mam go tutaj.

Opanowała się i niemal wyszeptała:

- Proszę... nie rób sobie kpin, czy mogę go zobaczyć?

Poprosiłem, by ponownie usiadła. Zapewniłem ją, że list jest bezpieczny. Wyciągnąłem z kryjówki oryginał i usiadłem koło niej. Wytarłem ręce o prześcieradło, otworzyłem książkę i podałem list Rebecce. Trzymała go jak delikatny liść. Jej oczy rozszerzyły się w oczekiwaniu, gdy otwierała kartkę.

- To pismo... jest dziwne - powiedziała. - Niektóre wyrazy są portugalskie i - jakieś stare litery... jakby pismo starożytne, coś jak hebrajski, może aramejski. - Podniosła wzrok, oczekując potwierdzenia. - Na studiach mieliśmy zajęcia z czytania tekstów wczesnochrześcijańskich.

- Umilkła, patrząc na mnie znowu, jakby szukając zachęty. - Niewielu ludzi potrafi to przetłumaczyć. - Nie wydawała się rozczarowana faktem, że ona nie zdoła tego zrobić. Przystudiowała drugą stronę, a potem znów wróciła do pierwszej. Powiedziałem jej, że strony są tak ułożone, jak były. Trudno było orzec, która jest pierwsza, a która druga. Rebeka złożyła je razem, wsunęła z powrotem do środka książki i złożyła ręce. - Zdrowaś

Mario, łaskiś pełna. - Odmówiła całą modlitwę i przeżegnała się. Wyglądała na trochę zażenowaną swoim zachowaniem. - Imię papieża oraz data są dokładne - wyjaśniła. - Choć siostra Łucja napisała to w 1944 roku, to list zawiera dokładną datę, kiedy kartki te należy odczytać i kto powinien to zrobić.

Rebeka powiedziała mi, że w 1959 roku papież Jan XXIII zażyczył sobie, aby dostarczono mu ten list. Świadek tych wydarzeń stwierdził, że 20 sierpnia 1959 roku papież otworzył kopertę w jego obecności. „Musiał doznać strasznego szoku, ujrawszy swoje imię zawarte w treści notatki”. Rebeka wyciągnęła się na łóżku. I tak, leżąc z rękami za głową, powiedziała: - To niewiarygodne, absolutnie niewiarygodne.

Powiedziałem jej, żeby nabrała odwagi, bo nie jest tak źle.

- Papież... on nie umarł.

Poderwała się.

- Jak to? Więc gdzie on jest?

- Jest tu... w Coimbrze.

Wyglądała pięknie, wprost nie posiadała się z radości. Moje serce biło szybko, chciałem ją pocałować.

- O co chodzi? - spytała.

Nic nie odpowiedziałem. Gapiłem się na nią. Wzięła książkę z moich kolan i delikatnie położyła na podłodze. Następnie odwróciła się do mnie, zarzuciła mi ramiona na szyję i mocno uścisnęła. Przepraszyła mnie za oskarżenia, a ja powiedziałem jej, że jeśli w ten sposób miała się ze mną pogodzić, to lepiej byłoby, aby oskarżyła mnie o coś innego. Oboje roześmieliśmy się.

Rebeka chciała wiedzieć, jakie mam plany. Powiedziałem, że zamierzam oddać list siostrze Łucji. Ucieszyło ją to. Ujęła moje dłonie i ścisnąwszy je, poprosiła, bym pozwolił sobie pomóc. Odparłem, że jeszcze nie zdecydowałem, jak i gdzie spotkam się z siostrą Łucją, ale przyjmuję jej pomoc, a teraz proponuję, by poszła do domu. Wstała i skierowała się do drzwi. Zgasła jedno światło, zapaliła żarówkę w łazience, a następnie całkiem zgasła światło w pokoju. Potem podeszła do mnie i oświadczyła, że zostaje. Zapanowała cisza. Zdałem sobie sprawę, że Maria odczuwa zawstydenie; wyszedłem do łazienki, aby się mogła rozebrać. Uświadomiłem sobie, że naprawdę lubię tę dziewczynę i

że ona zostaje, ponieważ nie chce mieć nieprzyjemności ze strony swojej gospodyni, która na pewno przyłapałaby ją na powrocie do domu o tej porze. Kiedy wróciłem, wziąłem poduszkę i chciałem posłać sobie na podłogę, ale Rebeka stwierdziła, że to głupie i poprosiła, bym się położył obok niej i opowiedział więcej o swoim życiu. Rozmawialiśmy przez wiele godzin, aż wreszcie zasnęliśmy.

Obudziłem się pierwszy i starałem się nie poruszyć, ponieważ Rebeka jeszcze spała. Odrzuciła część koców, więc ostrożnie próbowałem naciągnąć prześcieradło, aby ją przykryć. Kiedy to robiłem, obudziła się i przyłapała mnie na patrzeniu na jej niemal nagie ciało. Uśmiechnęła się i naciągnęła na siebie prześcieradło. Spytałem, czy idzie na uczelnię. „Myślę, że lepiej pójdę do spowiedzi”, odpowiedziała szeptem.

Jako dziecko nie cierpiałem spowiedzi. Wydawała mi się czymś głupim. Coś zrobisz źle, idziesz do księdza i on ci to przebacza, a potem ty robisz to znowu i znowu. Pewnego razu powiedziałem ojcu Nightingale, że ukradłem pieniądze z tacy. Położyłem sześć pensów, ale wziąłem pół korony. Ksiądz wyszedł z konfesjonału, podszedł do mnie i trzepnął mnie w głowę. A potem mnie wyrzucił. Kiedy biegłem wzdłuż rzędów ławek, powiedział: „Powieм wszystko twojemu ojcu, ty huncwocie”. Konfesjonał to podobno święte miejsce, ale na pewno nie na Farley Hill.

Rebeka nie chciała nigdzie iść. Powiedziała, że boi się, iż zniknę. Trzymałem ją w ramionach i zapewniałem, że nie wyjadę. Umówiliśmy się na wieczór.

## Rozdział XXII

Czułem się szczęśliwy, że spotkałem Rebekę i już bardzo chciałem znów ją zobaczyć. Nigdy nie miałem takich odczuć wobec Marii. Cały ranek leżałem w łóżku i niemal zapomniałem, po co przyjechałem do Coimbry. Wreszcie wstałem, ogoliłem się, ubrałem i wyszedłem, żeby coś zjeść. Robiąc zakupy, pomyślałem sobie, że może kupię Rebecę jakiś drobiazg, aby wynagrodzić jej to zdenerwowanie poprzedniego wieczoru. Czułem się bardzo swobodnie, mijały godziny, gdy nagle pomyślałem o czymś, co po prostu nie przyszło mi do głowy. Papież Jan Paweł I musiał wiedzieć, że koperta została skradziona. Wiedział, gdzie była schowana i gdy zdecydował się uciec, na pewno próbował ją zabrać. Teraz zaalarmował już siostrę Łucję; byłem ciekaw, czy nakłoni ją, aby wyjawiała tę tajemnicę. Kościół zawiódł ją, nie ujawniając treści listu, i teraz siostra Łucja może przypuszczać, że trafił on do rąk kolekcjonera.

To Gelli zaplanował tę kradzież, a teraz musiał się zadowolić tym, co dostał. Lecz to nie powstrzymałoby go od puszczenia listu w obieg jako autentycznego. Przyszło mi do głowy, że Gelli może też poszukać kogoś, kto napisze fałszywą „tajemnicę”, którą on sprzeda jakiemuś dilerowi. Siostra Łucja musi wiedzieć, że może pojawić się falsyfikat. A tego nie brałem pod uwagę. Oryginalna koperta była w rękach Gellego. Łatwo napisać jakiś dramatyczny kawałek, który równocześnie byłby oczerniający. Pomyślałem, że Gelli naprawdę się na mnie wkurzy. Komuś niezmiernie na tym liście zależało. Czułem tę presję i poszedłem z powrotem prosto do hotelu.

Bardzo chciałem spotkać się z siostrą Łucją i potrzebowałem jakiegoś niepodważalnego argumentu, który zmusiłby ją do spotkania ze mną, bez względu na jej obiekcje. Przeszedłem przez cały proces wszystkich „co”, „jeśli”, „ale” i „może”, nie uwzględniając granicy błędu. Przypomniałem sobie, co przydarzyło mi się w Tuy... to całe doświadczenie i oszustwo. Kilka razy sądziłem, że mój pomysł był słuszny, ale potem dopatrywałem się zbyt wielu przyczyn, dla których mogło się to skończyć porażką. Chciałem, aby siostra Łucja na spotkanie ze mną wyszła z klasztoru. Przyszedł mi do głowy ten mały kościół, do którego w niedzielę poszedłem na mszę. Kościół, to jedyne miejsce, jakie zakonnica z pewnością musi odwiedzać. Tylko jak sprawić, żeby siostra

poszła do tego kościoła o wyznaczonym przeze mnie czasie? I wreszcie! Pomysł był prosty i byłem przekonany, że trafny.

Rebeka przyszła do mnie do hotelu około osiemnastej, o wiele wcześniej aniżeli umówiliśmy się. Od chwili przyścia była bardzo wobec mnie czuła i powiedziała, że tęskniła za mną. Uściskałem ją i delikatnie pocałowałem w policzek. Podobał mi się sposób, w jaki usiłowała mówić po angielsku, zapominając, że dość dobrze rozumiałem jej włoski. Spotkałem kobietę, której mogłem ufać. Równocześnie spotkałem kobietę, w której mogłem się zakochać, gdyby to się już nie stało.

Wyjaśniłem Rebecce, że muszę dostarczyć wiadomość siostrze Łucji. Potem dałem jej papier i poprosiłem, aby przepisała ten kawałek z listu Łucji, który był napisany po portugalsku. Kiedy skończyła, podyktowałem jej jeszcze kilka słów, które Rebeka znowu napisała po portugalsku. Kilkakrotnie sprawdziła przepisany tekst, zanim wręczyła mi tę pojedynczą kartkę papieru.

Tego wieczoru Rebeka i ja zjedliśmy kolację na mieście, a potem przez chwilę siedzieliśmy na brzegu rzeki. To był miły wieczór. Pod rozgwieżdżonym niebem mówiliśmy o miłości i o cudach. Powiedziała mi o jednym mężczyźnie, z którym łączył ją poważny związek, a ja jej z kolei, że byłby to cud, gdybym jeszcze kiedyś zaufał innej kobiecie, będąc tak oszukany przez Marię. Śmieliśmy się, wysłuchując wzajemnie swoich wspomnień. Rebeka powiedziała mi, że chciałaby być nauczycielką i że ma nadzieję, że kiedyś dostanie pracę w Hiszpanii albo w Portugalii. Mówiła o swoich religijnych przekonaniach, a następnie niemal bez tchu o swoich wątpliwościach. Trochę z nich dotyczyło Watykanu. Powiedziała mi o dowiedzionych przypadkach przekupstwa i że żaden z watykańskich dostojników nigdy nie został o nie oskarżony. Rebeka była osobą mocno wierzącą, ale nie widziała żadnej roli dla Kościoła. Przypomniała mi słowa Jezusa, że królestwo boże jest w każdym z nas. Uważała, że Watykan nie ma prawa domagać się bycia siedzibą władzy. Wskazała mały dom na brzegu rzeki i powiedziała: „Tamten dom ma takie samo prawo do bycia Watykanem jak każdy inny budynek”. Ja nie przedstawiłem jej swojej własnej wersji wiary. Zawsze przyjmowałem to, co mówił nam ojciec Nightingale. Jeśli jesteście dobrzy, pójdziecie do nieba, a jeśli jesteście źli, będziecie smażyć się w piekle, aż wasza skóra się stopi. Popadłem w kłopoty podczas lekcji religii z pocziwym klechą. Rozmawialiśmy o niebie i piekle. Powiedziałem, że nie

chciałbym iść do piekła, bo tam jest bardzo zimno. Ksiądz popatrzył na mnie spode łba i powiedział: „Jak to możliwe, żeby w piekle było zimno”. „Bo nie dopchasz się blisko ognia, gdyż urzędują przy nim księża”, odparłem. Dostałem za to w twarz. Siostra Rita, szef tortur w Małych Siostrach Jezusa, również dała mi w twarz.

Trzymając się za ręce, poszliśmy z Rebeką do hotelu i dziewczyna została na noc. Nie byłem pewien, czy ona naprawdę mnie polubiła, czy też po prostu nie mogła oprzeć się sposobności związania się z kimś, kto miał w posiadaniu przesłanie od Najświętszej Marii Panny.

Nigdy zbyt nie ufałem kobietom. Zawsze czułem, że chodzi im o coś innego aniżeli moja uroda, którą nie grzeszyłem. Lecz jeśli tamtej nocy ktoś wykorzystywał sytuację, to byłem to ja. Chodziłem za Rebeką, nawiązując rozmowę, aby dowiedzieć się czegoś o klasztorze. Ona była ze mną z jakiegoś powodu, i nie mogłem narzekać.

Rano Rebeka wyszła wcześniej, życząc mi szczęścia. Wiedziała, co planuję, i była pewna, że to się uda. Byłem gotów i wyszedłem z hotelu, aby zacząć realizować swój plan.

Kościół św. Dominika był oddalony o pięć minut spacerkiem od mojego hotelu. Był to mały, ale wdzięcznie wyglądający budynek z dzwonnica. Zbudowano go z kamienia, jak zresztą wiele budynków w Coimbrze, i ogrodzono kamiennym murem. Poszedłem tam, aby dowiedzieć się, kiedy można wejść do środka. Zadzwoiłem do przylegającej do głównego budynku zakrystii i w tym momencie dostrzegłem sprzątaczkę. „Ten kościół nigdy nie jest zamknięty”, powiedziała. Dwukrotnie sprawdziłem, o której odprawiane są msze. Informacja na ten temat wywieszona była na tablicy na zewnątrz kościoła. Były tam również godziny, w których można się wyspowiadać. To tu spotkam się z siostrą Łucją. Muszę tylko znaleźć odpowiedni czas.

Miałem przy sobie wiadomość napisaną przez Rebekę i musiałem doręczyć tę kartkę. Zabrnąłem już tak daleko, a końcowy plan był bardzo prosty. Potrzebne mi było przebranie. Najlepsze to takie, które najbardziej rzuca się w oczy, ponieważ ludzie bardzo chętnie odrzucają wszelkie przejawy oficjalności. Miałem być księdzem, a więc jeszcze jeden powód mojej wizyty w tym kościele tego ranka. Na zapleczu kościoła znalazłem wszystko, czego potrzebowałem, aby wyłonić się jako ojciec Shamus Flynn ze starej, drogiej Irlandii. W czasie niedzielnej mszy zauważyłem, że ksiądz z tej parafii i ja byliśmy

podobnej budowy, a w tej czerni prezentowałem się nie najgorzej. Mój ojciec zabiłby mnie własnymi rękami, gdyby to widział.

W klasztorze panował ruch. Wszędzie pełno było nowicjuszek, a pośród nich dryfowała matka przełożona - tak jak to tylko zakonnice potrafią. Bezczelnie wszedłem do klasztoru, nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Recepcja wyglądał tak, jak w hotelu. Podszedłem do jednej z nowicjuszek. „Jestem ojciec Shamus Flynn z Dublina i mam list dla siostry Marii Łucji. Czy możesz mi powiedzieć, czy jest ona w budynku?”. Gdy mówiłem, zakonnica ani drgnęła. Potem podniosła rękę, jakby mówiąc, „poczekaj”. Wyszła, miałem nadzieję, po kogoś, kto mnie zaprowadzi do siostry Łucji. Następnie wróciła z inną, młodszą zakonnica, która przedstawiła się, mówiąc, że zna angielski. Powtórzyłem swoje wcześniejsze oświadczenie, a ona odparła: „Tak, siostra Maria Łucja ma dziś prywatne modły”. Powiedziałem tej zakonnicy, iż biskup Lizbony poprosił mnie o doręczenie osobiście tej koperty. Wyjaśniłem, że jednak nie mogę czekać na spotkanie z siostrą Marią Łucją, ponieważ wkrótce mam wykład na uniwersytecie. Następnie dodałem, że biskup prosił mnie, abym się upewnił, że koperta zostanie przekazana siostrze Marii Łucji bezzwłocznie. Młoda mniszka wzięła ode mnie list i obiecała, że natychmiast odda go siostrze. A ja dorzuciłem jeszcze: „Proszę powiedzieć siostrze, że ksiądz, który przyniósł ten list, nalegał, aby od razu go przeczytała. I że jeszcze dziś rano oczekuję odpowiedzi”. Post scriptum do wiadomości, którą Rebeka przepisała na moją prośbę, informowało siostrę Łucję, że mam jej oryginalny list i że czekam w kościele św. Dominika. Podziękowałem zakonnicy za pomoc, opuściłem recepcję i wyszedłem na ulicę.

Potem, nie spiesząc się, wróciłem do kościoła i czekałem. Nie mogłem wiedzieć, ile czasu zajmie siostrze Łucji przyjdzie do mnie, ale wiedziałem, że przyjdzie. Przebrałem się w swoje ubranie, które wcześniej schowałem, i usiadłem w przedniej części kościoła. Patrzyłem na duży kamienny krucyfiks i zmówiłem własną, prywatną modlitwę „przepraszającą”. W jednej minucie nie wierzysz w Boga, a potem widzisz wielki, kamienny krzyż i znów wierzysz, jakby to były czary. Tak samo było, kiedy jako dziecko odwiedzałem domy znajomych. Już szedłem do drzwi, ale zobaczywszy święconą wodę, zanurzałem w niej rękę i robiłem znak krzyża. Zawsze. We wszystkich domach w Irlandii znajdowała się mała wnęka pełna święconej wody, tuż obok drzwi wejściowych. Nawet



kiedy się szło na rabunek, to też człowiek zęgnął się, mocząc końce palców w wodzie święconej. Niekiedy naśmiewałem się z ludzi, którzy to robili, a potem już w ogóle zacząłem to lekceważyć. Jest coś w tych resztkach tradycji, w krucyfikсах i w święconej wodzie, co sprawia, że znika zwątpienie.

Usłyszałem kroki i odwróciłem się. Zobaczyłem wchodzącą do kościoła sprzątaczkę. Szła prosto do zakrystii mieszczącej się tuż obok ołtarza, tam, gdzie księża się przebierają. Potem pojawił się jakiś stary człowiek. Pomodlił się i poszedł. Zacząłem nucić hymny. Jako dziecko pięknie śpiewałem. Trudno było być równocześnie świetnym śpiewakiem i skinheadem. Zwykle mówiłem kumplom, że mnie zatrzymano, a tak naprawdę miałem próbę chóru. To oznaczało wolne od matematyki i angielskiego, lecz za to towarzystwo ładnych dziewcząt. Najładniejsze były te najbardziej sumienne i one zawsze pchały się do chóru. Normalnie nie miałbym u nich szans, ale w chórze byłem im równy, więc poznałem je dość dobrze. Przez jakiś czas umawiałem się z jedną - była moją pierwszą miłością. Powiedziała, że wspaniale śpiewam i poprosiła, abym zaśpiewał u niej w domu, a jej matka będzie nam akompaniować na fortepianie. Zrobiłem to tylko ten jeden raz. Pocałowałem ją, a następnego dnia ona podarowała mi tubkę pasty do zębów i bilecik. Karteczkę przeczytałem, ale pasty nie używałem.

Czekałem całe wieki. Nie znośm byc uzależnionym od kogoś, ale tym razem nie miałem wyboru. Musiałem powiedzieć siostrze Łucji coś, co dałoby mi gwarancję, że się ze mną spotka. Do kościoła od czasu do czasu ktoś zaglądał. Większość wiernych zapalała świece, niektórzy się modlili. Sprzątaczką już dawno sobie poszła, ksiądz się nie pojawiał, więc wywnioskowałem, że puby muszą być otwarte. Obszedłem kościół dookoła, a nawet wyszedłem na chwilę na zewnątrz. Chciało mi się pić, ale teraz już nie zamierzałem odchodzić. Znowu usiadłem i wziąłem jedną z licznych Biblii, leżących dookoła. Kilkakrotnie podsuwano mi tę książkę, gdy byłem podrostkiem. Ojciec Nightingale powiedział, że znaczną część Biblii napisał osobiście sam Jezus. To nie była prawda, ale jeśli to uszczęśliwiało ojca Nightingale'a, to niech mu będzie.

Ojciec Nightingale był wielkim mężczyzną. To znaczy on tak mówił. Ja byłem mały. Właściwie byłem wyższy od niego, więc nigdy nie pojąłem, co on miał na myśli. Ojciec Nightingale nosił okulary, a jego nos zdradzał zainteresowanie sherry. Poza tym grał w golfa i chodził na mecze piłki nożnej. Nie wyglądał na takiego, który robi jakies

święte uczynki, ale był księdzem w parafii Farley Hill. Zawsze wzywano go do udzielenia ostatniego namaszczenia. Robił to dobrze. I znał to na pamięć. Słyszałem, jak udzielał ostatniego namaszczenia pani Gibson. Zmarła z wyczerpania. Zawsze była zmęczona. Teraz pewnie już jakoś to wszystko ponazywali, ale dla nas, dzieci, ona po prostu już miała dość. Lecz najlepszego ostatniego namaszczenia Nightingale udzielił panu Macinery'emu. Stary Mac nie umarł. Był pijany w trupa, ale nadal żył. Ojciec Nightingale właśnie skończył udzielać mu ostatniego sakramentu, gdy Mac otworzył oczy i rzygnął na niego jak z fontanny.

Zaczynałem się martwić. Może młoda zakonnica coś pomyliła. Nie byłem pewien, co zrobię, gdy już oddam list siostrze Łucji. Nie miałem dalszych planów. Najpierw chciałem wracać do Rzymu, ale teraz nic tam po mnie. Musiałem pojechać do Nowego Jorku i poukładać swoje sprawy. Pomyślałem o Rebecce. Była słodka. Wiedziałem, że się zaczynam zakochiwać. Ale co z jej wiarą i aspiracjami? Nie mogłem sobie wyobrazić nauczycielki religii żyjącej z gangsterem. Rebeka wiedziała o mnie wszystko. Byłem pewien, że nie zechce, bym się koło niej kręcił. Przypomniałem sobie, jak pięknie wspominała historię trójki dzieci, świadków objawienia. Opowiadała o tym z takim przekonaniem. Było w niej tyle pasji, że sama mogłaby być jednym z tych dzieci. Co to się wydarzyło tyle lat temu? Jak to się stało, że troje dzieci przeszło takie doświadczenia? Tuż obok mnie znajdowała się figura Maryi Dziewicy. Jej twarz miała niezwykle wyraz. Patrzyła na człowieka, Jezusa, przybitego do krzyża nad ołtarzem - próbowałem wyobrazić sobie ten ból. Wokół kościoła, pod ścianami, były stacje męki pańskiej. Te wizerunki to odzwierciedlenie historii ostatniej kary, jaka spotkała Jezusa u kresu życia. Każdy go potępił. Kim on był? Nie napisał książek, ani nie zostawił wielkich listów. Watykan rościł sobie prawo do reprezentowania go. Zbudowano Kościół, jakiego, tak twierdzono, on chciał. Przywódca Kościoła katolickiego czasami dowodził również wielką armią. Jakżeż mogą oni uzurpować sobie prawo do bycia domem Boga, a w tym samym czasie szlachtować swoich wrogów? Pomyślałem o dokumentach, które czytałem w Londynie. Watykan wspierał nazistów. Wierzył, że komunizm był większym zagrożeniem aniżeli Adolf Hitler. Czy doprawdy mogli w ten sposób usprawiedliwiać swoje działania?

Nachyliłem się do przodu, oparłem głowę na rękach i prawie zaczynałem zasypiać, kiedy usłyszałem:

- Pan coś dla mnie ma.

Zerwałem się i równocześnie gwałtownie podskoczyła mi adrenalina. Mój gość już siedział obok mnie. Twarz tej osoby niemal całkiem przykrywały tradycyjne zakonne szaty, aleja nie miałem żadnych wątpliwości, kim ona była.

## Rozdział XXIII

W kościele panowała cisza. Nie było więcej zwiedzających. Słyszałem bicie własnego serca i gorączkowo szukałem właściwych słów. A ona panowała nade mną swoim milczeniem, patrząc na mnie, w bok i znowu zwracając się ku mnie. Chciałem tak wiele powiedzieć, ale nie powiedziałem nic.

Ona siedziała jak uosobienie spokoju, splecione ręce złożyła na kolanach. Doprawdy nie wiem, czego się spodziewałem. Czy sądziłem, że będę przeprowadzać wywiad o Fatimie, wysłuchiwać opowieści o wizjach i cudach? Włożyłem rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem etui, to samo, które miałem w Tuy. Delikatnie odsunąłem zamek błyskawiczny, ostrożnie wyjąłem dwie kartki papieru i oddałem je siostrze Łucji. Ciągle nie mogłem ochłonąć. Tyle czytałem o niej, a teraz była tutaj, siedziała koło mnie, kobieta i dziecko zarazem.

Siostra Łucja wzięła te kartki ode mnie prawie odruchowo. Delikatnie ucałowała złożony papier i bez patrzenia na tekst włożyła karteczki do kieszeni na przedzie sukni. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, zanim powiedziała:

- Jest pan dobrym człowiekiem. Błogosławiona Dziewica jest szczęśliwa. - Siostra Łucja mówiła dobrze po angielsku. Bardzo chciałem zadać jej kilka pytań i byłem pewien, że o tym wiedziała.

Powiedziała, że ma coś dla mnie i że rzecz ta jest dla niej warta więcej aniżeli wszystko, co kiedykolwiek posiadała. Wyjęła z kieszeni jakiś mały przedmiot, wzięła moją rękę i włożyła swoją dłoń do mojej. To był mały medal. Z jednej strony widniał na nim wizerunek Matki Boskiej, a z drugiej krótki napis: Dla Hiacynty, z miłością, Łucja.

- Dałam to jej na kilka tygodni przed jej śmiercią. Miał to być prezent na jej dziesiąte urodziny, ale nie dane jej było doczekać tego dnia - zamilkła i wytarła kącik oka.  
- Matka Hiacynty oddała mi to na pogrzebie.

Siostra Łucja wspominała to ze smutkiem. Obiecałem, że zawsze będę dbać o ten prezent. Zrozumiałem, że siostra Łucja próbowała dać mi w zamian za list coś równie wartościowego. Na razie przyjąłem to, ale potem jej to zwrócę.

Siostra Łucja oparła się o drewnianą ławkę. Leżały na niej niewielkie poduszki, więc podałem jej jedną z nich. Wzięła poduszkę, ale tylko przycisnęła ją do siebie, jak gdyby kogoś pocieszała. Wyczułem, że chciała porozmawiać. Nie wiem, w co ja wierzyłem przed tym spotkaniem, ale byłem pewien, że ta kobieta to święta. Byłem o tym przekonany.

Jako dziesięcioletnie dziecko Łucja otrzymała wiadomość, zawierającą przepowiednię, która się za jej życia sprawdziła, i jeszcze jedną, co do której modliłem się, aby jej sprawdzenia nigdy nie doświadczyć. Dziwiłem się, jak jakiemuś niewinnemu dziecku można mówić tak straszne rzeczy.

Siedzieliśmy jeszcze razem kilka minut, zanim siostra Łucja dała do zrozumienia, że musi iść. Jeśli miała jakieś pytania do mnie, to one nie padły.

- Muszę już wracać... Praca czeka - powiedziała.

Wszystko, o czym mogłem myśleć, to było długie życie tej kobiety, od dzieciństwa naznaczone poświęceniem, nauczaniem, modłami i troską o innych. Wstała i przeżegnała się, z miłością spoglądając na krucyfiks nad ołtarzem. Ja również podniosłem się i przeżegnałem. Siostra Łucja wzięła moją dłoń w swoje ręce. Ta kobieta wydawała się silna i zdecydowana. Wyczuwałem duch małego dziecka i uśmiechnąłem się, zauważywszy, że wciąż miała gęste, zrosnięte brwi. Podobno za młodu była bardzo drażliwa na ich punkcie i niezadowolona z tego, że są krzaczaste, ale siostra Łucja nie była już tak próżna. Po raz ostatni uścisnęła moją dłoń. Wiek nie przeszkodził jej w wykonaniu pięknego skłonu przed ołtarzem. Poszedłem za nią w kierunku wyjścia, gdzie zaoferowałem jej ramię, gdyż musiała zejść dwa stopnie po schodach wychodzących na ulicę. Spytałem, czy mogę odprowadzić ją do klasztoru. Powiedziała, że wolałaby pójść sama. Odwróciła się, przeszła kilka kroków w kierunku drogi i zatrzymała się.

- Fatima - powiedziała, odwracając się ku mnie twarzą. - Spotkamy się w Fatimie.  
- Potem odwróciła się i poszła w kierunku klasztoru.

Był już prawie 13 października, a więc rocznica cudu w Fatimie. Przypomniałem sobie fotografię w folderze, który zabrałem z mojego hotelu w Coimbrze. Było na niej widać gęsty tłum, rozradowany z powodu rocznicy cudu. Pomyślałem, że byłoby wspaniale zobaczyć siostrę Łucję w jej rodzinnym mieście na czele wiernych. Byłem prze-

konany, że udałoby mi się namówić Rebekeę na pójście do Fatimy. Nie mogłem się doczekać, aż ją zobaczę i opowiem o spotkaniu z siostrą Łucją.

Czułem wielką ulgę, że list znalazł się w rękach siostry Łucji, a nie Gellego. On mógł chcieć zemścić się na mnie za niedostarczenie listu jemu lub jego kumplom, ale nie obchodziło mnie to. Pomyślałem o Marii. Nie zrobiła niczego, czego ja sam nie zrobiłbym ze sto razy. Być może nawet nienawidziła tych intymnych sytuacji ze mną, ale podporządkowywała się instrukcjom. Nigdy się nie dowiem, czy rzeczywiście coś do mnie czuła, i tamtego dnia byłem pewien, że to mnie nie interesowało. Chciałem iść naprzód.

## Rozdział XXIV

Rebeka była podekscytowana moim wyjazdem do Fatimy. Ona sama już kilka tygodni temu zdecydowała, że pojedzie, przeczytawszy, iż siostra Łucja ma przewodniczyć procesji. Siostra Łucja tylko kilka razy uczestniczyła w tych rocznicowych obchodach, a więc tym razem to faktycznie miało być specjalne wydarzenie. Nadszedł dzień procesji i Rebeka zaproponowała, abyśmy wybrali się wcześniej, bo w Fatimie spodziewano się wielkich tłumów. Pojechaliśmy samochodem Rebeki, ponieważ ja swój już kilka dni wcześniej zwróciłem do wypożyczalni. Nie spieszyliśmy się i podziwialiśmy widoki.

Portugalia to jeden wielki kalejdoskop krajobrazów. Góry o spłaszczonych szczytach, równiny oraz zamglone wzgórza, a potem znów spalone przez słońce drzewa korkowe, gaje oliwne i nadatlantyckie plaże. Mijaliśmy osobliwe małe wioseczki z ukwieconymi balkonami, białymi domami i dachami z pomarańczowej dachówki. Wszystkie wioski wyglądały tak samo: wyłożone kocimi łbami uliczki otaczały mauretańskie mury. Rebeka zapoznawała mnie z historią każdej miejscowości, przez którą przejeżdżaliśmy. Jej znajomość historii Portugalii opierała się głównie na religijnym punkcie widzenia, lecz wiedziała też mnóstwo na temat miejscowej kultury i zwyczajów. Wreszcie znów odgrywałem turystę i byłem bardzo szczęśliwy, że byłem z Rebeką.

W końcu zaczęliśmy jechać ze ślimaczą szybkością. Dołączyliśmy do kolejki, która ciągnęła się kilka mil przed nami. Było w niej wiele autokarów wycieczkowych, rowerzystów, autostopowiczów, a samochodów wciąż przybywało. Do miasta mieliśmy jeszcze kilka mil, ale zmotoryzowani już zostawiali swoje samochody, parkując je na poboczu drogi lub zjeżdżając na pola. Zapowiadało się, że tego dnia w Fatimie będą dziesiątki tysięcy ludzi. Postanowiliśmy zostawić samochód na pobliskim polu i dołączyć do tej cizby. Miejscowy rolnik, bardzo przedsiębiorczy, pobierał skromną opłatę za zjazd na jego wygon. Wysiedliśmy i dołączyliśmy do tłumy, który już przerodził się w procesję.

Centrum Fatimy było zapchane. Dochodziła dopiero czternasta, ale już trudno było poruszać się po chodnikach. Wokół unosił się szum podnieconych głosów i nikt nie przejawiał najmniejszego zniecierpliwienia. Rebeka i ja postaliśmy trochę w kolejce, aby kupić coś do jedzenia i picia. Znaleźliśmy miejsce na parkingu przed bazyliką, gdzie można było usiąść. Zjedliśmy nasz lunch. Bazylika fatimska jest duża, a dziedziniec przed nią większy niż watykański. Tamtejszy parking może pomieścić kilkaset samochodów i są jeszcze zatoczki dla wielu autokarów, które przyjeżdżają co roku na obchody rocznicy cudu. W cieniu bazyliki wyrosły hospicja i klasztory, a sława Fatimy przyczyniła się do komercjalizacji. Liczne restauracje zapelniali pielgrzymi.

W nawie głównej kościoła pochowani są Franciszek i Hiacynta Marto. Najpierw dzieci były pochowane obok swojego domu, ale uznano, że bazylika to bardziej stosowne miejsce dla ich spoczynku. Nawet poza sezonem turystycznym, kiedy nie odbywają się uroczystości, tysiące składają hołd tej dwójce dzieci. Rebeka powiedziała mi, że normalnie o północy jest procesja ku czci fatimskiego cudu, ale w tym roku, ponieważ siostra Łucja bierze udział w procesji, organizatorzy zdecydowali się rozpocząć uroczystość o wiele wcześniej. Teraz miasto wyglądało inaczej aniżeli podczas mojej pierwszej bytności. W różnych miejscach stały przenośne ubikacje i punkty z wodą pitną. Ziemię szczelnie przykrywało morze ludzi. Wielu pielgrzymów już zajęło korzystne miejsca blisko wejścia do kościoła. My staliśmy w połowie drogi i blisko miejsca, w którym miało być czoło procesji.

W ciągu następnych dwóch godzin morze ludzi powoli formowało szeregi, złożone z setek osobistości i ochotników, chętnych do pomocy w kierowaniu tłumem. Około osiemnastej zaczęło się ściemniać i na głównych schodach prowadzących do bazyliki rozpoczęła się msza. Na esplanadzie zapaliły się światła i oświetlono front kościoła, podobnie jak i krzyż na szczycie bazyliki. Teraz świecił on jasno na tle ciemniejącego nieba. Z rozstawionych w mieście głośników rozległa się prośba o zapalenie świec. Rebeka i ja zapaliliśmy nasze i wkrótce centrum Fatimy zamieniło się w niezwykły ocean migocących światełek. Rozlegał się śpiew licznego dziecięcego chóru, a tłum przepelniała atmosfera podniecenia.

Słyszałem dzwonienie trzymanyh w rękach dzwonków i odwróciłem się, by zobaczyć procesję, posuwającą się powoli w kierunku kościoła. Każdy odwrócił się, aby



zobaczyć niesioną na przedzie przez czterech mężczyzn wielką figurę Błogosławionej Dziewicy Maryi, całą okrytą mnóstwem białych kwiatów. Kiedy przesuwała się obok mnie, słyszałem nikłe oklaski dochodzące z tyłu tłumu - to na cześć siostry Marii Łucji. Po obu stronach otaczały ją miejscowe dzieci, a kiedy mijała kolejny sektor tłumów, ludzie okazywali swoje uwielbienie, klaszcząc i wykrzykując słowa modlitwy. Kiedy zbliżyła się do środkowego sektora, ludzie zaczęli się przepychać, aby lepiej widzieć. My staliśmy na skraju tego głównego sektora.

Wkrótce siostra Łucja zrównała się z nami i jakby szukając mnie w olbrzymim tłumie, zatrzymała się obok miejsca, w którym stałem. Towarzyszące jej dzieci także przystanęły i czekały, a ona skierowała się w moją stronę. Wzięła moją rękę i podnosząc głowę ku niebu, pochyliła się do przodu, po czym delikatnie pocałowała wierzch mojej ręki. Tłum wokół zamarł w ciszy. Taka uwaga okazana mi przez siostrę Łucję sprawiła, że poczułem się ważny, lecz równocześnie zażenowany. Miałem nadzieję, że ludzie nie pomyślą, że jestem jakimś świętym. A siostra Łucja, poklepując moją rękę powiedziała:

- Obiecuję ci... jeśli uwierzysz, to zrozumiesz.

Nic nie odpowiedziałem, ale rozpaczliwie wprost chciałem, aby wytłumaczyła, co miała na myśli.

Teraz tłum dreptał wokół nas, a jedna z osobistości zrobiła miejsce, tak aby siostra Łucja mogła wrócić do procesji. Ludzie wokół mnie, z wyjątkiem Rebeki, nie mieli pojęcia, dlaczego zostałem wybrany. Siostra Łucja oddaliła się, pozostawiając mi zadanie nieustannego zastanawiania się nad jej słowami. Aplauz stał się głośniejszy i wkrótce cały tłum pozdrawiał tę, która rozmawiała z Najświętszą Panną Marią. Głosy młodzieżowego chóru stały się silniejsze i każda dusza dołączyła do pieśni *Mój Pan moim pasterzem*. Niektórzy śpiewali po portugalsku, inni po włosku, jeszcze inni po łacinie oraz w językach, jakich nigdy nie słyszałem. Ta pieśń była znana na całym świecie, a tego dnia wszyscy zgromadzeni tu ludzie stanowili jedność.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Rebeka ociera łzy. Objęliśmy się mocno. Powiedziałem jej, że bardzo się cieszę z naszego spotkania. Staliśmy ramię w ramię, unosząc w górę świece, i razem śpiewaliśmy religijne pieśni. Procesja złożona z księży i zakonnic, za którymi podążali ministranci oraz miejscowa młodzież, jeszcze trwała jakiś czas, aż wszyscy zatrzymali się u wejścia do świątyni. Front bazyliki zmieniono w wielki

ołtarz i msza trwała nadal. Odprawiał ją młody miejscowy ksiądz wraz z koncelebrantami, którzy wygłaszali kazania. Główna msza skończyła się szybko, a wtedy ksiądz wezwał tłum, by powitał siostrę Marię Łucję. Kiedy wychodziła z boku ołtarza, tłum huczał. Ten aplauz trwał kilka minut i trzeba było aż prośb księdza, aby go opanować. Wreszcie podniecenie opadło i ludzie stali z rękami złożonymi przy ustach i sercach. Siostra Łucja modliła się po cichu, tłum zaś głośno, o odkupienie grzechów. Wreszcie siostra Łucja była gotowa zwrócić się do wielbiącej ją publiczności. Mówiła w swoim ojczystym języku, lecz było to tłumaczone na kilka innych języków.

- Błogosławiona Dziewica Maryja jest bardzo szczęśliwa, że tylu ludzi wciąż przybywa do tego miejsca, aby okazać miłość i oddanie jej niepokalanemu sercu. Prosi mnie, bym błagała was wszystkich, abyście wywierali presję na waszych przywódców Kościoła, żeby dbali o wiadomość, którą powierzyła mi oraz moim ukochanym przyjaciółom Franciszkowi i Hiacyncie Marto. Nasza Pani Fatimska powiedziała nam, jak ocalić chrześcijaństwo oraz jak uchronić się od strasznych wojen i niewolnictwa komunizmu. Kościół musi działać zgodnie z tymi wskazaniem. Powierzyła mi też ostatnią tajemnicę, a ja poprosiłam Ojca Świętego, by wyjawił ją wam, jej umiłowanym zwolennikom. Święta Panna smuci się, że dotychczas to nie nastąpiło. Nie jest to wiadomość, wedle której zaleceń macie postępować, ale na którą musi odpowiedzieć Kościół. Błogosławiona Dziewica Maryja chce, byście wszyscy usłyszeli te słowa. A znaczenie tej tajemnicy fatimskiej jest o wiele większe teraz niż w przeszłości. Obiecuję wam, że będę nadal szukać wsparcia ze strony wszystkich członków Kościoła katolickiego i mam nadzieję, że pewnego dnia wszyscy usłyszymy odpowiedź Rzymu. Na koniec chciałam wszystkim wam przypomnieć o najważniejszej części przesłania przekazanego światu owego dnia: „Wreszcie moje niepokalane serce odniesie triumf.

Na te słowa z tłumu rozległ się potężny krzyk, a jak później oszacowano, było tam 200 000 ludzi. Chór zaczął śpiewać, a księża dokładali starań, aby dokończyć mszę zgodnie z regułami, ale tłum był rozentuzjzmowany. Znowu ruszyła procesja z wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny, witana okrzykami podczas przechodzenia przez szeregi tłumu. Uczniowie rozdawali małe książeczki z wydrukowanym tekstem tajemnicy fatimskiej, zakonnice zaś poświęcone podczas mszy różańce. Cały wieczór był niezwykle udany, a z całego tłumu emanowało przede wszystkim uczucie pokoju.

## Rozdział XXV

Pogrzeb Justina był bardzo ciężkim przeżyciem dla nas obojga. Pomagałem nieść małą białą trumnę, w której spoczywał w pokoju, a przyjaciele pocieszali Rebekę, bliską omdlenia. Cmentarz był pięknie utrzymany, a trawa w tej części, w której chowano dzieci, tworzyła wspaniałą, zielony dywan. Nasi przyjaciele trzymali się z tyłu, co nadało całej ceremonii bardzo intymny charakter. Ksiądz powiedział kilka ciepłych słów, a ja zadeklamowałem krótki wiersz, który wcześniej napisałem. Przed opuszczeniem trumny do grobu położyłem na niej małą kopertę. Włożyłem do niej zdjęcie nas trojga oraz napisałem następujące zdanie: „W tym marmurowym ogrodzie drzewa będą zawsze zielone, będą udzielać cienistego schronienia tobie oraz innym różom. Kochający mama i tata”. Wziąłem trochę ziemi i delikatnie rzuciłem do dołu, patrząc, jak spadła na białą trumnę, przykrywając moje marzenia.

Często chodzę na cmentarz, ale wolę to robić sam. Rebeka też tam chodzi. Nie mówi mi o tym, ale wiem. Ostatnio dałem jej na urodziny kwiaty, a dzień później znalazłem je na grobie Justina. Mieliśmy szczęście, że jeszcze potem urodziły nam się dzieci, a Rebeka godzi macierzyństwo z uczeniem. Jej życie jest wypełnione, a ona wydaje się pogodna i szczęśliwa. Nikomu nie powiedziałem o tych ostatnich chwilach na siódmym piętrze. Byłem wtedy tak zrozpaczony faktem, że tracę mojego chłopca, iż przez chwilę miałem widzenie.

Widziałem światło jaśniejsze niż słońce, ale mogłem na nie patrzeć. Bałem się, ale stałem bez ruchu. Popatrzyłem na Rebekę - jej głowa wciąż spoczywała na ciałku dziecka. I wtedy pojawił się wizerunek jakiejś pani. Powiedziała: „Dziecko zostanie ze mną, zobaczysz je znowu... musisz uwierzyć”. Uniosła Justina, a wtedy wspaniałe światło przygasło i w pokoju zrobiło się szaro i zimno. Rebeka nie poruszyła się, a jej głowa wciąż spoczywała na naszym chłopcu.